CENA 1,50 Zł.

ŻYCIE gospodarcze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-GOSPODARCZY

ROK XI WARSZAWA – 1 PAŹDZIERNIKA 1956 R. – NR 19 (270)

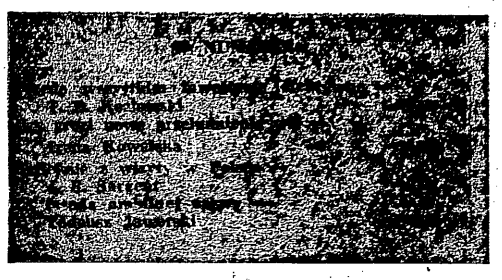

NIE MA SPRAW WAŻNIEJSZYCH

Nie ma niemal dnia, by opinia publiczna nie dowiadywała się, iż nowe zakłady produkcyjne przystępują do ruchu, który podejmuje próby wprowadzenia nowych zasad gospodarowania w zakładzie. Ze wszech miar słuszny jest pogląd, iż ruch ten jest dalszym rozwinięciem i pogłębieniem rewolucji proletariackiej.

Kiedy dwanaście lat temu masy ludowe w naszym kraju wzięły władzę w swoje ręce — na barki robotników spadł główny ciężar budowania i umacniania nowego ustroju. Trzeba było podjąć trud — zdawałoby się — przerastający możliwości jednego pokolenia.

Nacjonalizacja przemysłu przekazała warsztaty produkcyjne ich właściwemu gospodarzowi, nie mogła jednak od jednego pociągnięcia piórem wprowadzić do upaństwowionych fabryk socjalizmu. Pamiętamy wszyscy te czasy. Ileż w nich było entuzjazmu robotników, którzy często bez wynagrodzenia, bez dostatecznego zaopatrzenia uparcie dążyli do uruchomienia zniszczonych zakładów produkcyjnych. Ileż w tych dniach wyzwoliło się inicjatywy robotniczej. Trzeba było nie tylko odbudowywać i wyrównywać ogrom zniszczeń wojennych. Należało również podjąć wysiłek nad tworzeniem całych nowych gałęzi przemysłu, aby w szybkim tempie dać nowemu ustrojowi silne podstawy gospodarcze. Praca ta wymagała wyrzeczeń i poświęceń. Klasa robotnicza nie cofała się przed nimi.

Ale czy istniały w pełni warunki, któreby umożliwiły stałe rozszerzanie się inicjatywy robotniczej, rozwijanie coraz bardziej demokratycznych form zarządzania fabrykami i organizowania produkcji. Wiele naszych poczynań było w owej przeszłości niesłusznych, wiele innych błędnych. Nie mieliśmy bowiem dostatecznego doświadczenia, nie zawsze dobieraliśmy do kierownictwa właściwych ludzi. W wielu natomiast dziedzinach naszego życia ręce krępował nam autokratyczny duch minionego okresu, prowadząc do bolesnych strat i wypaczeń. Zbyt często doraźne korzyści propagandowe stawiano ponad rzetelną ocenę sytuacji. Zbyt często twórcza inicjatywa mas pracujących wykorzystywana była bez liczenia się z obiektywnymi warunkami w zakładach pracy. A inicjatywy tej nie brakło na każdym kroku.

Zdając sobie sprawę, że niemożliwe jest zbudowanie nowego ustroju bez stałego zwiększenia wydajności pracy — robotnicy podjęli szeroki ruch współzawodnictwa pracy. Troszczyli się o lepsze wykorzystanie surowca, o wyższą kulturę miejsca pracy, o zapewnienie dobrych warunków pracy i bezpieczeństwa, podejmowali walkę o podniesienie jakości produkcji. Wiele było w tej działalności elementów akcyjności, która ograniczała horyzonty inicjatywy. Jedno wszakże jest pewne, że były to wszystko przejawy walki o samorządność załóg. Nie było jednak siły, która by te odrębne, lokalne i cząstkowe ruchy złączyła w jedną, potężną rzekę robotniczej gospodarności. A ogólne warunki, stwarzane przez system stalinowskich rządów, nie sprzyjały rozwojowi demokratyzmu robotniczego.

Współgospodarowanie ze strony robotników było tylko formalne, nominalne. W gruncie rzeczy ani plan, ani zaopatrzenie, ani zbyt, ani kształtowanie się zarobków nie były zależne od załogi. Żelazną praktyką stało się swoiście „mobilizujące" planowanie, w którym wyniki okresu minionego każdorazowo przyjmowano za podstawę wyjściową przy ustalaniu planu na okresy przyszłe. Rezultat mógł być tylko jeden — owo sakramentalne wykonywanie planów w 100,1 czy 100,2 procentach. A ile za tym kryło się marnotrawstwa, fałszywych danych, wielokrotnego liczenia produkcji, obniżania jakości, produkowania braków, które miliardami złotych ciążą na naszej gospodarce i straszą jak widmo w magazynach.

Dziś zdajemy sobie coraz bardziej sprawę, że system naszego zarządzania gospodarką był zły. Dyskutujemy nad skutkami błędów i nad sposobami ich naprawienia. Dyskusja ta stała się przy tym powszechna, zabiera w niej głos całe społeczeństwo. Silnym też w niej tonem brzmi głos klasy robotniczej. Zlandnie z tradycjami swej długiej walki rewolucyjnej nie ogranicza się ona do spraw własnego bytu, do możliwości jego poprawienia. Idzie o rzecz bardziej zasadniczą — o zagadnienia związane z całą naszą gospodarką narodową. Robotników boli teraz nie tylko niski poziom ich życia. Przedmiotem znacznie głębszej troski jest nagromadzenie się w naszym systemie gospodarczym nonsensów i niekonsekwencji, które utrudniają wyjście z obecnej trudnej sytuacji.

Objawem żywego zainteresowania sprawami ogólnogospodarczymi jest właśnie owa rozwijająca się i zataczająca coraz szersze kręgi inicjatywa załóg robotniczych. Dążą one do usprawnienia pracy we własnych zakładach, co siłą rzeczy pociągnąć musi za sobą usprawnienie naszej całej gospodarki.

Inicjatywa robotnicza dochodzi do głosu w najróżniejszych formach. Wszędzie jednak są to śmiałe próby osiągnięcia większej samodzielności zakładu, uruchomienia takich bodźców ekonomicznych, które by umożliwiły wydajną i rentowną pracę. Najśmielsze koncepcje proponują utworzenie w zakładzie samorządu fabrycznego, powołanego przez załogę do sprawowania faktycznej władzy i operatywnego kierownictwa w zakładzie. Załogi rozumieją, że największą bolączką przedsiębiorstwa jest nadmierna centralizacja zarządzania. Pozbawia ona podstawowe ogniwo produkcyjne, jakim jest zakład pracy, możności samodzielnego decydowania o własnych sprawach. Niepowetowane szkody i rozprzężenie przyniósł naszej gospodarce system komenderowania przez „górę" nawet w najdrobniejszych sprawach, które często poznać i opanować można jedynie w samym zakładzie.

Ruch zapoczątkowany przez kilka zakładów warszawskich, którym władze przyznały prawo eksperymentowania, zakreśla coraz szersze kręgi. Nosi on wszelkie znamiona świadomej, twórczej akcji klasy robotniczej.

Nie sposób jeszcze w tej chwili ocenić konsekwencje jakie przyniesie ten nowy ruch klasy robotniczej. Jedno jest pewne, tym razem klasa robotnicza ogarnia całokształt zagadnień związanych z gospodarką socjalistycznego przedsiębiorstwa. Oczywiście wprowadzenie przez załogi nowych metod zarządzania przedsiębiorstwem wymaga pokonania szeregu poważnych trudności. Już sam fakt, że nowy system wyzwala ukryte rezerwy w postaci wzrostu wydajności pracy, stawia przed naszą gospodarką trudny problemat. Wzrost wydajności pracy oznacza zwiększenie produkcji. Rodzi się więc również potrzeba większych zasobów surowcowych i materiałowych. Wiadomo zaś, że gospodarka nasza cierpi na brak rezerw. Nie łatwe więc będzie zwiększenie dostaw materiałowych. Zmniejszenie liczby zatrudnionych — to z kolei niebezpieczeństwo bezrobocia, na co w żadnym wypadku zgodzić się nie możemy. Skrócenie czasu pracy — to także nie łatwy problem. Zwiększenie zaś zarobków bez równoczesnego natychmiastowego wzrostu produkcji dóbr konsumpcyjnych stwarza możliwość występowania objawów inflacji, do czego przecież również dopuścić nie można (Nota bene, zbyt daleko idące używanie straszaka inflacji, którym tak chętnie ostatnio posługują się niektórzy działacze gospodarczy, jest argumentem mocno przejaskrawionym). Niemałą przeszkodą jest także gąszcz najróżniejszych niekiedy sprzecznych ze sobą przepisów, które hamują zdrową inicjatywę załóg robotniczych.

Prawda, trudności są niemałe. Ale muszą one być pokonane, gdyż nic i nikt nie zdoła powstrzymać tego ruchu, który ogarnął już szerokie warstwy naszego społeczeństwa i który ma na celu usprawnienie pracy i skończenie raz na zawsze z nonsensami biurokratycznymi, jakie opanowały naszą gospodarkę. A do pokonania tych trudności przyczynić się również muszą czynniki rządzące, którym lud pracujący powierzył kierowanie życiem gospodarczym. Jeśli okażą się one wobec tych trudności bezradne, to wystawią sobie świadectwo niemożności dalszego sprawowania władzy.

Robotnicy biorą rzeczywiście fabryki w swoje ręce. Chcą decydować o ich pracy, chcą sami zapewnić ich rentowność. Sprawa nie kończy się przy tym na samych zagadnieniach produkcyjnych. Załogi domagają się uregulowania spraw obrotu towarowego. Są one przekonane, że nie może być utrzymywana sytuacja, w której produkt ich pracy jest owym przysłowiowym małoznacznym kamyczkiem, który jednak w chwili gdy zaczyna się toczyć — porywa za sobą coraz olbrzymiejącą lawinę narzutów i kosztów pozaprodukcyjnych.

Robotnicy mówią: Dajcie nam swobodne ręce, nie przeszkadzajcie powodzią hamulców, zastrzeżeń, drobiazgowych poleceń i utrudnień, a wtedy pokażemy, że potrafimy zapewnić rentowność zakładów, potrafimy bez dodatkowych nakładów wydatnie podnieść wydajność pracy. Nie chcemy opiekunów i niańek. Wystarczy tylko rozsądna centralna dyspozycja dotycząca najważniejszych spraw i rzetelna kontrola gospodarki społecznym mieniem. I jeden ważny warunek — musimy być zainteresowani materialnie w wynikach naszej pracy. Niech poprawa będzie nawet niewielka, lecz natychmiastowa i stała.

Znamiennym objawem jest fakt, iż przy opracowywaniu projektów nowej organizacji dużą rolę odgrywa inteligencja. Potwierdza to — mimo powtarzających się usiłowań wbicia klina między robotników i inteligencję — iż klasa robotnicza trzeźwo patrzy na te sprawy. Zdaje sobie sprawę, że w swej podstawowej masie inteligencja przechodzi proces odmłodzenia, jest związana z walką klasy robtniczej i jest zainteresowana w zbudowaniu socjalizmu. A co to jest rzetelne, robotnicze pojmowanie socjalizmu — pokazują nam załogi fabryk podejmujących tzw. eksperymenty.

Obok tego cennego ruchu nie wolno przejść obojętnie, trzeba mu pomagać, trzeba szybko wyciągnąć wnioski z doświadczeń, z przemian, jakie dokonują się w naszych fabrykach. Gdyż — żeby użyć słów Wacława Nałkowskiego — „nie ma spraw ważniejszych, bo tu się toczy walka o zmianę podstaw wszelkiego sądu i wszelkiego działania".

(fl)

O KRYTYCE

TADEUSZ KOWALIK, WŁADYSŁAW SADOWSKI

W okresie stalinizmu prasa i w szczególności prasa gospodarcza niemało napracowała się przy wznoszeniu muru chińskiego między słowem a faktami. Omijała starannie ciemne i trudne strony naszego życia, była bez reszty zaangażowana w niełatwym przecież zadaniu wykazywania, że na tym naszym najlepszym z możliwych światów wszystko może zmierzać jedynie ku lepszemu. Zmowa milczenia deprawowała umysły ludzkie, a w szczeliny między słowem i czynem wciskał się wróg.

Nastąpił wielki okres krytyki demaskatorskiej, gdy wraz z posągami bogów runęły mity owiewające ich postacie. Surowej ocenie poddano system stosunków społecznych, w którym znalazło się miejsce dla bogów, posągów i mitów. Krytyka demaskatorska polegała na ujawnieniu rozbieżności, która wkradła się między słowa i czyny, między treść głoszonych zasad i praktykę społeczną. Pod wpływem tej krytyki ukształtowała się nowa postawa wobec rzeczywistości, wobec uświęconych wieloletnim powtarzaniem zasad, pojęć i sztandarowych haseł.

Charakterystyczną cechą nowej postawy jest kryzys zaufania znamienny ze względu na swoją głębokość i szeroki zakres. Kryzys zaufania wobec tego wszystkiego, w co uczyliśmy wierzyć i co przedstawialiśmy jako racjonalne i konieczne. Kryzys, którego ostrość jest wprost proporcjonalna do natężenia wysiłków propagandowych i agitacyjnych, poniesionych w ubiegłym okresie. W rezultacie osiągnięto skutki przeciwne od zamierzonych, przyzwyczajając do zdeprecjonowania w oczach opinii publicznej wartości wielu pojęć i głoszonych zasad oraz do rozumienia propagandy na opak. Któż nie wie na przykład, że dzisiaj najpewniejszym sposobem ośmieszenia męża stanu byłoby nazwanie go „ukochanym przez masy", lub co gorsza — „genialnym"...

DROGA DO ODBUDOWY

Kryzys zaufania jest zrozumiałą reakcją psychiczną na przebieg ostatnich wydarzeń. Posiada kryzys ten niewątpliwie swoiste właściwości lecznicze — znamionuje stan umysłów w okresie, który historia nazwie zapewne okresem Wielkiego Otrzeźwienia.

Kryzys zaufania może się jednak stać zjawiskiem głęboko niebezpiecznym, gdy obejmując całokształt naszych instytucji społecznych zrodzi brak wiary w możliwość odnowy życia i przekonanie o immanentnym charakterze zła, wobec którego pozostaje jedynie kapitulacja. Postawa taka zarysowuje się już obecnie, choć jeszcze nie w skali masowej. Już dzisiaj poważnie trzeba się liczyć z tym, że kręgosłup moralny wielu mniej odpornych ludzi został złamany i długich lat trzeba na to, aby ich wyleczyć, jeżeli w ogóle uzdrowienie jest możliwe. Są to nieuniknione koszty osobowe trudnego procesu demokratyzacji życia, którą trzeba było rozpocząć radykalnymi i ostrymi cięciami, chociaż było do przewidzenia, że na słabych działać one będą destrukcyjnie. Większość z nas rozumie jednak zawiły bieg procesów społecznych. Wiary w wielkie idee socjalizmu nie zdołały zachwiać ani obiektywne trudności, ani prowadzenie się możnych tego świata.

Restytucji kapitału zaufania społecznego nie można oprzeć wyłącznie na deklaracjach i wysuwaniu nowych haseł. Od samej zmiany haseł zmienia się bowiem tylko oficjalny słownik, lecz w realnych stosunkach społecznych i w postawie społeczeństwa nic zmienić się nie może. Trwałym fundamentem zaufania mogą być jedynie społecznie sprawdzalne fakty — wzbudzająca zaufanie nowa praktyka społeczna. A ponieważ kryzys zaufania zrodziła nie ogólna treść socjalistycznych zasad życia zbiorowego, lecz niezgodność praktyki z tymi zasadami, droga do odbudowy zaufania społecznego prowadzi przede wszystkim przez przestrzeganie zgodności słów z czynami, ogólnych deklaracji z praktyką społeczną.

Do przestrzegania tej zgodności powołana jest instytucja krytyki społecznej i tym między innymi tłumaczy się jej szczególnie doniosłe dziś znaczenie. Trzeba jednak przeciwdziałać, aby krytycyzm nie przekształcał się w nihilizm i bezideowość, aby trzeźwość nie wyradzała się w cynizm. Skoro więc rozwiały się mity, na ich miejscu nie można pozostawić moralno-politycznej próżni. Należy w pełni przywrócić społeczne zaufanie do realnych wartości moralno-politycznych zawartych w założeniach naszego ustroju. W dziedzinie stosunków politycznych restytucja kapitału zaufania społecznego jest dzisiaj zagadnieniem tak pierwszorzędnej wagi, jak w dziedzinie stosunków gospodarczych szybki wzrost stopy życiowej ludności.

Wielka krytyka demaskatorska okresu szoków i fajerwerków spełniła już swoje zadanie i w nowych warunkach musi ustąpić miejsca krytyce konstruktywnej. Naczelnym zadaniem krytyki jest uparte i konsekwentne przestrzeganie zgodności słów z czynami w naszym życiu publicznym. Aby jednak zadanie to mogła krytyka spełnić, samą instytucję krytyki należy oczyścić z rozbieżności między teorią i praktyką oraz jasno i wyraźnie określić całokształt spraw, związanych z jej treścią i zakresem.

Krytyka. Samokrytyka. Ileż razy pojęcia te odmieniano we wszystkich przypadkach. Ile wielorakich treści znaczeniowych i cudownych mocy im przypisano. Była więc krytyka „siłą napędową" i „potężną dźwignią" i „ostrym, wypróbowanym orężem". Była niemal wszystkim z wyjątkiem może tego, czym być powinna — rzeczywistym i skutecznie realizowanym w praktyce społecznej pierwszorzędnej wagi prawem podmiotowym obywateli państwa demokratycznego, do niezależnej oceny pracy i działania wszelkich instytucji społecznych. Za olśniewającym rozwojem teorii krytyki nie nadążała praktyka krytyki. Donośny krzyk o roli krytyki źle tylko maskował niekrytyczne milczenie w praktyce społecznej.

W wielkim procesie odnowy instytucja krytyki zaczyna stopniowo zajmować należne jej miejsce w życiu społecznym. Dzieje się to nie bez poważnych trudności. Stwarza je z jednej strony opór wielu, wciąż jeszcze samodzierżnych kacyków próbujących wykorzystywać rozmaite przewagi instytucjonalne i złe tradycje starego okresu, z drugiej zaś strony — brak odpowiedniego wyrobienia ze strony krytykujących, którzy — co zresztą jest zrozumiałe — odzwyczaili się, lub też nie mieli kiedy nauczyć się rozumnego korzystania z praw obywatelskich.

Poglądy zaś w sprawach krytyki — co do jej zakresu, treści i znaczenia, cechuje wielka mglistość. Mglistość tę znakomicie pogłębiają wysiłki niektórych teoretyków krytyki, zajętych już jej ustawianiem na obecnym „etapie". Dawno już zdezawuowane chwyty i wybiegi epoki Stalina usiłują oni ocalić i pogodzić jakoś z rzeczywistymi wymaganiami demokratyzacji, aby w ten sposób łącząc ogień i wodę, stworzyć jedyny, „zwarty i monolityczny" system poglądów na krytykę. Wysiłki te są zrozumiałe, jeśli się zważy, że chodzi tu o sprawę tak doniosłej wagi, jak ratowanie tzw. twarzy (no i skóry w ogóle). Wobec presji opinii publicznej jawna obrona okopów św. Trójcy staje się dzisiaj bardzo niepopularna, jeśli nie wręcz niebezpieczna. Żagle trzeba więc podstawić pod nowe wiatry. Z drugiej strony niesposób się przecież szczerze przyznać do dorabiania „teorii" do zamordyzmu i mimo tego, że się taką teorię faktycznie dorabiało niesposób tak całkiem wycofać się ze wszystkich starych pozycji (zwłaszcza, że a nuż zacznie się nowe „przykręcanie").

Publiczna krytyka kieruje swoje ostrze przeciw działalności różnych instytucji społecznych i zmierza do spowodowania poprawy ich funkcjonowania. Słusznie więc podkreśla się często, że punkt ciężkości krytyki nie tkwi w sprawach personalnych. Jednak większość instytucji społeecznych ma jakieś formy organizacyjne. Za instytucjami społecznymi stoją więc konkretni ludzie, odpowiedzialni za ich działalność. Stąd

dokończenie NA STRONIE 4

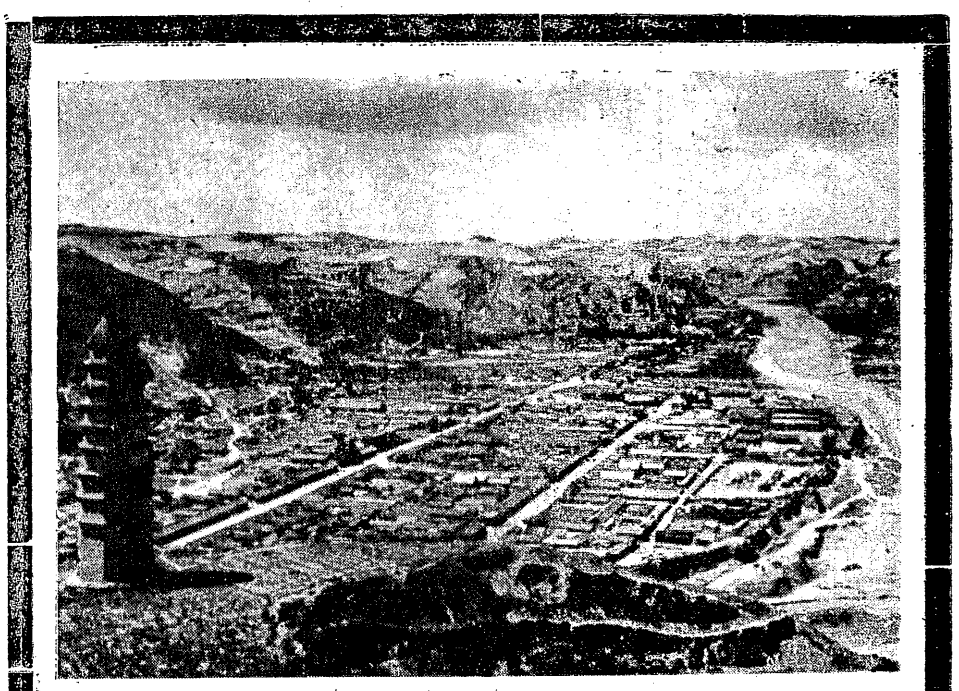

W DNIU ŚWIĘTA NARODOWEGO CHIN

Z tegorocznym świętem ChRL zbiega się zakończenie VIII Zjazdu Komunistycznej Partii Chin. Zjazd stwierdził, że w dziedzinie przeobrażeń socjalistycznych odniesione zostało decydujące zwycięstwo, sprzeczności między proletariatem a burżuazją zostały w zasadzie przezwyciężone i że w zasadzie zbudowany został ustrój socjalistyczny. Obecnie zadaniem naczelnym jest przekształcenie Chin w przodujący kraj przemysłowy.

Uchwały Zjazdu obejmują przyjęcie nowego statutu partii, a w dziedzinie rozwoju kraju wytyczają drogi rozwoju uprzemysłowienia socjalistycznego, przy zachowaniu zasady prymatu rozwoju przemysłu ciężkiego, dalej — rozwoju rolnictwa przez pełne wykorzystanie możliwości stwarzanych przez spółdzielczość rolniczą, rozwój transportu, podniesienie techniki, lepsze rozmieszczenie sił wytwórczych, polepszenie warunków bytowych ludności, rozkwit nauki i kultury. Aby wzmocnić demokratyczną dyktaturę ludu Zjazd zaleca wzmożenie kontroli mas, walkę z biurokracją, umocnienie Zjednoczonego Frontu Ludowo - Demokratycznego, decentralizację i demokratyzację. Zjazd wezwał do umacniania obronności kraju i praworządności. Zjazd wypowiedział się za pokojowym wyzwoleniem Taiwanu, ale przygotowaniem się do stosowania innych środków, gdyby pokojowe rozwiązanie problemu okazało się niemożliwe.

Wreszcie Zjazd uchwalił wytyczne dla drugiego planu pięcioletniego na lata 1958 — 1962.

Na zdjęciu widok Jenanu, historycznego ośrodka rewolucji chińskiej, gdzie w ciągu walki z najeźdźcą japońskim mieściła się siedziba KC KPCh i wypracowane zostały strategiczne zasady walki o wyzwolenie i rewolucję.

KRONIKA gospodarcza

CO NOWEGO W NASZYM PRZEMYŚLE

Zakończono prowadzoną od 5 lat przebudowę Częstochowskich Zakładów Materiałów Ogniotrwałych. Dzięki tej przebudowie zdolność produkcyjna tych zakładów potroiła się.

Sianowskie Zakłady Przemysłu Zapałczanego w Sianowie (woj. koszalińskie) dostarczają na rynek 38% ogólnokrajowej produkcji zapałek. Montuje się tam pierwszy w polskim przemyśle zapałczanym automat do wytwarzania pudełek tekturowych. Całkowite przejście na pudełka tekturowe w Sianowie pozwoli zwiększyć produkcję o 40 skrzyń zapałek dziennie i zaoszczędzić 8 tys. m sześć. drewna rocznie.

W stalowni huty „Pokój" oddano do eksploatacji automatyczne urządzenie regulujące proces wytopu stali; jest to pierwsze urządzenie tego typu wyprodukowane w kraju.

W Trzebionce koło Trzebini (woj. krakowskie) trwa budowa nowej kopalni rud ołowiano-cynkowych oraz zakładu wzbogacania rud. Początek wydobycia planowany jest na rok 1959. Po pełnym uruchomieniu kopalnia dawać ma 600 tys. ton rudy rocznie.

Rynek nasz poważnie odczuwa brak obuwia dziecięcego. Budujemy więc nową fabrykę obuwia dziecięcego i młodzieżowego w Augustowie. Będzie to jedna z najpoważniejszych inwestycji planu 5-letniego na Białostocczyźnie. Maszyny dostarczą NRD i Czechosłowacja. W pierwszym okresie zakład ten produkować będzie 600 tys. par obuwia rocznie.

ROZBUDOWA RYBNICKIEGO ZAGŁĘBIA WĘGLOWEGO

Na terenie Rybnickiego Zagłębia Węglowego prowadzi się intensywne prace poszukiwawcze nowych złóż węglowych; wszystko wskazuje na to, że jest to jedno z najbogatszych naszych zagłębi węglowych, odznaczających się poza tym węglem wysokiej jakości. Odkryto dotychczas nowe złoża, pozwalające na wybudowanie 22 nowych kopalń średniej wielkości. Badania te prowadzi się pod kątem przyszłej rozbudowy tego zagłębia, które stać się ma największym zagłębiem węglowym w Polsce. W okresie planu 5-letniego wydobycie w kopalniach Zagłębia Rybnickiego wzrosnąć ma o 26 proc. tj. o 7,7 tys. ton węgla na dobę. Plan perspektywiczny przewiduje podobny przyrost wydobycia w Zagłębiu Rybnickim również w następnych dwóch pięciolatkach.

Rozbudowa Zagłębia Rybnickiego idzie w dwóch zasadniczych kierunkach — przez rozbudowę i modernizację kopalni istniejących oraz przez budowę nowych kopalni. Intensywne prace trwają przy rozbudowie i modernizacji kopalni „Anna", „Marcel", „Chwałowice" i „Jankowice". Również w innych kopalniach tego zagłębia prowadzi się poważne roboty inwestycyjne. W budowie jest nowa kopalnia „Mszana", przystąpiono do budowy dwóch dalszych — „Jastrzębie" i „Moszczenica" oraz trwają przygotowania do podjęcia budowy nowych kopalni „Zofiówka" i „Czyżewice". W 25-letnim kompleksowym planie perspektywicznym powstanie ogółem 22 nowych kopalni.

PLANY WIELKICH ROBÓT WODNO-MELIORACYJNYCH

W biurach projektowych wodno-melioracyjnych przygotowuje się projekty wielkich inwestycji wodno - melioracyjnych, które mają zostać zrealizowane w okresie planu 5-letniego. Projektami tymi objęte są obszary położone nad Łebą, Obrą, Narwią, Nerem, obszary Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego, rejon zbiornika w Ldzaniu na rzece Grabii, rejon Bagien Starzanieckich koło Wielunia oraz niektóre obiekty jezior mazurskich. Np. zmeliorowanie górnej Narwii pozwoli na zagospodarowanie około 30 tys. ha łąk.

50-LECIE SGPiS

Szkoła Główna Planowania i Statystyki w Warszawie — największa w naszym kraju uczelnia ekonomiczna — obchodzi w nadchodzącym roku nauki 50-lecie swego istnienia. Przed 50 laty w Warszawie założone zostały przez znanego pedagoga — Augusta Zielińskiego Wyższe Kursy Handlowe, które przekształciły się następnie w Wyższą Szkołę Handlową, a potem w Szkołę Główną Handlową. Od 1 września 1949 roku uczelnia ta przemianowana została na Szkołę Główną Planowania i Statystyki.

W związku z 50-leciem, inauguracja nowego roku nauki na tej uczelni, którą odbędzie się 2 października, zapowiada się bardzo uroczyście. Obecni na niej będą rektorzy wyższych szkół ekonomicznych z całego kraju oraz rektorzy wszystkich warszawskich wyższych uczelni, jak również wielu wychowanków szkoły. Swój przyjazd na tę uroczystość zapowiedziało już kilku gości zagranicznych: dyrektor Instytutu Ekonomiczno-Statystycznego w Moskwie — prof. Owsiejenko, rektor Wyższej Szkoły Ekonomii w Berlinie — prof. Lemmnitz, rektor Szkoły Handlu Zagranicznego w Berlinie — prof. Freund i przedstawiciel Uniwersytetu Ekonomicznego im. K. Marksa w Budapeszcie — prof. Vajda. Wykład inauguracyjny nosić będzie tytuł: „X dzieje szkolnictwa ekonomicznego w Polsce".

W związku z uroczystościami 50-lecia szkoły w br. odbędą się: sesja naukowa, zjazd absolwentów, w którym udział zapowiedziało do chwili obecnej 2,5 tys. wychowanków (el uczelni), sesja Studenckiego Towarzystwa Naukowego przy SGPiS oraz międzyuczelniane mistrzostwa sportowe.

ZJAZD STOWARZYSZENIA ELEKTRYKÓW POLSKICH

W dniach 21 — 22 września br. odbył się w Krakowie IX Zjazd Stowarzyszenia Elektryków Polskich. Zjazd ten różnił się znacznie swoim charakterem od innych zjazdów i konferencji, jakie odbyły się po XX Zjeździe KPZR. Najbardziej żywo dyskutowano postulaty finansowego usamodzielnienia się od NOT, bardziej sprawiedliwego organizowania i zwiększenia wycieczek zagranicznych, wprowadzenia inżynierów do Sejmu podczas zbliżających się wyborów. Początkowo planowano zakończenie obrad 22 po południu, ale już na początku obrad przyjęto z zadowoleniem zgłoszony przez przewodniczącego wniosek zakończenia ich pierwszego dnia. Podczas obrad zgłoszono wiele słusznych wniosków. Wzajemnej polemiki dyskutantów szczęśliwie uniknięto.

(TK)

ROZMAWIAMY O PLANIE PIĘCIOLETNIM

STEFAN J. KUROWSKI

Inwestycje — tak ale jakie?

Wprawdzie jesteśmy już w drugiej połowie pierwszego roku planu pięcioletniego, lecz wielka, ogólnonarodowa dyskusja nad planem pięcioletnim dopiero się rozpoczyna. Z jednej strony późne opracowanie projektu planu, z drugiej strony skąpe na ogół informacje, jakie zostały podane w dotychczasowych oficjalnych wypowiedziach na ten temat, nie pozwoliły na bardziej wnikliwe i szczegółowe zapoznanie się społeczeństwa z podstawowymi problemami planu. Przy tym główna uwaga w dotychczasowej dyskusji skupiała się na niewątpliwie kluczowym problemie stopy życiowej i perspektywach, jakie plan w tej dziedzinie przyniesie; natomiast pozostałe zagadnienia planu nie znalazły jeszcze dostatecznego oświetlenia.

Jednym z takich zagadnień, które powinno być poddane szerokiej dyskusji, jest sprawa inwestycji w planie pięcioletnim. W świetle zupełnie zrozumiałego i uzasadnionego zainteresowania problemem stopy życiowej właśnie zagadnienie inwestycji powinno być szczegółowo omówione, gdyż wielkość i kierunki programu inwestycyjnego mają bezpośredni wpływ na poziom stopy życiowej społeczeństwa. Uchwała VII Plenum KC PZPR o planie pięcioletnim podaje, że plan wychodząc z podstawowego założenia wzrostu stopy życiowej ludności przewiduje pewne zmniejszenie udziału inwestycji w dochodzie narodowym, jak również pewne zmiany w strukturze nakładów inwestycyjnych. Decyzje planu idą w słusznym kierunku. By sprawić jednak, że plan pięcioletni stanie się rzeczywiście planem podniesienia standardu życiowego ludności polskiej, należy zbadać, czy idą one dostatecznie daleko.

W szczególności wymaga szerokiej dyskusji sprawa przesunięć i zmian proporcji w układach inwestycyjnych. Należy bowiem pamiętać, iż ten sam odsetek dochodu narodowego przeznaczony na inwestycje w bardzo różny sposób obciąża stopę życiową zależnie od tego, jakie przyjęto kierunki inwestowania. Są inwestycje, które bardzo szybko mogą dać produkcję i zwiększyć fundusz konsumpcyjny, a są również takie, które nie dają produkcji lub też dają produkcję dóbr wyższego gatunku (środków produkcji), nie stanowiących funduszu konsumpcyjnego. Są wreszcie takie inwestycje, które same są środkami konsumpcji, np. budownictwo mieszkaniowe. Nakłady inwestycyjne tego typu są bezpośrednimi nakładami na stopę życiową.

Aby ocenić, jak daleko idzie plan pięcioletni w kierunku zmiany struktury inwestycji należy dysponować szeroką bazą porównawczą. Przede wszystkim należy porównać plan pięcioletni z proporcjami, jakie zostały zrealizowane w okresie planu sześcioletniego. To jednak nie wystarcza. Wydaje się, że w odpowiedzi na pytanie, czy i w jakim stopniu inwestycje planu pięcioletniego można nazwać inwestycjami stopy życiowej, należy oprzeć się na szerokich porównaniach międzynarodowych.

Struktura nakładów inwestycyjnych oznacza procentowy udział poszczególnych dziedzin gospodarki narodowej w całości inwestycji. Zależnie od tego, jakie dziedziny gospodarki wykazują udział przeważający, możemy mówić o dominancie przemysłu czy rolnictwa, o przewadze grupy produkcyjnej, czy usługowo-konsumpcyjnej w inwestycjach.

Porównanie struktury inwestycyjnej przeprowadzamy w dwóch etapach. W pierwszym etapie porównujemy strukturę nakładów inwestycyjnych w Polsce z odpowiednimi proporcjami inwestycyjnymi w Związku Radzieckim i w krajach demokracji ludowej. W drugim porównaniu strukturę nakładów inwestycyjnych w Polsce zestawiamy z odpowiednimi liczbami dla kilku wybranych krajów kapitalistycznych.

W związku z takim ugrupowaniem porównywanych krajów należy zwrócić uwagę na pewne teoretyczne aspekty przeprowadzanej analizy. Inwestycje — są to nakłady zmierzające do powstania majątku trwałego. Struktura nakładów inwestycyjnych oznacza zatem strukturę nowego, tworzącego się majątku trwałego. Struktura nowego majątku trwałego zależy od tego, w jakich dziedzinach gospodarki narodowej istniejący majątek trwały zostaje powiększony o nowe środki trwałe. To zaś zależy od szeregu czynników, wśród których można wymienić następujące okoliczności określające kierunki wysiłku inwestycyjnego gospodarki narodowej: warunki naturalne, stan i struktura istniejącego majątku trwałego, etap rozwoju gospodarki, kierunki rozwoju gospodarki, tempo rozwoju gospodarki, ustrój społeczno-gospodarczy.

Kraje stanowiące przedmiot porównań ujęliśmy w dwie grupy według kryterium ostatniego z wymienionych czynników — ustroju społeczno-gospodarczego. Pozwoli to na stwierdzenie, czy i w jakim stopniu czynnik ten determinuje kierunki inwestycji, mimo różnej sytuacji w zakresie pozostałych czynników.

W grupie krajów socjalistycznych rozpatrujemy dane dla Polski, ZSRR, Czechosłowacji, NRD, Węgier, Rumunii, Bułgarii i Jugosławii. Odpowiednie liczby dla tych krajów przedstawiają się następująco:

Tabela 1

Struktura nakładów inwestycyjnych według działów gospodarki narodowej (w %)

	Polska 1950-1954	Polska 1956-1960*)	ZSRR 1951-1955	Czechosłowacja 1949-1953	NRD 1951-1953	Węgry 1950-1954	Rumunia 1951-1955	Bułgaria 1949-1953	Jugosławia 1947-1951
Przemysł	52,3	48,6	56,5	43,1	52,5	47,0	62,3	47,5	42,0
w tym:									
grupa A	45,0	.	50,6	37,9	46,6	43,6	54,9	41,3	.
grupa B	7,3	.	5,9	5,2	5,9	3,4	7,4	6,2	.
Rolnictwo	9,1	12,2	8,3	11,3	9,3	13,8	10,4	15,0	7,0
Transport	12,8	9,7	10,6	19,5	8,9	12,5	11,5	17,5	26,0
Obrót towarowy	2,9	2,9	1,1	1,8	1,5	2,5	2,5		
Urządzenia socjalno-kulturalne	4,9	6,3							
Gospodarka komunalna	3,3	3,2	11,3	14,8	10,7	15,4	9,5	10,0	25,0
Administracja i inne	4,3	2,6							
Budownictwo mieszkaniowe	10,4	14,4	12,2	9,5	17,1	8,8	3,8	10,0	

*) Projekt planu pięcioletniego według uchwały VII Plenum KC PZPR.

Z tablicy tej można wyciągnąć trzy wnioski: przede wszystkim należy stwierdzić, iż porównywane kraje demokracji ludowej i Związek Radziecki wykazują zasadnicze podobieństwo struktury inwestycji. Wspólne cechy proporcji inwestycyjnych można ująć w czterech punktach, a mianowicie:

a) wyraźna dominacja inwestycji przemysłowych, przekraczających nawet połowę nakładów inwestycyjnych;

b) niewielki udział inwestycji rolniczych (poza Węgrami i Bułgarią);

c) nikły odsetek inwestycji w obrocie towarowym;

d) niewielki udział nakładów na budownictwo mieszkaniowe

Należy zwrócić uwagę, iż to daleko idące podobieństwo proporcji inwestycyjnych występuje w wymienionych krajach, mimo iż niektóre z nich, jak np. z jednej strony NRD czy Czechosłowacja, a z drugiej strony Rumunia czy Bułgaria różnią się od siebie dość znacznie warukami naturalnymi, poziomem uprzemysłowienia i strukturą istniejącego majątku trwałego.

Tabela 2

Struktura nakładów inwestycyjnych według działów gospodarki narodowej (w %)

	Polska 1954	Polska 1956-1960	Anglia 1954	Francja 1954	NRF 1954	Szwecja 1954	Włochy 1954	Grecja 1954	Indie (II Plan 5-letni)
Przemysł	50,9	48,6	38,2	30,6	36,3	27,0	28,8	22,5	30,0
Rolnictwo	10,7	12,9	3,7	10,6	8,1	5,7	14,0	11,0	17,0
Transport	10,9	9,7	11,5	15,9	10,8	25,0	16,0	15,0	16,1
Obrót towarowy	3,0	2,9	8,5	4,1	8,4	3,4	5,5	15,0	
Urządzenia socjalno-kulturalne	5,4	6,3	4,2						
Gospodarka komunalna	3,7	3,2		14,4	8,1	14,9	12,5	7,0	36,9
Administracja i inne	3,7	2,6	7,3						
Budownictwo mieszkaniowe	11,7	14,4	26,5	25,0	28,3	24,0	23,2	32,5	

Porównywane kraje kapitalistyczne, podobnie jak poprzednio omawiane kraje socjalistyczne, nie stanowią jednorodnej grupy, lecz różnią się znacznie od siebie. Cztery z nich należą do krajów gospodarczo przodujących, dwa zaś do krajów gospodarczo zacofanych. Występują też między tymi krajami różnice w warunkach naturalnych. Mimo to, podobnie jak w poprzednim przypadku — w strukturze inwestycyjnej tych krajów można dostrzec pewne ogólne podobieństwo, jakkolwiek nie tak wyraźne, jak w grupie krajów socjalistycznych. Wyraża się ono w zupełnie odmiennym rozłożeniu wysiłku inwestycyjnego niż w poprzedniej grupie krajów.

Inwestycje przemysłowe nie mają tu dominującego udziału, obejmując tylko od 1/4 do 1/3 całości nakładów. Natomiast grupą inwestycyjną, dorównującą prawie inwestycjom przemysłowym, są nakłady na budownictwo mieszkaniowe, pochłaniające, również od 1/4 do blisko 1/3 całości środków inwestycyjnych. Trzecim specyficznym elementem struktury inwestycyjnej tych krajów są stosunkowo wysokie nakłady na obrót towarowy. Udział pozostałych dziedzin gospodarki narodowej, jak rolnictwa czy transportu nie wyraża już tak określonych prawidłowości, pozostając w ścisłej zależności od naturalnych warunków poszczególnych krajów.

Na tle struktury inwestycyjnej krajów kapitalistycznych proporcje inwestycyjne w Polsce, zarówno zrealizowane w okresie planu sześcioletniego, jak i proponowane na okres planu pięcioletniego wykazują zdecydowany charakter „industrialny". Potwierdza to dodatkowe porównanie, jakie możemy przeprowadzić między Polską a Stanami Zjednoczonymi. Z braku danych o strukturze inwestycji amerykańskich posłużymy się w tym porównaniu liczbami obrazującymi kierunki produkcji budowlanej. Jak wiadomo, struktura produkcji budowlanej jest dość wiernym odbiciem struktury inwestycyjnej. Odpowiednie liczby przedstawia tabela 3.

Tabela 3

Struktura produkcji budowlanej według działów gospodarki narodowej (w procentach)

	Polska 1955	USA 1954
Przemysł i górnictwo	49,5	17,0
Obrót towarowy	3,3	6,1
Rolnictwo i leśnictwo	5,1	5,6
Transport	9,0	13,0
Gospodarka komunalna	11,1	9,0
w tym:		
Oświata	3,2	7,2
Zdrowie	0,9	1,9
Budownictwo mieszkaniowe	15,1	37,0

Jak widzimy w liczbach amerykańskich jeszcze wyraźniej występuje poważny, a w tym zestawieniu wręcz dominujący udział budownictwa mieszkaniowego.

Jakie należy wyciągnąć wnioski z przeprowadzonych tutaj porównań? Można by oczywiście powiedzieć, iż fakt odmiennej struktury inwestycyjnej w krajach kapitalistycznych nie uprawnia do żadnych wniosków w stosunku do proporcji naszego planu pięcioletniego, gdyż różnica ustrojów społeczno-gospodarczych jest dostatecznym uzasadnieniem różnic w proporcjach inwestycyjnych. Otóż nie negując słuszności twierdzenia o tym, iż różnice ustrojowe muszą znaleźć odbicie w tych czy innych proporcjach gospodarczych, należy przytoczone wyżej rozumowanie uznać za poważne uproszczenie zagadnienia. Jak już stwierdziliśmy, ustrój społeczno-gospodarczy jest tylko jednym z czynników kształtujących strukturę inwestycyjną. O ile w krótkich okresach czasu, zwłaszcza w związku z koniecznością przebudowy gospodarczej wynikającej ze zmiany ustroju, czynnik ten może mieć znaczenie dominujące, o tyle w dłuższych okresach czasu muszą dojść do głosu inne czynniki, jak warunki naturalne, struktura potrzeb ludności, istniejące luki w majątku trwałym itp., jeśli będziemy chcieli zapobiec trwałym dysproporcjom w gospodarce narodowej.

Wnioski, które możemy sformułować na podstawie przeprowadzonych porównań nie mogą być zbyt szczegółowe, a to wskutek bardzo grubego podziału na kierunki inwestycyjne. Nie możemy analizować struktury inwestycyjnej wewnątrz przemysłu (grupa A i B) wewnątrz rolnictwa (produkcja roślinna i hodowla), czy wewnątrz inwestycji transportowych, gdyż dostępne dane statystyczne takiego podziału nie precyzują. Dlatego też we wnioskach oprzemy się jedynie na pewnej generalnej prawidłowości, która mimo tego ogólnego zaledwie zarysowania proporcji wyraźnie występuje i która ma dostatecznie doniosłe znaczenie, by na jej podstawie można było formułować pewne postulaty ogólne.

Otóż z przeprowadzonych wyżej analiz wynika wyraźnie, że w strukturze inwestycyjnej istnieją dwa antagonistyczne człony, dwie grupy nakładów inwestycyjnych pozostające w stosunku do siebie w odwrotnej proporcji. Są to inwestycje przemysłowe i budownictwo mieszkaniowe. Wszystkie kraje, które realizują wysoki odsetek inwestycji przemysłowych, jednocześnie wykazują niski odsetek nakładów na budownictwo mieszkaniowe. I odwrotnie, tam gdzie udział inwestycji mieszkaniowych jest wyższy musi nastąpić obniżenie udziału inwestycji w przemyśle. Prawidłowość ta działa zarówno w biednej Rumunii, jak i w bogatych Stanach Zjednoczonych. Z czego to wynika?

Drugi wniosek dotyczy tego, iż struktura inwestycji w Polsce w okresie planu sześcioletniego wykazuje całkowite podobieństwo do proporcji inwestycyjnych pozostałych krajów demokracji ludowej i Związku Radzieckiego.

Trzeci wniosek dotyczy proporcji inwestycyjnych w projekcie planu pięcioletniego w Polsce. Otóż należy stwierdzić, że jakkolwiek widać w tych proporcjach pewne przesunięcia, są one jednak tak niewielkie, że nie naruszają dotychczasowego podobieństwa z pozostałymi krajami tej grupy. Dotychczasowe dominanty i dotychczasowe minima utrzymują się nadal.

Aby ten trzeci wniosek był w pełni uprawniony należałoby omawiane proporcje inwestycyjne planu pięcioletniego porównać z liczbami reprezentującymi odmienny typ struktury inwestycyjnej. Takimi liczbami rozporządzamy porównując proporcje inwestycyjne Polski z danymi dla krajów kapitalistycznych. Odpowiednie liczby przedstawia tabela 2.

Jednoczesna realizacja wysokich odsetków inwestycji przemysłowych i mieszkaniowych oznaczałaby minimalne nakłady na rolnictwo, transport, obrót towarowy i administrację, a to jest niemożliwe. Dziedziny takie, jak transport, obrót towarowy czy administracja są funkcją całej gospodarki i stąd odsetek inwestycji w tych dziedzinach ma charakter stosunkowo stabilny, nieelastyczny. Elastyczne pozostają natomiast proporcje inwestycji przemysłowych i mieszkaniowych, a zatem wszelkie ewentualne zmiany proporcji mogą się dokonywać tylko głównie w zakresie przemysłu i budownictwa mieszkaniowego. Ten alternatywny charakter inwestycji przemysłowych i mieszkaniowych wykaże jeszcze wyraźniej zestawienie, uwidocznione w tabeli 4.

Tabela 4

Kraj i rok		Udział % nakładów inwestycyjnych: inwestycji przemysłowych	Udział % nakładów inwestycyjnych: inwestycji mieszkaniowych	Ilość wybudowanych rocznie izb mieszkalnych na 1000 mieszkańców	Wskaźnik zagęszczenia na izbę
Rumunia	1951—1955	62,3	3,8	1,1	.
ZSRR	1953	59,5	13,2	9,3	1,7
Polska	1954	51,6	11,7	5,6	1,9
NRD	1954	51,0	15,0	5,8	.
Czechosłowacja	1949—53	43,1	12,0	6,3	1,4
Węgry	1954	42,2	16,0	5,8	1,5
Jugosławia	1947—51	42,0	.	3,5	2,3
Bułgaria	1954	40,0	12,7	3,5	.
Anglia	1954	38,0	26,5	28,0	0,8
NRF	1954	36,3	28,3	36,0	1,1
USA	1954	34,0	18,5	36,0	.
Francja	1954	30,0	25,0	14,0	0,9
Włochy	1954	28,8	23,2	7,0	1,2
Szwecja	1954	27,0	24,0	32,0	0,9
Grecja	1954	22,5	32,5	7,0	2,3

W zestawieniu tym, obejmującym kraje obu obozów, uszeregowaliśmy kraje w postępie malejącym odsetka inwestycji przemysłowych. Tym samym odsetki inwestycji mieszkaniowych ułożyły się w postępie rosnącym, potwierdzając istnienie faktycznej zależności odwrotnej między tymi kierunkami inwestycji.

Tablicę tę uzupełniliśmy pewnymi dodatkowymi liczbami, które pozwalają nam przejść od wniosków do postulatów. Sytuacja mieszkaniowa w Polsce jest rzeczywiście ciężka. Ilość wybudowanych izb na tysiąc mieszkańców jest jedną z najniższych w Europie, a wskaźnik zagęszczenia na izbę jednym z najwyższych. Duży przyrost naturalny i szybki proces urbanizacji wzmaga nacisk na istniejący zasób mieszkań. Tymczasem budownictwo mieszkaniowe od kilku lat wykazuje stagnację oscylując około stukilkudziesięciu tysięcy izb rocznie. W tej sytuacji kierunek na stopę życiową oznacza kierunek na wzrost budownictwa mieszkaniowego. Problem mieszkaniowy w równym stopniu jak problem rolnictwa, a w przyszłości może nawet w stopniu znacznie wyższym będzie decydował o poziomie stopy życiowej ludności Polski.

Czy proponowane proporcje inwestycji w planie pięcioletnim odpowiadają tym postulatom? Nie, nie odpowiadają. Przewidziana ilość wybudowanych mieszkań w okresie planu pięcioletniego nie zaspokoi istniejących potrzeb i nie rozładuje olbrzymiego napięcia istniejącego w tej dziedzinie. Co więcej, doświadczenia pierwszego roku planu wykazują, że nawet ten, zbyt niski poziom budownictwa mieszkaniowego napotyka w realizacji na poważne trudności. Przyczyną tego stanu rzeczy jest fakt, iż plan pięcioletni próbuje rozwiązać problem budownictwa mieszkaniowego przy zachowaniu priorytetu inwestycji przemysłowych, to znaczy przy usztywnieniu jedynego elementu, którego zmiana mogłaby stworzyć możliwości radykalnego zwiększenia zakresu budownictwa mieszkaniowego.

Utrzymanie wysokiego priorytetu inwestycji przemysłowych oznacza, że plan pięcioletni nie wprowadza zasadniczych zmian w strukturze kierunków inwestowania w stosunku do okresu planu sześcioletniego. Czy jednak okres planu nie jest za krótki, by wprowadzić te większe zmiany w proporcjach inwestycyjnych? Z pewnością taki argument może być przytoczony dla obrony proponowanych proporcji inwestycji. Otóż w odpowiedzi na to można wskazać za przykład kraj, w którym plan wieloletni w tym samym okresie czasu przewiduje zasadniczą zmianę struktury inwestycji w kierunku zgodnym z tokiem przeprowadzonej tu analizy. Plan pięcioletni Jugosławii podaje następujące proporcje inwestycyjne w początkowym i końcowym roku planu w procentach (tabela 5):

Tabela 5

	1955	1959
Przemysł	47,5	35,7
Rolnictwo	13,9	16,7
Transport	17,2	16,4
Obrót towarowy	4,1	5,0
Urządzenia socjalne	3,0	3,3
Administracja	1,8	1,8
Budownictwo mieszkaniowe	13,5	21,1

Na przestrzeni pięciu lat Jugosławia postuluje więc zmianę kierunku wysiłku inwestycyjnego. Doprowadzi to do tego, iż w końcu okresu planu budownictwo mieszkaniowe będzie stanowiło 1/5 całości nakładów inwestycyjnych.

Przykład planu jugosłowiańskiego potwierdza zasadniczą tezę niniejszych rozważań; jeżeli chcemy szybko zrealizować znaczne zwiększenie rozmiarów budownictwa mieszkaniowego, można tego dokonać tylko na drodze istotnych zmian proporcji w nakładach inwestycyjnych, zmian między przemysłem i budownictwem mieszkaniowym. Co trzecia cegła, co trzeci worek cementu, co trzeci robotnik budowlany powinien być kierowany na budownictwo mieszkaniowe. To jest kierunek na wzrost stopy życiowej.

Postulat ten oznacza zmniejszenie i ograniczenie inwestycji przemysłowych. W odpowiedzi na to niewątpliwie podniosą się głosy, które wskażą na niebezpieczeństwo niedokończenia rozpoczętych w sześciolatce gigantycznych zamierzeń inwestycyjnych w przemyśle, na niebezpieczeństwo zamrożenia wielkich nakładów w przypadku zmniejszenia inwestycji przemysłowych, wskażą na konieczność rozwoju nowych dziedzin przemysłu, jak chemia, energia atomowa, zaplecze techniczne dla automatyzacji — aby nie pozostać w tyle za innymi, wreszcie zapytają autora niniejszych rozważań, co proponuje konkretnie zdjąć z inwestycji przemysłowych.

Uprzedzę te głosy i odpowiem. W Polsce po dwunastu latach przyspieszonej industrializacji oprócz niedokończonych inwestycji przemysłowych są również niedokończeni ludzie. A jest to zjawisko na równie gigantyczną skalę; tysiące i setki tysięcy niedokonanych losów ludzkich, zatrzymanych w pół drogi procesów społecznych, przerwanych setek tysięcy dążeń ludzkich do zwykłego ludzkiego szczęścia.

W Polsce oprócz niebezpieczeństwa zamrożenia kapitału inwestycyjnego jest niebezpieczeństwo o wiele większe zamrożenia już na trwałe kapitału zaufania społecznego, który zrodziła rewolucja, a który mogą zniszczyć wypaczenia rewolucji, a zwłaszcza wypaczenia gospodarcze, które w ciągu wielu lat ciążą na życiu społecznym.

Że nie nadążymy za światowym tempem rozwoju przemysłu, rozwojem wielkiej syntezy, energii atomowej, automatyzacji? Choćbyśmy poświęcili nawet całe budownictwo mieszkaniowe i tak w ten sposób nie nadążymy. Stworzymy tylko głębokie dysproporcje. W sześciolatce pchnęliśmy naprzód hutnictwo stali, ale za taką cenę, iż np. w motoryzacji pozostaliśmy w tyle za... Marokiem. Jeśli będziemy tak rozumować, zawsze znajdą się takie dziedziny i cele przemysłowe, które każą nam poświęcić cele stopy życiowej. To błędne koło trzeba przerwać. Wyrównanie różnic między krajami przodującymi a zacofanymi może i musi nastąpić inną drogą.

Aby nie było niedokończonych losów ludzkich, aby nie było zamrożonego kapitału zaufania społecznego, aby nie było niekończącej się pogoni za „światowym poziomem przemysłu" — musimy dać ludziom mieszkania.

Co zdjąć z przemysłu? Odpowiem krótko — nie wiem. Udostępnione, ogólne liczby nie pozwalają na danie tej odpowiedzi, lecz odpowiedź ta może być dana wówczas, gdy szeroka dyskusja będzie się mogła oprzeć na konkretnym, ujawnionym materiale o planie pięcioletnim, gdy spełniony zostanie jeden z naczelnych postulatów demokracji — postulat jawności życia gospodarczego. Póki to nie nastąpi żadne argumenty zwolenników dalszych ofiar na rzecz dotychczasowego kierunku inwestycji nie będą już miały siły moralnej przekonania.

PRZEDE WSZYSTKIM INWESTYCJE EFEKTYWNE

T. B. KOZŁOWSKI

W problemie efektywności inwestycji można wydzielić dwa elementy: wybór kierunków inwestycji oraz wybór drogi do osiągnięcia określonego programu produkcyjnego. Obecnie wkraczamy w ostatnią fazę ustalania planu pięcioletniego, dlatego też z dwóch wymienionych elementów przede wszystkim pierwszy jest szczególnie aktualny.

Przy omawianiu kierunków inwestycji w danej branży przemysłu trzeba przede wszystkim ustalić podstawowe wytyczne ogólne. Wytyczne takie powinny być po szczegółowej analizie sytuacji polityczno-gospodarczej podane do wiadomości inwestujących resortów przez oficjalny czynnik, reprezentujący poglądy władz państwowych na podstawowe zagadnienia polityki gospodarczej. Inspiratorem tego typu wytycznych będzie prawdopodobnie w przyszłości Rada Ekonomiczna.

Wytyczne potrzebne do ustalenia kierunków inwestycyjnych muszą zawierać odpowiedź na następujące pytania:

1. Czy należy dążyć do maksymalnie możliwej samowystarczalności, czy też opierać zamierzenia inwestycyjne na rozwinięciu szerokiego frontu wymiany międzynarodowej?

2. Jaki rodzaj inwestycji jest najbardziej celowy z punktu widzenia sytuacji ogólnogospodarczej, np. kapitałooszczędny, pracochłonny, materiałooszczędny itp.?

3. Jaki powinien być stosunek produkcji środków produkcji do produkcji środków konsumpcji w całej gospodarce?

Dotychczas wytyczne takie (z wyjątkiem p. 3) nie zostały podane, należy więc w dalszych rozważaniach oprzeć się na ogólnych tendencjach gospodarczych wynikających z ostatnich publikacji fachowych, jak również z sytuacji politycznej.

W stosunkach międzynarodowych dąży się obecnie do znacznego rozszerzenia wymiany handlowej. Ogólna koniunktura gospodarcza wynikająca ze stałego podnoszenia potencjału przemysłowego, obserwowanego w mniejszym lub większym stopniu we wszystkich państwach, wybitnie sprzyja zwiększeniu międzynarodowych obrotów handlowych. Jak wynika z ostatnio publikowanych artykułów i dyskusji prasowych, dąży się w Polsce obecnie do znacznego zintensyfikowania naszego handlu zagranicznego.

Jednocześnie zaczyna u nas przeważać pogląd reprezentowany przez prof. Lipińskiego, że w państwach o takiej wielkości jak Polska nie powinno się dążyć do budowy całego przemysłu ciężkiego i całego przemysłu lekkiego, co nie mogłoby dać korzystnych efektów w wyniku braku szeregu baz surowcowych oraz niemożności przygotowania takiej budowy przemysłu ze strony naukowej, technicznej i maszynowej. Na taką budowę mogą sobie pozwolić państwa o prawie kompletnym asortymentowo zapleczu surowcowym i tej wielkości co ZSRR czy USA. W warunkach polskich powinno się dążyć raczej do specjalizacji w pewnych surowcowo i technicznie uprzywilejowanych gałęziach przemysłu. Wyrazem praktycznego stosowania między innymi i takich założeń jest realizowana w państwach Europy Zachodniej i krajach demokracji ludowej współpraca i porozumienie w zakresie podziału między poszczególne państwa produkcji podstawowych artykułów przemysłowych — głównie środków produkcji. Następuje tu daleko idąca kooperacja, polegająca z jednej strony na bilansowaniu potrzeb podstawowych artykułów w całej grupie państw, a z drugiej na porozumieniu co do udziału każdego z państw w pokryciu tych potrzeb.

Reasumując można przyjąć z dużą pewnością, że zamierzenia inwestycyjne należy opierać na zasadzie daleko posuniętej międzynarodowej wymiany handlowej przy zabezpieczeniu pełnej samowystarczalności w niektórych politycznie uzasadnionych gałęziach produkcji.

Jeżeli chodzi o drugi z podstawowych problemów, bez wdawania się w szczegółową analizę można stwierdzić, że istnieje duży niedobór środków inwestycyjnych i dąży się do prowadzenia inwestycji kapitałooszczędnych. Jednocześnie zaczyna się zarysowywać pewien nadmiar siły roboczej. Jakkolwiek niektórzy publicyści starają się wykazać, że ogólny bilans oferowanej i poszukiwanej pracy daje wynik zerowy, nie ulega wątpliwości, że nadmiar ten istnieje w postaci stosunkowo niskiej wydajności pracy.

Przy porównaniu ze wskaźnikami wydajności pracy w dobrze technicznie postawionych państwach europejskich, rezerwy siły roboczej w Polsce staną się bardziej widoczne. Trzeba również wziąć pod uwagę, że mimo dużego tempa inwestycji, nie zapewniają one całkowitego wchłonięcia całego naszego — bardzo dużego — przyrostu naturalnego. Z tych względów przyjąć można, że w inwestycjach należy dążyć do uruchamiania produkcji pracochłonnej. Za takim typem inwestycji przemawia również czynnik konkurencji w handlu międzynarodowym. Ponieważ w porównaniu z większością państw — eksporterów — robocizna jest u nas stosunkowo tania, mamy więcej szans zdobycia rynków zagranicznych, wychodząc na nie z produktami wymagającymi dużych nakładów robocizny nisko i średniokwalifikowanej. Natomiast istniejący niedobór niektórych surowców, obecnie często wysokie ich zużycie na jednostkę produktu, stwarzają konieczność prowadzenia inwestycji materiałooszczędnych.

Jeżeli chodzi o stosunek środków produkcji do konsumpcyjnych, to wytyczne przewidywały umiarkowaną przewagę produkcji środków produkcji.

Rozważania powyższe obejmują uwzględnić szereg dodatkowych elementów, takich jak: przewidywany rozwój gałęzi gospodarki związanych z rozpatrywaną, stosunki surowcowe, bazę naukową, bazę maszynową, szybkość realizacji inwestycji i szybkość amortyzacji, zagadnienia lokalizacji i transportu, możliwości eksportowe i ogólne koniunktury w handlu ogólne przesłanki wytycznych inwestowania w całym przemyśle. Przy rozpatrywaniu efektywności inwestycji w danej branży przemysłowej należy oczywiście międzynarodowym oraz szereg innych drobniejszych. Pozostawiając tę grupę zagadnień do dalszego omówienia przy rozpatrywaniu niektórych gałęzi przemysłu chemicznego chciałbym w pierwszym rzędzie omówić inwestycje w chemii w aspekcie podstawowych wytycznych ogólnych.

W wytycznych ogólnych niewątpliwie najbardziej istotnym przy wyborze kierunków inwestycji jest moment oszczędności kapitału. Jesteśmy obecnie państwem na dorobku i w tych warunkach każda zainwestowana złotówka musi stwarzać silne podstawy trwałego powiększenia potencjału gospodarczego przy jednoczesnym zapewnieniu szybkiego uzyskania maksymalnych efektów w wartości produkcji. Należy przy tym zerwać z dotychczas dominującą tendencją prowadzenia inwestycji w kierunku zapewniającym bezpośrednio lub pośrednio zmniejszenie importu. To kryterium może i powinno być brane pod uwagę, ale nie może być decydujące.

Tymczasem właśnie w chemii niektóre centralne ośrodki dyspozycyjne, jak również resorty gospodarcze związane z przemysłem chemicznym, wywierały bardzo często silny nacisk w kierunku uruchomienia nowych asortymentów produkcji dotychczas importowanych. Te tendencje z jednej strony rozpraszały wysiłki kadr naukowych i projektowych oraz nie pozwalały skoncentrować wysiłków na kompleksowo związanych ze sobą asortymentach produkcji. Z drugiej zaś strony prowadziły do uruchomienia produkcji asortymentów ekonomicznie mało atrakcyjnych z pominięciem innych bardziej efektywnych.

Poniżej podaję niektóre dane cyfrowe charakteryzujące efektywność inwestycji w Polsce i za granicą (tab. 1). Dla oszczędności miejsca podaję w jednej tabeli również inne charakterystyczne wskaźniki polskiego przemysłu chemicznego w I półroczu 1956 r. a mianowicie: udział kosztów materiałowych, udział kosztów robocizny oraz wydajność na 1 robotnika grupy przemysłowej w złotych.

Tabela 1

	udział amortyzacji w %	wydajność w zł na 1 robotnika
przemysł nieorganiczny	12,0	60,4
przemysł organiczny	8,7	47,1
przemysł syntezy chemicznej	12,7	52,6
przemysł włókien sztucznych	15,0	37,0
przemysł farmaceutyczny	3,0	81,9
przemysł gumowy	2,5	62,1
przemysł farb i lakierów	1,9	102,0
kopalnictwo	10,1	25,0

Wskaźniki efektywności inwestycji w gałęziach przemysłu chemicznego w USA, w podobnym branżowo ujęciu przedstawione są poniżej. Jako wskaźnik przyjęto tu stosunek wartości produkcji rocznej do nakładów inwestycyjnych:

procesy chemiczne *)	2.01
wydobycie i kopalnictwo	1.61
leki i farmaceutyki	2.36
nafta	0.77
celuloza i papier	1.08
guma	2.75
włókno sztuczne	0,71

*) — obejmuje to przemysł nieorganiczny, organiczny i syntezy.

Z obu tabel wynika, że najniższy koszt amortyzacji i najwyższą wartość produkcji w stosunku do nakładów, a więc największą kapitałooszczędność wykazują przemysły: farb i lakierów, gumowy i farmaceutyczny.

Z punktu widzenia pracochłonności, przyjmując jako podstawę do jej oceny ostatnią rubrykę tabeli 1, najkorzystniejszymi tzn. najbardziej pracochłonnymi są: przemysł włókien sztucznych, przemysł organiczny i kopalnictwo.

Jeżeli chodzi o oszczędność materiałów, powiązania między gałęziami przemysłu i inwestycjami a tą oszczędnością nie da się przeprowadzić. Inwestycjami materiałooszczędnymi będą przede wszystkim różne rodzaje w tym celu specjalnie prowadzonych renowacji aparatury. W tym aspekcie będzie się również rozpatrywało określoną inwestycję przy wyborze najwłaściwszej metody produkcji.

CZY GROZI NOWE PRZELUDNIENIE WSI

IRENA KOWALSKA

W najbliższym czasie rozpocznie się dyskusja nad projektem planu pięcioletniego. W związku z tym chciałabym się podzielić z czytelnikami nurtującymi mnie wątpliwościami co do słuszności niektórych tez planu. Chodzi o sprawę, która pozornie wydaje się dość odległa, a która moim zdaniem może wywrzeć poważny wpływ na życie gospodarcze naszego kraju. Jest nią problem zatrudnienia mieszkańców wsi, a konkretniej mówiąc zagadnienie czy plan pięcioletni (rzecz jasna w projekcie, jaki znamy) zamykając w zasadzie przepływ ludności ze wsi do miasta, zabezpiecza zatrudnienie całej zdolnej do pracy ludności wiejskiej.

Jak wiemy, plan zakłada wzrost zatrudnienia w ciągu pięciu lat o około 16% w porównaniu z 1955 rokiem (uchwała o wynikach wykonania sześcioletniego planu i podstawowych założeniach planu pięcioletniego). W tym przyrost ludności ze wsi nie przekroczy 200—250 tys. (artykuł St. Jędrychowskiego — Nowe Drogi nr 3 z 1956 r.).

Szacując przyrost naturalny ludności wiejskiej na 200—300 tys. rocznie, otrzymamy w ciągu pięciolecia przyrost równy 1—1,5 mln. Plan więc przewiduje migrację ludności ze wsi w ilości odpowiadającej jednej siódmej lub w najlepszym wypadku (gdy przyrost będzie wynosił tylko 1 mln) jednej czwartej przyrostu naturalnego.

Równocześnie wieś otrzyma około 1 mln ludzi zdolnych do pracy (według szacunku Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej przyrost ludzi zdolnych do pracy wynosił w Polsce w ciągu tego dziesięciolecia przeciętnie około 230 tys. rocznie).

Czy wieś w chwili obecnej wymaga aż tak wielkiego dopełnienia stanu ludności? Czy przyrost prawie miliona ludzi zdolnych do pracy przyczyni się do rozwoju wsi, czy też może się okazać przyrostem ludzi zbędnych, obniżającym wydajność pracy w rolnictwie, kładącym się ciężarem na ludność wsi?

W minionym dziesięcioleciu nastąpił w Polsce silny spadek ilości ludności rolniczej zarówno czynnej, jak i biernej. W Polsce przedwrześniowej na 100 ha przypadało średnio 76 osób ludności rolniczej, natomiast w 1950 r. wskaźnik ten wynosił 58, a więc liczba ludności rolniczej na 100 ha spadła o 20%. W 1931 r. 60% ludności naszego kraju utrzymywało się z rolnictwa, a w 1950 r. liczba ta wynosiła tylko 47%.

Warunki stworzone przez władzę ludową umożliwiły otwarcie wszystkich kanałów wyjściowych ze wsi do miasta, co pozwoliło olbrzymim nadwyżkom ludnościowym, narosłym od lat we wsi polskiej jako stałe „agrarne przeludnienie", przeniesienie się do miasta.

Ponad milion gospodarstw chłopskich miało możność stworzenia własnego warsztatu pracy dzięki nadzieleniu ziemią przez reformę rolną.

Drugi podstawowy akt władzy ludowej — nacjonalizacja i związana z tym rozbudowa przemysłu — otworzyła niebywały w dziejach Polski rynek pracy i wzrost zapotrzebowania na siłę roboczą.

Mieliśmy więc w minionym okresie dwie krzyżujące się ze sobą tendencje. Z jednej strony — wzrost zapotrzebowania na robociznę we własnym gospodarstwie chłopskim (wzrost ten spotęgowany został przez fakt stworzenia również niebywałego w dziejach Polski wewnętrznego rynku na produkty rolnicze w związku ze wzrostem zatrudnienia w mieście). Z drugiej strony — wzrost zapotrzebowania na robociznę w gospodarce narodowej, spowodowany olbrzymim rozwojem przemysłu. Tendencją, która w minionym okresie wzięła górę, była tendencja przenoszenia się do miasta, gdyż polityka państwa stworzyła w tym kierunku specjalnie korzystne bodźce.

W wyniku tej polityki miniony okres cechowała wzmożona migracja ze wsi do miasta. Pochłaniała ona ludność wiejską w ilości odpowiadającej w zasadzie przyrostowi naturalnemu wsi w tych latach (ludność miast wzrosła z 7,5 mln w 1946 r. do 11,5 mln w 1950 r. — patrz Rocznik Statystyczny 1955 r. str. 23). Ta fala migracyjna spowodowała silny odpływ siły roboczej ze wsi. Nie towarzyszyły jej natomiast dostateczne inwestycje w gospodarce rolnej, które przez mechanizację mogłyby zastąpić żywą siłę roboczą. Sytuacja taka musiała mieć swój wpływ na produkcję rolną w gospodarstwach indywidualnych, jak również w PGR pozbawionych w znacznym stopniu siły roboczej, zbyt słabo zastępowanej mechanizacją.

Poza bodźcami ekonomicznymi i bodźcami natury moralnej (większa atrakcyjność miasta i życia w mieście) dochodziły w tym okresie jeszcze momenty psychologiczne, zwłaszcza nastroje tymczasowości powodowane pewnymi obawami przed przymusową kolektywizacją. Nastroje te przyspieszały odpływ ludności wiejskiej i równocześnie hamowały w gospodarce indywidualnej inwestycje, mogące zastąpić ubytek siły roboczej. Słabe, budujące się dopiero w tym okresie i nastawione w zasadzie tylko na obsługę wsi spółdzielczej POM nie mogły również stworzyć odpowiedniej rekompensaty. Wytworzyła się sytuacja, w której w wielu wsiach i powiatach zaczęły występować niedobory siły roboczej.

Jednocześnie zmieniła się również sytuacja w przemyśle. W drugiej połowie planu sześcioletniego wystarczać poczęły te zasoby siły roboczej, które uruchomione zostały w pierwszym okresie. W pracy produkcyjnej zahartowały się i stopiły w jedną całość stary trzon klasy robotniczej i elementy świeżo przybyłe ze wsi. Umożliwiło to usprawnienie pracy załóg robotniczych, podniesienie wydajności pracy i wypełnienie we własnym zakresie zwiększonych zadań. Moce produkcyjne, którymi załogi władają, okazały się zbyt małe, aby ich obsługę rozszerzać, na odwrót powstała możliwość redukcji załóg robotniczych. Przemysł zaczął zmniejszać zapotrzebowanie na nową siłę roboczą. Okazało się nawet, że istnieje miejscami dość znaczne, nadmierne rozbudowanie obsługi w stosunku do istniejących mocy produkcyjnych.

Wszystko to wytworzyło obecnie nową sytuację, nie znaną w okresie planu sześcioletniego, w której zahamowanie rekrutacji ze wsi do miasta stało się koniecznością, a nawet więcej — powstała pewna niezbędność zorganizowania odpływu ludności z miasta z powrotem na wieś.

Wychodząc z analizy obecnej sytuacji, plan pięcioletni zakłada zmniejszony w stosunku do sześciolatki wzrost zatrudnienia — zwłaszcza zmniejszony przypływ ludności wiejskiej do przemysłu. Ale rzeczą planu jest nie tylko usunięcie doraźnego zła, doraźnie narosłych przeszkód, lecz również wypracowanie długotrwałej perspektywy rozwoju gospodarki narodowej i zabezpieczenie warunków tego rozwoju. Jest rzeczą niewątpliwą, że nowa sytuacja, która powstanie w wyniku planu 5-letniego może odegrać ważną rolę w rozwoju gospodarczym PGR, w których istniejące w chwili obecnej braki siły roboczej były jednym z hamulców utrudniających rozszerzenie upraw pracochłonnych. Również istniejące w wielu powiatach województw zachodnich (olsztyńskie, koszalińskie) zbyt duże rozrzedzenie gospodarstw chłopskich, można będzie zlikwidować dzięki zwiększonemu osadnictwu, co niewątpliwie pomoże podnieść stan gospodarczy tych województw. Niemniej wydaje się, że zahamowanie ujścia ludności ze wsi do miasta może postawić przed szeregiem wsi, zwłaszcza województw centralnych i wschodnich na nowo problem gromadzenia się nadmiaru siły roboczej. Dlatego też należy, nie czekając aż problem ten wyłoni się z całą ostrością, przystąpić do przemyślenia, jak temu niebezpieczeństwu zaradzić.

Nie możemy pocieszać się tym, że w chwili obecnej nadmiar taki nam nie grozi. Jak bowiem wiemy, „nadmiar" ludności na wsi jest już najwyższym wyrazem zacofania wsi, jest jak gdyby ostatnim ogniwem w łańcuchu ujemnych przeobrażeń drobnego rolnictwa. Poprzedzają je stany pośrednie, w których część siły roboczej ulega powiązaniu z gospodarką rolną ponad jej potrzeby, obniżona zostaje wydajność pracy ludzi zatrudnionych w gospodarstwie i następuje stałe rozdrabnianie gospodarstw chłopskich. W ogóle problem zatrudnienia w rolnictwie przy istnieniu gospodarki drobnej nie da się ująć w ścisłe rachunki statystyczne.

Chłop jest przede wszystkim posiadaczem własnych środków produkcji i tym się różni od proletariusza, a rodzina chłopska — to rodzinne zjednoczenie osób prowadzących wspólne gospodarstwo. Tytuł własności przykrywa w gospodarce chłopskiej stopień wykorzystania siły roboczej, specyfika zaś drobnej gospodarki rolnej polegającej na tym, że występują sezonami silne różnice w zapotrzebowaniu siły roboczej i że dzień rolnika jest utkany szeregiem prac mniej ważnych przeplatanych ważniejszymi, jeszcze bardziej utrudnia obliczenia.

„Subiektywne" odczucie rodziny co do potrzeby, czy zbędności danego członka rodziny jest też różne i zależy w zasadzie od stanu materialnego rodziny, od tego, w jakim stopniu środki konsumpcyjne gospodarstwa są w stanie zaspokoić potrzeby utrzymujących się z gospodarstwa, czy nadmierna ilość członków rodziny powoduje silne obniżenie poziomu życiowego całej rodziny.

Ale tak rozumiane „konsumpcyjne" skutki nadmiaru siły roboczej na wsi nie mogą przesłonić nam podstawowego problemu sił wytwórczych. Cechą zaś charakteryzującą drobną gospodarkę chłopską jest stałe marnotrawstwo sił wytwórczych, niepełne wykorzystanie pracy ludzi i narzędzi. Dla ilustracji, jak w chwili obecnej wygląda problem marnotrawstwa siły roboczej, uciekniemy się do podania dwóch rachunków. Czynimy to z tym zastrzeżeniem, że dane, którymi operujemy, tyczą 1950 roku, tj. okresu, gdy przeprowadzony został Narodowy Spis Powszechny, a wiemy, że od tego czasu sytuacja uległa dość dużym zmianom.

Według NSP w 1950 r. ilość gospodarujących indywidualnie chłopów wynosiła 6 311 tys., ilość pomagających — 3 938,8 tys. W naszym rachunku w celu uproszczenia bierzemy pod uwagę tylko gospodarujących, mimo że pomagający również odgrywają pewną rolę w gospodarstwie chłopskim. O ile więc rok pracy ustalimy na 295 dni, wtedy okaże się, że zasób pracy, którym rozporządzaliśmy w 1950 r., wynosił 6 311×295=18 612 mln dniówek. Dla obliczenia faktycznie wykonanej pracy oprzemy się na danych rachunkowiczów IER (dane te przytacza w Ekonomiście Nr 2 z 1956 r. Z. Kozłowski). Przyjmując najwyższe dane podane przez rachunkowiczów, tj. dane dla rejonu południowo-wschodniego jako obowiązujące dla całej Polski (w ogóle należy pamiętać, że dane rachunkowiczów jako gospodarzy stojących na stosunkowo wysokim poziomie są wyższe; w tym wypadku jeszcze je podwyższamy uogólniając dla całej Polski dane rejonu podającego najwyższą ilość dni), otrzymamy następujące ilości dni przepracowanych przez 1 człowieka: dla gospodarstw do 4 ha — 170, w gospodarstwach 4—5 ha — 173, w gospodarstwach 5—10 ha — 174, zaś w gospodarstwach powyżej 14 ha — 189 dni. Ilość gospodarujących w każdej grupie NSP podajemy poniżej:

Przypuszczalne wydatkowana ilość dni (na podstawie danych rachunkowiczów rejonu południowo-wschodniego, przytoczone przez Z. Kozłowskiego)

W gospodarstwach	Ludzi (w tys.)	Mnożnik	Ilość dni zużyta
do 4 ha	2 152	170	355 840
4—5 ha	664	173	114 872
5—10 ha	2 458	174	427 692
powyżej 10 ha	1 037	189	195 593
	6 311	—	1 094 397

A więc przyjmując dane o ilości gospodarstw z 1950 r. otrzymamy, że wieś wydatkuje rocznie nie więcej niż 60% tych zasobów pracy, którymi rozporządza. Jeżeli istniejące zasoby pracy porównamy z ilością pracy zużytej na 1 ha, wtedy różnica między pracą wykonaną a możliwą do wykonania okaże się jeszcze większa.

Tabela 2
Zestawienie ilości pracy przypuszczalnie zużytej z ilością pracy mogącą zostać zużytą w woj. krakowskim i rzeszowskim

Województwo	Ogółem gospodarujących w tys.	z nich gospodarstwa			
		do 4 ha	4-5 ha	5-10 ha	ponad 10 ha
Krakowskie	667,7	414 680	86 028	142 121	23 294
Rzeszowskie	611,3	403 562	85 443	112 500	8 525
Ogółem	1279,0	818 242	171 471	254 621	31 819

Oba te województwa rozporządzają w 1950 r. 1 289 × 295 = 380 255 dniówkami, a wydatkują 218 473. Posiadają więc nadmiar 161,7 dni, co stanowi wielkość reprezentującą powyżej 500 tys. ludzi.

Na ogół według danych z 1950 r. występował w wielu wsiach, zwłaszcza województw południowo-wschodniego rejonu zasób nie wykorzystanej siły roboczej. Jeżeli podaną powyżej metodę obliczenia zastosujemy w odniesieniu do województwa krakowskiego i rzeszowskiego, wtedy okaże się, że oba te województwa rozporządzały w 1950 roku nadmiarem siły roboczej, który reprezentuje ludność wynosząca bez mała pół miliona.

Zdajemy sobie sprawę, iż w tych województwach, podobnie jak w całym kraju, sytuacja od 1950 r. uległa dużym zmianom, niemniej jednak rachunek ten może służyć i nadal jako pewna ilustracja marnotrawstwa pracy żywej towarzysząca nieuchronnie drobnej gospodarce. Przyrost nowych mas ludności wiejskiej w ciągu pięciolatki, zdaniem naszym, marnotrawstwo to może zwiększyć, o ile rzecz jasna plan nie opracuje metod zwiększonego zatrudnienia ludności wsi.

Czy wyjściem z tej sytuacji może być uspółdzielczenie wsi? Jasne, że wielka gospodarka spółdzielcza chroni od marnotrawstwa robocizny. Dla potwierdzenia tej tezy możemy przytoczyć tylko jedno zestawienie: w roku 1954 w Polsce na 100 ha spółdzielczych użytków rolnych przypadło 24 ludzi. O ile tę liczbę pomnożymy przez ilość w ogóle istniejących użytków w Polsce, wtedy okazałoby się, że w naszym rolnictwie wystarczyłoby 4 896 tys. ludzi. A ponieważ ogólna ilość ludzi zawodowo czynnych w rolnictwie wynosiła 7 016 tys. — nadmiar ludności rolniczej wynikły z istnienia drobnej gospodarki wynosił powyżej 2 mln ludzi. Ale właśnie nadmiar ludności stanowi jedną z głównych przeszkód działających hamująco na uspółdzielczenie wsi. W swym indywidualnym gospodarstwie chłop nie liczy pracy, a dochód ze swego gospodarstwa wiąże z szeregiem czynników nie zawsze bezpośrednio związanych z pracą własną lub rodziny. Przy gospodarce spółdzielczej w okręgach, gdzie istnieje silne zagęszczenie ludności, ścisłe powiązanie dochodu z pracą członków spółdzielni budzi u chłopów posiadających mało ziemi poważne obawy co do wysokości dochodu.

Tak więc likwidację nadmiaru rąk roboczych może przyśpieszyć ruch spółdzielczy i na odwrót, przyrost ludności rolniczej w następnej pięciolatce może oddziaływać hamująco na uspółdzielczenie.

Pisaliśmy poprzednio, że nadmiar rąk roboczych we wsi znajduje swój wyraz w procesie dyferencjacji, a raczej rozdrobnienia gospodarstw chłopskich. Proces ten, mimo że na jego przebieg w Polsce Ludowej wpływało szereg dodatkowych czynników, miał miejsce również w ciągu minionego dziesięciolecia, a zwłaszcza w ciągu ostatnich kilku lat.

Przyrost ludności wsi niewątpliwie może proces rozdrabniania gospodarstw przyśpieszyć. Zmniejszenie warsztatu każdej rodziny chłopskiej zwiąże wprawdzie większą ilość robocizny z ziemią, lecz jednocześnie uczyni nadmiar pracy będącej w rozporządzeniu rodziny chłopskiej jeszcze większym, a ciężar ludzi zbytecznych bardziej dokuczliwym.

Sądzę, że należy już w tej chwili przystąpić do badania problemu wzrostu intensywności gospodarstw małorolnych, specyfiki rejonowej, kierunków gospodarowania i warunków, które pozwolą na zatrudnienie całej rodziny, zapewniając wzrost towarowości gospodarki rolnej.

Jeśli problem zatrudnienia ludności wiejskiej pozostawimy żywiołowemu biegowi, grozi nam nie tylko wzrost obciążenia drobnych gospodarstw robocizną, ale również zwiększona zależność tych gospodarstw od gospodarstw kułackich, wzrost wyzysku wsi pracującej. A tego musimy uniknąć.

ROZMAWIAMY O PLANIE PIĘCIOLETNIM

dokończenie NA STRONIE 4

O KRYTYCE

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

poprawa różnych spraw społecznych staje się często wręcz niemożliwa, jeśli ci właśnie konkretni ludzie nie zmienią się lub jeśli ich się nie zmieni.

Ludzie mają to do siebie, że nie lubią, aby ich krytykowano, a niechęć do krytyki jest bardzo często wprost proporcjonalna do zajmowanego stanowiska. Nie dziwmy się temu. Tak było już za faraonów. Nie tolerujmy tego jednak, gdyż nie jest to zjawisko społecznie obojętne. Hamuje ono poważnie proces rozwoju krytyki. Dlaczego tak stosunkowo żywo i swobodnie rozwija się u nas krytyka poświęcona sprawom moralności społecznej — zwłaszcza moralności młodzieży? Sprawa jest nader prosta — nie powołano dotąd jeszcze ministerstwa moralności. Nikt się więc tutaj za krytykę nie obraża. Nikt się nie czuje nią osobiście dotknięty. Gorzej natomiast przedstawia się sprawa z krytyką gospodarczą. Tu, gdzie się nie ruszysz — wszędzie ministerstwo. Wszędzie władza delikatna, wrażliwa, że nie daj Bóg.

FIKCJE NIEALITERACKIE

Myli się głęboko ten, kto twierdzi, że wtedy, gdy czciliśmy jednostkę, nie było wolności krytyki. Była przecież. Można było skrytykować listonosza, „roznieść" konduktora, rozprawić się w sposób zasadniczy z ekspedientką ze sklepu MHD. Można było także bardzo pryncypialnie krytykować kierowników państwa, na przykład... Trumana, Churchilla. Dzisiaj obserwujemy wielkie zmiany. Na warsztat krytyki prasowej wzięto masowo przewodniczących MRN, naczelników wydziałów, dyrektorów, których ponadto ostro krytykują pracownicy innych odległych przedsiębiorstw. Skrytykowano nawet jednego ministra osiągając dość pozytywne rezultaty. Gorzej już powiodło się z pewnym wicepremierem. Krytyczna wzmianka powędrowała do kosza, tym razem nie redakcyjnego.

Ogólnie rzecz biorąc na obecnym — jeśli można się tak wyrazić — etapie, rozwój krytyki ujawnia następującą prawidłowość. Im wyżej się mierzy, tym mniejsze skutki się osiąga. Wobec tego powstaje uprawnione pytanie: na jakim to szczeblu w hierarchii administracyjnej znajdują się te punkty zmiany jakości, w których krytyka przekształca się w bezczelne „krytykanctwo", a to ostatnie w paskudne wręcz „rozrabiactwo", lub co gorsza w „mętniactwo ideologiczne", jeśli już nie wręcz w jawny atak na władzę ludową. Krótko mówiąc — kogo można krytykować? Czy istnieją jakieś podmiotowe ograniczenia krytyki, obowiązujące z uwagi na stanowisko zajmowane przez osobę jej adresata?

Zdrowy rozsądek podpowiada, że wszyscy ludzie są omylni i wszyscy mogą błądzić. Mylić się mogą wykonawcy, mylić się mogą inicjatorzy, mylić się mogą odpowiedzialni za sprawy małe, i mylić się mogą odpowiedzialni za sprawy największe. Różna jest tylko cena, jaką płaci społeczeństwo za nieudolność i błędy popełniane przez ludzi na rozmaitych — mniej lub bardziej odpowiedzialnych — stanowiskach. Różny jest również stopień ich odpowiedzialności przed społeczeństwem. Wprawdzie niektórzy woleliby odpowiadać tylko przed Bogiem i historią — krytykować można wszystkich. Osoba adresata i wysokość zajmowanego stanowiska nie może stwarzać żadnych ograniczeń dla krytyki.

Spotyka się jednak pogląd, że krytyka obniża autorytet krytykowanych osób i dlatego w pewnych sytuacjach nie powinna mieć miejsca nawet wtedy, gdy istnieją ku temu merytoryczne racje. Tak mogą myśleć tylko ludzie małoduszni, którzy miłość własnej osoby przekładają nad dobro sprawy publicznej. Prawdziwego autorytetu krytyka nie obniży, a urojonego jej zaniechanie bynajmniej nie umocni.

Ale — pada replika — nie chodzi o autorytet osoby, lecz instytucji, którą ona reprezentuje. I ten argument jest równie fałszywy jak stary i zaczerpnięto go z takich stosunków społecznych, w których zajmowanie określonych stanowisk jest dziedzicznym przywilejem rodzin lub wąskich kast. W takich stosunkach osoby konkretnych ludzi rzeczywiście zrastają się z określonymi stanowiskami i określonymi instytucjami. W takich właśnie stosunkach rodzi się idea nietykalności różnych osób, zrozumiała z uwagi na nieskuteczność jakiejkolwiek krytyki, skoro o zajmowaniu stanowisk decydują czynniki inne niż społecznie uznane. W społeczeństwie demokratycznym jedynie uprawnionym kryterium przy obsadzie wszelkich odpowiedzialnych stanowisk jest społeczne uznanie dla osobistych wartości kandydata. Wszystkie organa władzy są obieralne. Konkretne osoby obiera się na okres kadencji, a nie dożywotnio. Osoby sprawujące władzę posiadają określone zawody — lekarzy, ślusarzy, inżynierów itp. Obejmując urząd przybywają z określonych stanowisk zawodowych i po upływie okresu kadencji wracają na te stanowiska. Jedynie naruszenie zasad demokracji socjalistycznej może wskrzesić niedorzeczny pogląd o tożsamości osób i reprezentowanych przez nie instytucji. Trzeba jednak pamiętać, że to straszny upiór absolutyzmu.

Często wreszcie krytykowana osoba zasłania się nie tylko autorytetem instytucji i urzędów publicznych, ale również autorytetem Partii. Skoro decyzję wydaną przez konkretnych ludzi na odpowiednich szczeblach aparatu gospodarczego lub administracyjnego uzgodniono z odpowiednimi szczeblami aparatu partyjnego, ma ona już z tej racji otrzymać sankcję nietykalności jako decyzja partyjna. Partia nie sprawuje władzy administracyjnej, ani nie prowadzi działalności gospodarczej. Nie zastępuje ani administracji państwowej, ani aparatu gospodarczego. Do Partii należy inspiracja polityczna i polityczne kierownictwo całokształtem spraw społecznych, a uchwały partyjne dotyczą zasadniczych spraw programowych. Angażowanie autorytetu partyjnego do wszelkich spraw administracyjnych i gospodarczych, w których decydują konkretni i personalnie odpowiedzialni ludzie, deprecjonuje ten autorytet, wyrządzając tym Partii dotkliwą szkodę. Tam, gdzie poszczególni pracownicy aparatu partyjnego działają w zastępstwie aparatu administracyjnego lub gospodarczego, podlegają normalnej krytyce publicznej. Zaś w swojej działalności politycznej wszystkie instancje partyjne od egzekutyw POP do Biura Politycznego KC liczą się z głosem opinii publicznej i podlegają krytyce wewnątrzpartyjnej.

IMMUNITET KRYTYKI

Mówiliśmy o tym kogo można krytykować. Zastanówmy się obecnie nad tym, kto może krytykować.

I tutaj przeszłość dostarcza pewnych wzorów, których nawet przy największej słabości dla tradycji nie warto dalej kultywować. Tak się już jakoś składało, że krytyka postępowała na ogół od góry. Złośliwi insynuowali tu nawet istnienie cichego „podziału pracy" — górom miała przypadać krytyka, a dołom samokrytyka. Dzisiaj słusznie wysuwamy na czoło hasło krytyki od dołu. Nie w tym jednak rzecz. Na ogół zawsze wysuwaliśmy słuszne hasła i nie na braku takich haseł polegała nasza słabość. Decydujące zadanie polega dziś nie na tym, ażeby do słusznych i pięknych haseł dorzucić jeszcze kilka niemniej urodziwych, a na tym, ażeby przy pewnym nawet umiarkowaniu w tym zakresie zwracać uwagę, aby wysuwane hasła były rzeczywiście realizowane. Tak się ma właśnie rzecz z krytyką oddolną. W praktyce zbyt często jeszcze odzywa się ona dopiero na „odgórny" sygnał. Wciąż jeszcze spotyka się poglądy zawierające przeróżne próby dorobienia ogólnej teorii do tego niewątpliwie bardzo podejrzanego nowotworu jakim jest „odgórno-oddolna" krytyka.

Najbardziej rozpowszechnione z nich zawierają tezę, że krytyka oddolna nie może być konstruktywna wobec braku znajomości wszystkich niezbędnych przesłanek, materiału faktycznego, a także „racji wyższego rzędu", przeróżnych „obiektywnych okoliczności" itp. Wobec tego jakoby działa ona destrukcyjnie, rodząc rozprzężenie, upadek dyscypliny, zamęt itp. Jest to dobrze znana teza o „szkodliwości" krytyki. Uderza ona w gruncie rzeczy w oddolną krytykę mas i szerokiej opinii publicznej i stanowi próbę podmiotowego ograniczania krytyki, której prawo rezerwuje tylko dla wielkich wtajemniczonych, zawsze lepiej wiedzących co można i co trzeba robić, aby uszczęśliwiać ludzi. Pogląd ten zawiera ponadto domniemanie, że szeroki ogół obywateli cechuje niedorozwój umysłowy, który sprawia, że trzeba ich jak maleńkie, niezdolne do samodzielnego myślenia, dzieci prowadzić za rękę, zezwalając łaskawie od czasu do czasu na przeżucie gotowych rozwiązań podanych przez „wyższe czynniki".

Rozumowania tego nie można odnieść ani do logiki formalnej, ani do dialektycznej. Jest ono po prostu przedziwne. Ludzi pozbawia się najpierw wzroku, a potem gani się za to, że nie rozróżniają barw. Jeżeli istotnie w prasie ukazują się niekiedy wypowiedzi zawierające wnioski niesłuszne, gdyż oparte są o fałszywe lub niekompletne dane faktyczne, o niedostateczną znajomość sytuacji w krytykowanej dziedzinie, przyczyną tego jest często brak możliwości uzyskania takich danych, wciąż jeszcze niedostateczna jawność życia społecznego. Mglistość i tajemniczość, która osłania wiele istotnych spraw — oto w czym należy szukać źródeł wielu niesłusznych wystąpień w prasie. Opinię publiczną, którą w konkretnych sprawach reprezentują zwykle fachowcy, stać na wypowiedzi w pełni konstruktywne i dojrzałe. Należy ją jednak rzetelnie i wyczerpująco informować o sprawach społecznych i gospodarczych. Pełna jawność jest kardynalnym warunkiem rzeczywistej demokratyzacji życia publicznego. Likwiduje ona podział na wtajemniczonych i szarą masę, instytucję typową dla stosunków oligarchicznych. Co się zaś tyczy krytyki merytorycznej, słusznej i opartej na dobrej znajomości przesłanek, ta nigdy nie może szkodzić. Lecz jeśli z takiej krytyki odpowiedzialne czynniki na skutek indolencji lub innych przyczyn nie wyciągają szybko odpowiednich wniosków — skutki tego w pewnych sytuacjach istotnie mogą być opłakane. Jednakże fakt ten w żadnym razie nie stanowi argumentu przemawiającego na rzecz ograniczania krytyki. Posługując się kryteriami podmiotowymi, trudno znaleźć i uzasadnić jakiekolwiek granice krytyki.

Zwróćmy więc obecnie uwagę na treść krytyki.

Dyskusja o krytyce jest częścią dyskusji o demokratyzacji. Stąd istotne treści społeczno-polityczne odbywającego się u nas procesu demokratyzacji trzeba przyjąć za punkt wyjścia rozważań o treści krytyki.

Nie zmierzamy do absolutnej wolności głoszenia wszelkich poglądów. Nie zamierzamy też łamy prasy ani innych trybun publicznych otworzyć dla wszelkiej krytyki. Nie będziemy dyskutowali o tym czy należy budować w Polsce socjalizm, czy też restytuować kapitalizm. Nie chodzi o demokrację w ogóle, lecz o demokrację socjalistyczną. Z wolności może korzystać tylko ta krytyka, która nie godzi w podstawowe cele polityczne i gospodarcze naszego ustroju. Jest to zatem wolność ograniczona. Absolutnej wolności nie zna dotychczasowa historia społeczeństwa. Spotykane często szermowanie hasłem wolności w ogóle, w oderwaniu od układu sił klasowych i konkretnych stosunków społecznych jest zwykłą demagogią.

Stalinizm doprowadził jednak do perfekcji demagogię idącą w przeciwstawnym kierunku. Mieliśmy w przeszłości jakże liczne przykłady, gdy straszak „ograniczonej wolności" wykorzystywany był dla utrącenia wszelkiej krytyki dotykającej istotniejszych spraw politycznych, gospodarczych i ideologicznych. Przy tym subiektywne intencje ledwie zauważano i to tylko po to by podkreślić, że nie o nie tu chodzi, lecz o „obiektywny wydźwięk". Wszędzie węszono wrogość, dywersję, sabotaż i infiltrację. Czujność naszą „zaostrzono" do tego stopnia, że zaczęliśmy się lękać rozmowy z własnym sumieniem. Straszak ten, jak i straszak demoliberalizmu nie wyszedł z użycia do dziś.

Dlatego trzeba sobie jasno powiedzieć — do ograniczeń wolności słowa sięgamy tylko w stosunku do poglądów jawnie i niedwuznacznie wrogich.

Wobec wszelkich innych poglądów, których głosiciele deklarują się jako zwolennicy obecnych podstaw ustrojowych, obowiązuje zasada domniemania szczerości ich intencji politycznych. Tylko konsekwentne egzekwowanie tej zasady może zapewnić rzeczową dyskusję i krytykę oraz ostateczne zlikwidowanie atmosfery pogoni za czarownicami. Domniemanie szczerości zakłada przyznanie krytykującemu prawa do błędów w sprawach politycznych, gospodarczych i ideologicznych. Tymczasem ciągle jeszcze pokutuje przekonanie, że w pewnych, bardzo ważnych sprawach można tylko ulegać naciskowi, odstępować od generalnej linii, zrywać z duchem marksizmu, a najprościej zatruwać jadem anty... Ciągle jeszcze w pytaniu: „z jakich pozycji..." nad analizą argumentów przeciwnika góruje tendencja węszenia „kto" krytykuje.

Słyszy się często zarzut, że krytyka jest nietwórcza, że ogranicza się ona do wydobycia ciemnych, negatywnych stron. I tu jest pewne nieporozumienie. Nie można żądać od każdego krytykującego pozytywnego programu zaradzenia złu. Dopiero wyczerpująca i wszechstronna krytyka może być podstawą dla sformułowania programu działania. Dobrze jest oczywiście jeżeli krytyk występuje z receptą, ale tak bywa rzadko. Dlatego żądanie recepty czy programu jako legitymacji uprawniającej do krytyki jest równoznaczne z tłumieniem krytyki.

Wielkie szkody przynosi sprawie krytyki dość powszechne przekonanie, że z ujawnieniem braków, błędów i wypaczeń należy zaczekać aż zostaną opracowane konkretne środki zaradcze. Sądząc, że samo wyciąganie na światło dzienne nieprzyjemnej prawdy „demoralizuje", rodzi pesymizm, rezygnuje się lekkomyślnie z udziału opinii publicznej w rozwiązywaniu trudnych problemów. Tu tkwią między innymi przyczyny dawania odgórnych sygnałów do krytyki, oczywiście razem z mniej lub bardziej określoną terapią. Jeszcze tak niedawno — już po XX Zjeździe jeden z naszych wybitnych działaczy zachęcał do regulowanej „krytyki w ramach i na bazie samokrytyki" (kierownictwa). Przestrzeganie tej zasady musiałoby prowadzić do dawkowania krytyki, regulowania, wpychania jej w ciasne ramy itd. Na szczęście ostatnie Plenum odcięło ten złośliwy nowotwór.

★

Nie poruszaliśmy wielu palących problemów. Na szczególną uwagę zasługują: sprawa kierowniczej roli Partii w dyskusji, konieczności ustalenia nowych stosunków między Partią, ściślej instancjami partyjnymi a prasą, problem wolności prasy, szczególnie wolności od rozwiniętego do karykaturalnych rozmiarów, prewencyjnego systemu zapobiegania głoszeniu błędnych poglądów; sprawa innych instytucjonalnych warunków wolności krytyki, jak np. rzeczywista a nie fikcyjna jawność życia politycznego i gospodarczego. Niektóre z nich stają się już przedmiotem dyskusji. Poruszenie zaś problemu profilaktyki wymaga szczególnych kwalifikacji, a dyskusja nad nim nie wyszła jeszcze poza stadium przedruków z dzieł klasyków iluzji i alegorii. Jesteśmy jednak dobrej myśli.

Tadeusz Kowalik
Władysław Sadowski

7 wrzesień 1956

PRZEDE WSZYSTKIM INWESTYCJE EFEKTYWNE

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Jak wyglądają gałęzie przemysłu wytypowane na podstawie przesłanek czysto ekonomicznych, jeżeli rozpatrywać je z punktu widzenia wymienionych tutaj elementów związanych ściśle z branżą? Przypominam, że do kapitałoszczędnych należą przemysły: farb, gumy i farmacji, a do pracochłonnych: włókna sztuczne, kopalnictwo i organika.

W przemyśle farb i lakierów stosunki surowcowe przedstawiają się korzystnie; mamy rozwiniętą produkcję sztucznych żywic lakierniczych i pigmentów. Przy istniejącej bazie węglopochodnych i naftopochodnych nie ma trudności w dalszym rozwijaniu produkcji rozpuszczalników, nie ma również trudności w uzupełniającym imporcie olejów. Aparatura nietonażowa, łatwa i szybka do montażu. Baza naukowa o dość dużej tradycji i dorobku, wymagająca jednak znacznego rozwoju ilościowego i kontaktu z zagranicą. Możliwości eksportowe potencjalnie dość duże.

Jeżeli chodzi o bazę surowcową przemysłu farmaceutycznego, w dalszym ciągu dominującą rolę grają tu produkty destylacji smoły węglowej, przy czym wymagane jest tu jedynie rozszerzenie asortymentu. Drugą bazą są odpady przemysłu mięsnego, służące głównie do wyrobu preparatów hormonowych. Tutaj również posiadamy bardzo duże możliwości eksportu przetworów mięsnych. Zaplecze naukowe silne, o bogatym dorobku. Potrzebna aparatura lekka, szybka w wykonaniu, w niewielkim stopniu importowana, głównie w dziedzinie automatyzacji. Możliwość szybkiego inwestowania i szybkiej amortyzacji. Możliwości silnego eksportu, który został już zapoczątkowany.

W przemyśle gumowym podstawowy surowiec, tzn. kauczuk naturalny musi być oczywiście importowany. Ponieważ istnieje realna możliwość zastosowania powyżej 60% kauczuku syntetycznego, już dzisiaj widać, że budowana w Oświęcimiu jednostka na 30 tys. ton kauczuku syntetycznego będzie niewystarczająca. Brak również zamierzeń budowy kauczuku butylenowego. Pozostałe surowce, takie jak kreda, siarka i inne chemikalia, są produkowane w kraju, trzeba jedynie w pewnym stopniu rozszerzać asortyment. Dotychczasowy dorobek naukowy — stosunkowo niewielki.

Na skutek lokalizacji produkcji syntetycznych kauczuków w przemyśle syntezy chemicznej — brak powiązania badawczego i niedostateczna koordynacja prac. Baza naukowa, należąca jeszcze w dużym stopniu do aparatury lekkiej, zaniedbana w krajowym przemyśle maszynowym, mimo pewnych tradycji i możliwości znacznej rozbudowy. Szybkość realizacji inwestycji mniejsza niż w dwóch poprzednio omówionych gałęziach przemysłu. Możliwości eksportowe duże. W zakresie obuwia gumowego, mamy tradycyjne rynki Bliskiego Wschodu. Moglibyśmy również — za przykładem Czechosłowacji — podjąć eksport opon, a tymczasem Polska blisko trzecią część zapotrzebowania w tej dziedzinie pokrywa z importu, wskutek dotychczasowego niedoinwestowania.

Jeżeli chodzi o przemysły pracochłonne, trzeba pamiętać, że chemia w ogólności jest przemysłem mało pracochłonnym, tak że różnicę tu występujące odgrywają mniejszą rolę w porównaniu np. do różnic między chemią a włókiennictwem. Jeżeli chodzi o przemysł włókien sztucznych, to odznacza on się dużą pracochłonnością właśnie dlatego, że część procesu produkcyjnego ma charakter włókienniczy. Przemysł ten ma bardzo niekorzystny wskaźnik inwestycyjny; okres inwestycji jest bardzo długi, aparatura ciężka, jednak w znacznym stopniu dostępna w kraju. Przygotowanie naukowe — duże. Dotychczasowa bardzo silna rozbudowa tego przemysłu wynikała głównie z potrzeb zmniejszenia importu włókien naturalnych.

Jak wynika z porównania wskaźników efektywności inwestycji, bardziej racjonalne jest inwestowanie przemysłu farmaceutycznego czy gumowego, eksportowanie zaś ich wyrobów oraz zakup odpowiednio większych ilości bawełny i wełny. Dalszą więc rozbudowę przemysłu włókien sztucznych należałoby ograniczyć do czasu zwiększenia puli środków inwestycyjnych.

W kopalnictwie — z kopalnych surowców chemicznych przedmiotem eksportu może być w Polsce sól kuchenna obecnie, a siarka w przyszłości. Jakkolwiek w zasadzie eksport surowców jest zawsze mniej opłacalny niż eksport produktów, to jednak stanowi on podstawowy czynnik niezależnej wymiany międzynarodowej, gdzie zarówno importuje się surowce a eksportuje produkty, jak i odwrotnie. Ten system eliminuje możliwości powstawania państw uprzywilejowanych i wyzyskiwanych. Pod względem efektywności inwestycji kopalnictwo stoi mniej więcej na poziomie przemysłu organicznego. Podstawą surowcową w przemyśle organicznym jest przede wszystkim smoła węglowa, której jesteśmy jednym z najpoważniejszych producentów w skali światowej. Przemysł ten pod względem efektywności mieści się pośrodku między grupą chemii lekkiej a ciężką syntezą nieorganiczną, jest więc inwestycyjnie dość korzystny. Podstawy naukowe do rozwoju są analogiczne jak w przemyśle lakierów — ilościowo na średnim poziomie, z możliwością znacznej rozbudowy. Możliwości eksportowe, zwłaszcza w dziedzinie barwników, są dość duże. Przemysł ten obejmuje z jednej strony przetwórstwo produktów destylacji smoły węglowej na półprodukty dla przemysłu farmaceutycznego czy barwników, z drugiej strony zaś produkcję z tych półproduktów barwników, garbników, środków ochrony roślin itd. Zarówno jako ogniwo przetwórcze jak i wytwórcze stanowi on niezbędny i bardzo ważny element rozwoju przemysłu chemicznego.

Jak wygląda rozwój przemysłu chemicznego w sześcioleciu i w pięcioleciu i w jakim stopniu jest on zgodny z wnioskami wynikającymi z przesłanek ekonomicznych? Produkcja niektórych ważniejszych wyrobów przedstawiona jest w tabeli 2 (w tys. ton).

Procentowy udział nakładów inwestycyjnych w planie sześcioletnim i pięcioletnim w ważniejszych gałęziach przemysłu chemicznego przedstawia tabela 3.

Porównanie udziału nakładów inwestycyjnych w planie sześcioletnim i pięcioletnim wskazuje na przesunięcia w latach 1955—1960 zgodne z omówioną wyżej zasadą efektywności inwestycji. Następuje bowiem zwiększenie udziału nakładów w najbardziej efektywnych przemysłach. Maleje natomiast udział nakładów w mało efektywnych przemysłach: nieorganicznym, nawozów azotowych i włókien sztucznych. Respektowana jest również zasada przewagi produkcji środków produkcji, ponieważ wzrasta przeszło dwukrotnie udział nakładów w przemyśle ciężkiej syntezy organicznej, w którym zawierają się takie produkcje, jak kauczuk syntetyczny, surowce do sztucznych tworzyw — polichlorek winylu i polistyren, surowce do syntetycznych włókien — kaprolaktam i akrylonitryl. Zwiększają się poważnie nakłady na kopalnictwo — którego rozwój jest korzystny z jednej strony z racji dużej pracochłonności w porównaniu z innymi gałęziami, a z drugiej wobec stworzenia podstawy eksploatacji złóż siarkowych, będących po węglu naszym drugim bogactwem narodowym.

Tabela 2

Wyrób	1949	1955	1960 (plan)
kwas siarkowy	273	450	768
soda kalcynowana i kaustyczna	177	473	660
nawozy azotowe i fosforowe w przeliczeniu na czysty składnik	148	286	609
barwniki	3,7	6,1	8,6
wyroby lakiernicze	10,6	41,3	80,0
wyroby gumowe	20,3	66,1	136,5
włókna sztuczne i syntetyczne ogółem	23,1	54,0	82,6
wyroby farmaceutyczne (mln zł w cenach porównywalnych)	66	705	1740

Oprócz tych dodatnich cech w planie pięcioletnim występują również ujemne. Analiza bilansów materiałowych na rok 1960 wskazuje, że bardzo niewielka część produkcji przemysłu farmaceutycznego, gumowego oraz farb i lakierów przeznaczona jest na eksport, a właśnie te gałęzie przemysłu predestynowane są do produkcji na eksport z racji efektywności inwestycyjnej oraz wysokiej wartości produktów.

Tabela 3

przemysł	1950-55 (w procentach)	1956-60 (w procentach)
azotowy	22,1	12,5
nawozów fosforowych	1,3	1,5
kwasu siarkowego	4,3	2,6
nieorganiczny	15,2	11,8
syntezy organicznej ciężkiej	9,0	20,0
organiczny	8,8	10,7
farmaceutyczny	2,8	4,1
włókien sztucznych	16,4	12,0
gumowy	4,4	6,7
tworzyw sztucznych	1,2	3,3
farb i lakierów	0,8	1,9
gazów technicznych	1,2	1,0
surowców kopalnych	4,5	9,8
inne	8,0	2,6

Należałoby więc zwiększyć inwestycje w tych przemysłach kosztem zmniejszenia w innych, mniej rentownych. Przy rozwijaniu eksportu należy pamiętać o podstawowej zasadzie, że najbardziej opłacalny jest eksport produktów zawierających możliwie maksymalną ilość pracy żywej i uprzedmiotowionej. Jeżeli przyjąć np. koszt produkcji 1 tony sody kalcynowanej za 100, to koszt witaminy B_1 wyniesie 100 000, a więc powinno się dążyć do eksportu witaminy, a nie sody. Eksport sody może być tolerowany w warunkach dążenia do zrównoważenia bilansu płatniczego, natomiast rozwijanie tej produkcji w celach eksportowych nie jest ekonomicznie uzasadnione.

Nie jest również w planie pięcioletnim korzystny słaby stosunkowo rozwój przemysłu organicznego, który powinien być rozwijany m. in. dla wymienionych przyczyn. W chwili obecnej eksportujemy bowiem bezpośrednie produkty przemysłu koksochemicznego z destylacji smoły węglowej w postaci benzolu czy naftalenu, natomiast rolą przemysłu organicznego jest przetwórstwo produktów koksochemii na bardziej uszlachetnione formy.

Należy zwrócić uwagę, że bez rozwinięcia szerokiego eksportu nie może być mowy o aspekcie ekonomicznym przy prowadzeniu wielu inwestycji, ponieważ nie można w większości przypadków budować fabryk o optymalnej wielkości produkcji, z uwagi na to, że wielkość krajowego zapotrzebowania na dany produkt leży poniżej optymalnej wielkości produkcji.

Ogólnie biorąc, rozwinięcie na dużą skalę eksportu chemicznego wymaga daleko idących zmian w organizacji pracy aparatu handlu zagranicznego oraz równie gruntownych zmian ze strony przemysłu. Najistotniejszą jest tu szybkość prowadzenia inwestycji. Rozwijanie eksportu wymaga oferowania w krótkich odstępach czasu coraz to nowych asortymentów produktów, coraz bardziej uszlachetnionych i coraz trudniejszych do opanowania w danej gałęzi przemysłu.

Jeżeli dziś mamy zapewniony zbyt na najprostsze rodzaje barwników, to jutro nasi dzisiejsi odbiorcy uruchomią produkcję tych asortymentów we własnym zakresie, a dla utrzymania się na rynku musimy z kolei produkować bardziej skomplikowane formy. W tym wyścigu państw-eksporterów wygrywa nie tylko ten, kto ma bardziej operatywną i doświadczoną obsługę handlową, lecz również ten, kto ma możliwości szybkiego opanowania i uruchomienia nowych asortymentów produkcji.

W naszych warunkach przemysłowych wymaga to koncentracji wysiłków kadr naukowych i projektowych na najbardziej efektywnych gałęziach produkcji, znacznego zwiększenia ilościowego kadr naukowych oraz kilkakrotnego przyspieszenia tempa inwestycji. W państwach o wysokim poziomie technicznym uważa się, że przy szybkim obecnie postępie technicznym, jeśli inwestycja trwa dłużej niż dwa lata, jest już ona moralnie zużyta. Podstawowym warunkiem dla naszego przemysłu jest osiągnięcie średnio dwuletniego okresu realizacji inwestycji.

Dla rozwinięcia eksportu potrzeba również ze strony przemysłu poprawy jakości produktów, uelastycznienia planów produkcji pod względem ilościowym i asortymentowym oraz dostosowanie ich do indywidualnych potrzeb państw importujących, jak również nawiązanie bardzo ścisłego współdziałania z placówkami handlu zagranicznego, m. in. w zakresie zamierzeń inwestycyjnych oraz potrzebnego asortymentu produkcji.

T. B. Kozłowski

O NOWY SYSTEM FINANSOWANIA PRZEDSIĘBIORSTW

ZAGADNIENIA finansowe nie należą do problematyki prostej, jasnej i łatwo zrozumiałej. Niezależnie od szerokości i długości geograficznej finanse stanowią dziedzinę skomplikowanych powiązań i zawiłych rozważań. Jeden z dyrektorów Banku Anglii Sir Basil Blackett, mówiąc o zagadnieniach finansowych wyraził się kiedyś żartobliwie, że w zakładach dla obłąkanych najliczniejszą kategorię stanowią spece od gry w szachy, a zaraz po nich na drugim miejscu figurują eksperci finansowi. Zdanie to wypowiedziane zostało kilkadziesiąt lat temu w specyficznych warunkach kryzysu gospodarczego. Wydaje się jednak, że system finansowy, który obecnie stworzyliśmy w naszej gospodarce, nasuwać musi podobnie nieprzyjemne refleksje.

Można bez przesady powiedzieć, że nasz system finansowania przedsiębiorstw osiągnął wyżyny skomplikowania, centralizacji, zbiurokratyzowania, przesadnej drobiazgowości w zakresie przepisów, klasyfikacji itd. Obecny system finansowania stwarza taki ogrom szczegółowych, drobiazgowych instrukcji i przepisów, że opanowanie całego materiału nie leży w granicach ludzkich możliwości. Zarówno dyrektor przedsiębiorstwa, jak i jego zespół finansowy poruszają się wśród tego ogromu przepisów jak w dżungli z tą jednak różnicą, że człowiek zbłąkany w dżungli żyje nadzieją ocalenia i kresu swej koszmarnej wędrówki, a finansista nadziei tej nie ma.

Finansowanie środków obrotowych przedsiębiorstw, finansowanie inwestycji i kapitalnych remontów, rozliczenia z budżetem, planowanie finansowe itd. — oto nazwy poszczególnych elementów, które razem tworzą skomplikowany labirynt zwany systemem finansowym.

Nieubłagana konieczność decentralizacji naszej gospodarki, wzmocnienia samodzielności przedsiębiorstw, likwidacji przesadnej centralizacji w zakresie zarządzania — stwarza przesłanki dla dokonania rewizji naszego dotychczasowego systemu finansowania przedsiębiorstw. Reforma tego systemu, która staje się sprawą pilną, powinna być dokonana równolegle z szeregiem prac organizacyjnych, idących w kierunku decentralizacji, uproszczenia i uelastycznienia metod zarządzania naszą gospodarką.

W rozważaniach mych ograniczę się do jednego odcinka systemu finansowania, a mianowicie do zagadnienia finansowania środków obrotowych przedsiębiorstw, nie dotykając tak „pikantnych" problemów, jak np. finansowanie inwestycji i kapitalnych remontów.

Wydaje się, że z obecnego systemu finansowania środków obrotowych należałoby wyeliminować dwa elementy, które teoretycznie stanowić miały czynniki planowo-finansowe, a w praktyce bądź straciły swój sens (normatywy finansowe), bądź go nigdy nie miały (branżowe limity kredytowe).

Zacznijmy od normatywów.

Instrumentem, przy którego pomocy dokonywany jest podział potrzeb finansowych przedsiębiorstw (stałe i zmienne), a tym samym ich zakwalifikowanie do odpowiedniego źródła finansowania, jest normatyw. Wielkość normatywu decyduje o dotacjach z budżetu i o wysokości kredytu otrzymywanego przez przedsiębiorstwa.

Normatyw w swych założeniach teoretycznych powinien reprezentować uzasadnione — z punktu widzenia ekonomicznego, technicznego i organizacyjnego — stałe potrzeby przedsiębiorstwa. Czy tak jest istotnie w praktyce?

Wydaje się, że zatwierdzone normatywy przedsiębiorstw w coraz mniejszym stopniu reprezentują uzasadnione gospodarczo potrzeby przedsiębiorstw. Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że projektowane przez resorty normatywy są poddawane odgórnym, dość mechanicznym „cięciom", pozostającym w ścisłej współzależności z aktualnymi możliwościami finansowymi budżetu państwa. Jeśli jednak wielkość normatywu uzależniamy od możliwości budżetu w danym okresie czasu, a nie od obiektywnych potrzeb przedsiębiorstw, to tym samym sankcjonujemy mechaniczny charakter korekty projektowanych normatywów i podważamy zasadę planowości normatywów.

Normatyw finansowy jest wynikiem przyjęcia pewnych ekonomiczno-technicznych założeń dla rzeczowych norm i wskaźników, które stanowią podstawę dla wyliczenia poszczególnych normatywów. Jeżeli kwestionujemy normy czy wskaźniki, wówczas możemy podważyć i wielkość normatywu finansowego. Lecz nie odwrotnie. Stwierdzenie, że normatyw finansowy jest za wysoki ze względu na aktualne możliwości jego finansowego pokrycia, nie może wywierać wpływu na ustalenie wielkości poszczególnych normatywów i podważać ich gospodarczej słuszności.

Zjawisko mechanicznego „cięcia" normatywów na wszystkich szczeblach przybrało ostatnio charakter dość powszechny. W tych warunkach centralnemu zarządowi trudno jest podejmować merytoryczną polemikę z przedsiębiorstwem i tłumaczyć, dlaczego ustala mu normatyw na zbyt niskim poziomie. Normatywy coraz bardziej przybierają charakter improwizacji, nie mającej nic albo bardzo niewiele wspólnego z realnymi, gospodarczo uzasadnionymi potrzebami przedsiębiorstw.

Oderwanie normatywu od ekonomicznie uzasadnionych potrzeb przedsiębiorstwa i uzależnienie go od aktualnych możliwości finansowych budżetu doprowadziło do sytuacji, w której normatywy przedsiębiorstw, stanowiące jeden z podstawowych elementów naszego systemu finansowego, są w swej ogromnej masie błędne. W konsekwencji, teoretycznie precyzyjnie skonstruowany i rozbudowany system finansowania ze środków budżetowych i z kredytu opiera się na zwodniczej podstawie, co podważa celowość i prawidłowość funkcjonowania tego systemu.

Trudno byłoby dzisiaj podbudować przykładami tezę, że normatywy przedsiębiorstw w 1956 r. reprezentują bardziej rzetelnie i prawidłowo potrzeby przedsiębiorstw, aniżeli normatywy np. w 1952 r. Natomiast powszechne jest zjawisko odwrotne, tj. oderwanie się normatywów od istotnych potrzeb przedsiębiorstwa. Konsekwencją tego jest dowolność i przypadkowość w klasyfikacji środków obrotowych (normatywne i ponadnormatywne) i ustalaniu źródeł ich finansowania.

Jeżeli uwzględnimy, że w okresie planu pięcioletniego budżet państwa bardzo silnie obciążony będzie wzrastającymi zadaniami w zakresie finansowania potrzeb socjalnych — można liczyć się ze wzmagającą się tendencją budżetu do „cięcia" normatywów w zależności od możliwości finansowych budżetu.

W tym stanie rzeczy należałoby dokonać zasadniczej zmiany w systemie finansowania przedsiębiorstw. Zmiana ta powinna polegać na wyeliminowaniu elementu przypadkowości i dowolności, jaki reprezentuje normatyw.

Wydaje się, że w tym celu należałoby przyjąć następujące założenia:

1) finansowanie wszystkich potrzeb w zakresie środków obrotowych przy pomocy kredytu bankowego,

2) wyeliminowanie wszelkich dotacji budżetowych na pokrycie środków obrotowych, poza dotacjami na planowane straty (przedsiębiorstwa planowo-deficytowe),

3) odprowadzanie całego zysku do budżetu po potrąceniu poważnej kwoty do podziału między załogę przedsiębiorstwa,

4) wyeliminowanie normatywu, jako instrumentu rozgraniczającego potrzeby finansowe przedsiębiorstw o charakterze stałym i zmiennym.

Zaspokajanie potrzeb finansowych przedsiębiorstw w zakresie środków obrotowych wyłącznie przy pomocy kredytu bankowego zapewniłoby najwyższą elastyczność i wyeliminowałoby zamrażanie funduszów pochodzących z budżetu (np. przy istnieniu stanu środków obrotowych poniżej normatywu). Nastąpiłoby uniezależnienie finansowania środków obrotowych od wielkości normatywu, który w obecnych warunkach nie reprezentuje rzeczywistych, stałych potrzeb przedsiębiorstwa. Bank finansowałby w tym systemie całość środków obrotowych bez podziału na środki normatywne i ponadnormatywne. Oczywiście przedsiębiorstwo uciekałoby się do kredytu bankowego w tych przypadkach, gdy zachodziłaby tego potrzeba ściśle z punktu widzenia przedsiębiorstwa. Zysk przedsiębiorstwa byłby odprowadzany bieżąco do budżetu po potrąceniu pewnego odsetka, przeznaczonego do podziału między załogę przedsiębiorstwa. Odsetek ten powinien być dostatecznie wysoki, ażeby naprawdę zainteresować całą załogę w pracy i w wyniku przedsiębiorstwa.

Czy proponowane w powyższym systemie eliminowanie normatywów, jako instrumentu rozgraniczającego potrzeby finansowe przedsiębiorstw o charakterze stałym (budżet) i zmiennym (kredyt), oznacza zmniejszenie roli planowości w stosunku do obecnego stanu rzeczy? Nie. Eliminowanie normatywu finansowego nie oznacza eliminowania elementów planowości w gospodarce środkami obrotowymi. Przecież nie do pomyślenia jest dzisiaj nowoczesne przedsiębiorstwo przemysłowe bez ustalonych norm zużycia, wielkości zapasów minimalnych i całego zespołu elementów normowania i planowania, ułatwiających zarządzania aparatem zaopatrzenia, produkcji i zbytu. Normowanie miałoby jednak — w proponowanym systemie — zdrowy, rzeczowy charakter i pozostawałoby w ścisłym związku z konkretnymi potrzebami przedsiębiorstw.

Z chwilą wprowadzenia projektowanego systemu finansowego należałoby wycofać z przedsiębiorstw własne fundusze obrotowe i to niezależnie od tego czy powstały one w trybie samofinansowania (akumulacja własna), czy z dotacji budżetowych. W miejsce wycofanych funduszów obrotowych udzielony zostałby przez bank niezbędny kredyt obrotowy.

Tego rodzaju zmiana w systemie finansowym dotyczyłaby tylko funduszów finansujących środki obrotowe, a nie funduszów finansujących środki trwałe. Fundusze finansujące środki trwałe pozostałyby w przedsiębiorstwach, lecz byłyby oprocentowane, podobnie jak i kredyty obrotowe (nie oznacza to oczywiście, że przy tej samej stopie procentowej). W ten sposób otrzymalibyśmy wyraźne rozgraniczenie środków trwałych i środków obrotowych również w płaszczyźnie sposobu ich pokrycia (sfinansowania). Wydaje się nawet, że rozgraniczenie to byłoby bardziej konsekwentne niż dotychczas.

Rezultatem stosowania obecnego systemu finansowego jest niesłychanie pracochłonny mechanizm ustalania i korygowania normatywów oraz mechanizm rozliczeń z budżetem z tytułu finansowania środków obrotowych oraz zysków i strat. Proponowany system finansowania przedsiębiorstw pozwoliłby na eliminowanie bardzo wielu prac i uprościłby obsługę finansową przedsiębiorstw.

Projektowany system finansowania zapewnia przedsiębiorstwu niezbędną elastyczność, a jednocześnie stwarza stały skuteczny bodziec ekonomiczny. Przy dotychczasowym systemie dotacje z budżetu na uzupełnienie funduszów własnych były udzielane bezprocentowo. Tryb bezprocentowej dotacji budżetowej nie stanowił choćby w najmniejszym stopniu bodźca dla efektywnej gospodarki środkami obrotowymi, raczej przeciwnie. Przy systemie finansowania środków obrotowych wyłącznie oprocentowanym kredytem (przy dość wysokiej stopie procentowej) uzyskujemy bezpośredni i leżący w bardzo szerokiej płaszczyźnie związek z kosztami własnymi przedsiębiorstwa, a co za tym idzie z wynikiem (zysk). Jeżeli równocześnie, pozostawiając część zysku w przedsiębiorstwie do podziału między pracowników, zainteresujemy kierownictwo i załogę przedsiębiorstwa wynikiem działalności — uruchomimy skuteczny i stały bodziec ekonomiczny.

Finansowanie całości środków obrotowych przy pomocy kredytu wzmocni niewątpliwie oddziaływanie prawa wartości na produkcję i pogłębi rozrachunek gospodarczy.

W miarę realizacji słusznej tendencji decentralizacji zarządzania i usamodzielnienia przedsiębiorstw należy również i w zakresie finansów wzmocnić pozycję przedsiębiorstwa i samodzielność jego kierownictwa możliwie ograniczając odgórne decyzje jednostek nadrzędnych „usztywniające" działalność finansową przedsiębiorstwa (odgórne mechaniczne ustalanie normatywów, limitów kredytowych).

O tym, kiedy i ile potrzeba przedsiębiorstwu środków finansowych, a więc kredytu bankowego — decydować powinno kierownictwo przedsiębiorstwa w miarę realnych, bieżących potrzeb, przy czym z wyjaśnionych wyżej względów — przedsiębiorstwo będzie starać się — gospodarować jak najbardziej ekonomicznie i korzystać z kredytu tylko w koniecznych przypadkach. Kontakt przedsiębiorstwa z oddziałem banku jest znacznie bardziej bezpośredni, żywy, aniżeli kontakt przedsiębiorstwa z budżetem. Dotowanie z budżetu ma niewątpliwie charakter bardziej sztywny, mechaniczny. Ponieważ przy proponowanym systemie przedsiębiorstwo korzystać będzie z kredytu w znacznie większym stopniu niż dotychczas (na sfinansowanie całości środków obrotowych) i kontakt przedsiębiorstwa z bankiem będzie bardziej żywy i częstszy niż dotychczas, przeto należy możliwie uprościć mechanizm udzielania kredytów obrotowych.

Obecnie kredytowanie przedsiębiorstw odbywa się w ramach limitów kredytowych.

Wydaje się, że dotychczasowa procedura planowania limitów kredytowych, ich rozdziału i zmian jest bardzo pracochłonna, zbyt scentralizowana i niekonsekwentna. Procedura ta nie stwarza odpowiedniej atmosfery i warunków dla wzmocnienia samodzielności i odpowiedzialności przedsiębiorstw za gospodarkę finansową. Propozycja limitu kredytowego wychodzi wprawdzie z przedsiębiorstwa, lecz po drodze jest korygowana przez tyle instancji (centralny zarząd — resort — centrala banku), że ostatecznie zatwierdzony i otrzymany przez przedsiębiorstwo limit jest wielkością ustaloną „odgórnie". Przedsiębiorstwo nie wie kto i dlaczego korygował proponowany przez nie limit, natomiast wie, że zatwierdzony branżowy limit kredytowy jest dla niego wiążącą dyrektywą i tak bardzo istotna dla przedsiębiorstwa akcja kredytowa przebiegać będzie w ramach tego limitu.

Branżowy limit kredytowy jest elementem ograniczającym samodzielność przedsiębiorstwa, zmniejszającym jego odpowiedzialność za gospodarkę finansową i usztywniającym tryb kredytowania. Czy utrzymywanie instytucji branżowych limitów kredytowych jest konieczne, zwłaszcza, że przy proponowanym systemie finansowania przedsiębiorstw kontakt przedsiębiorstwa z bankiem znacznie ożywi się, a ogólna pula kredytów uzyskanych przez przedsiębiorstwa — poważnie wzrośnie?

Limity kredytowe mają spełniać w systemie kredytowym dwojaką rolę: a) zabezpieczać wykonanie planu kredytowego w skali ogólnopaństwowej, b) oddziaływać na prawidłowe kredytowanie przedsiębiorstw. W świetle dotychczasowej praktyki wydaje się, że tej drugiej roli limity kredytowe nie spełniły. Natomiast dla celów zabezpieczenia wykonania planu kredytowego państwa nie jest konieczne utrzymywanie dość sztywnego i pracochłonnego mechanizmu branżowego limitów kredytowych ustalonych osobno dla poszczególnych rodzajów kredytów. Można je z powodzeniem zastąpić kontyngentowaniem kredytu na poszczególne oddziały terenowe banku. Oddział terenowy banku miałby prawo swobodnego udzielania przedsiębiorstwom kredytu na uzasadnione gospodarczo potrzeby (środki obrotowe) pod warunkiem nieprzekraczania otrzymanego kontyngentu. Poprzez system rezerw wojewódzkich i rezerwy centralnej proponowany mechanizm można jeszcze bardziej uelastycznić.

Zastąpienie „odgórnych", sztywnych, branżowych limitów kredytowych — kredytowaniem w ramach globalnego kontyngentu wzmocniłoby niewątpliwie pozycję i samodzielność finansową przedsiębiorstwa oraz zapewniło większą swobodę, elastyczność i szybkość decyzji oddziałom banku. Zagadnienie udzielenia kredytu sprowadza się w tych warunkach do transakcji finansowej pomiędzy oddziałem banku i przedsiębiorstwem przy jak najpełniejszym uwzględnieniu zasad rozrachunku gospodarczego.

Przy proponowanym systemie kredytowania byłoby możliwe przeprowadzenie szeregu uproszczeń, np. w zakresie planowania kredytowego, klasyfikacji kredytów itd.

Wydaje się, że projektowane zmiany w systemie finansowania przedsiębiorstw przyniosłyby następujące korzyści:

1) ograniczenie elementów centralizacji w systemie finansowym,

2) wzmocnienie decentralizacji w zakresie finansowania przedsiębiorstw poprzez finansowanie całości środków obrotowych przy pomocy kredytu udzielanego w sposób elastyczny i szybki przez oddział banku na zdrowe gospodarczo zapasy (przy wyeliminowaniu elementów „usztywniających" akcję kredytową),

3) umocnienie pozycji przedsiębiorstwa, jego samodzielności i odpowiedzialności finansowej,

4) pełną elastyczność w zakresie finansowania potrzeb przedsiębiorstw,

5) likwidację dość sztucznego, niewyraźnego i trudnego do przeprowadzenia w praktyce podziału potrzeb finansowych przedsiębiorstwa na stałe (normatywne) i zmienne (ponadnormatywne),

6) likwidację normatywu finansowego, jako instrumentu rozdziału źródeł finansowania przedsiębiorstw (budżet i kredyty), biorąc pod uwagę fakt, że normatyw ten jest ustalany nie w powiązaniu z rzeczywistymi potrzebami przedsiębiorstw, lecz w ścisłej współzależności z możliwościami budżetu,

7) eliminowanie szeregu pracochłonnych funkcji w dotychczasowym mechanizmie finansowania środków obrotowych przedsiębiorstw z budżetu i kredytu,

8) wprowadzenie zasady oprocentowania całkowitej kwoty pokrycia (finansowania) środków obrotowych przedsiębiorstw, dzięki czemu uległby pogłębieniu rozrachunek gospodarczy i wzmocnione zostałyby bodźce ekonomiczne w gospodarce przedsiębiorstw.

Przedstawiony tutaj projekt szkicuje kierunki zmian systemu finansowania przedsiębiorstw. Jest próbą prawdopodobnie nie bezbłędną. Już jednak na tle rzuconych sugestii zarysowuje się wyraźnie nie tylko możliwość uelastycznienia systemu finansowania przedsiębiorstw, lecz również dokonania szeregu zasadniczych uproszczeń, likwidacji, klasyfikacji itp.

Konieczność zmiany obecnego systemu finansowania przedsiębiorstw zarysowuje się z całą wyrazistością. Intencją autora artykułu jest wywołanie dyskusji, która pozwoliłaby ustalić kierunki reformy obecnego systemu finansowania przedsiębiorstw.

STANISŁAW FICOWSKI

OBIEKTYWEM PRZEZ ŻYCIE GOSPODARCZE

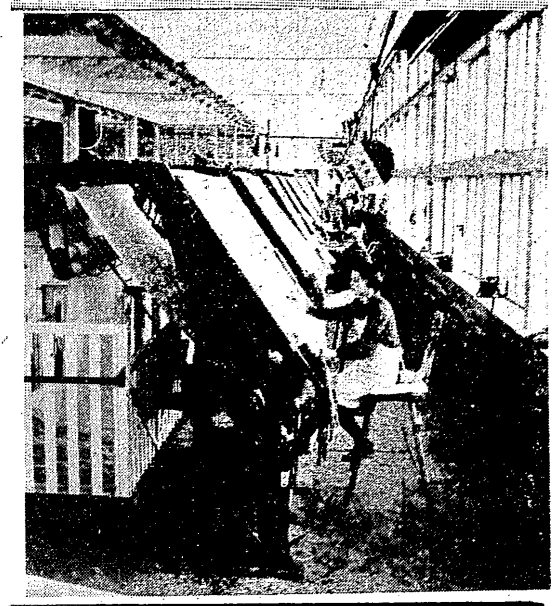

Ozorkowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego — (Foto CAF)

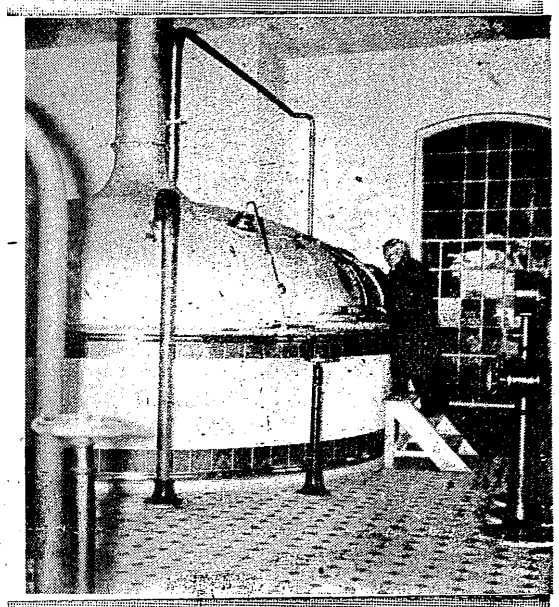

Nowoczesna warzelnia browaru w Żywcu (Foto CAF)

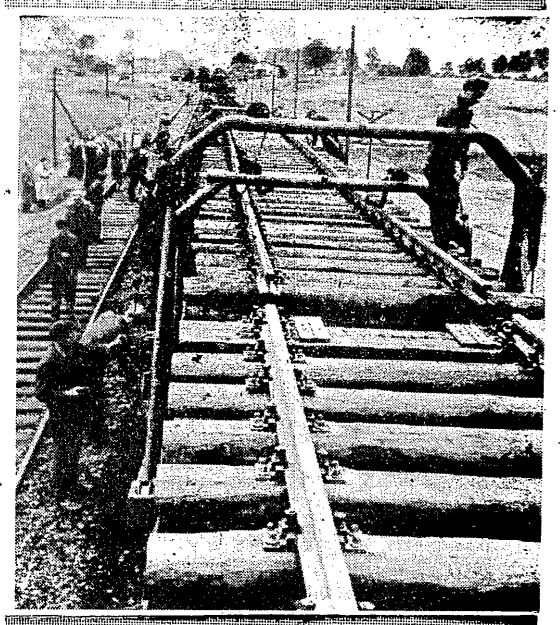

Mechanizacja prac w kolejnictwie (Foto CAF)

Zbiór owoców w sadach PGR Józefów woj. lubelskie (Foto CAF)

PRODUKCJA NA EKSPORT

Prażródeł usprawnień pracy handlu zagranicznego należy szukać niewątpliwie przede wszystkim w pracy przemysłu, wytwarzającego wyroby przeznaczone na eksport. Handel nie będzie nigdy mógł wywiązać się należycie z zawartych z zagranicznymi kontrahentami umów, jeśli przemysł nie będzie wywiązywał się ze swych zobowiązań w stosunku do instytucji reprezentujących go na rynkach zagranicznych.

Odpowiadając na ankietę posługiwać się będę przykładami z przemysłu aparatów elektrycznych, który posiada wprawdzie swą własną specyfikę, lecz doświadczenia jego mogą być w pewnej mierze rozciągnięte na cały nasz przemysł.

Przede wszystkim należy sobie wyraźnie powiedzieć, że pod względem nowoczesności konstrukcji aparatów elektrycznych stoimy dość daleko w tyle za krajami kapitalistycznymi. Są to niewątpliwie skutki okresu swoistego „kultu ilości", kiedy to nie chodziło o to co się robi, ale głównie o to ile się robi. Jakiekolwiek by jednak były faktu tego przyczyny, przemysł aparatowy stoi przed problemem, iż w zakresie większości produkowanych dotychczas wyrobów nie będzie mógł na większą skalę rozwijać produkcji eksportowej. Nie można bowiem ograniczać się do kontynuowania na dłuższą metę produkcji eksportowej aparatów, których konstrukcja nie uległa unowocześnieniu w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Odnosi się to przede wszystkim do wyłączników olejowych do 100 A i styczników 15 A. Na razie jeszcze istnieją pewne realne możliwości eksportowania tych wyrobów do krajów, które dopiero zaczynają wchodzić na drogę gospodarczego rozwoju. Prędzej czy później jednak i te możliwości zostaną ograniczone.

Pozostawia również wiele do życzenia jakość aparatów elektrycznych. Są to znów skutki przegięć w zakresie oszczędności materiałowych, jakie miały miejsce w okresie realizacji planu sześcioletniego. Ogólną, lansowaną w tym czasie tendencją było zastępowanie gdzie się tylko dało metali kolorowych stalą, bez oglądania się na żywotność i sprawność aparatu. O wprowadzeniu do konstrukcji nowych tworzyw plastycznych, tak jak to czynił przemysł krajów kapitalistycznych, nie było nawet mowy. Najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że akcja ta odbywała się w imię... postępu technicznego.

Z chwilą podjęcia decyzji w sprawie eksportu wytworów przemysłu aparatowego zaistniała konieczność jakiego takiego podniesienia jakości, ponieważ to co produkuje się na potrzeby wewnętrzne kraju, w żadnym razie nie znalazłoby nabywców za granicą. Stąd też nastąpił w zakładach wytwórczych sztuczny podział produkcji na produkcję krajową i produkcję eksportową. Ale z tego co dotychczas uczyniono odnosi się wrażenie, iż drogi podwyższenia jakości wyrobów widziano głównie w podniesieniu estetyki jego wyglądu zewnętrznego.

To, że handel zagraniczny zmusił przemysł do zwrócenia uwagi na estetykę wyrobu, nie jest zjawiskiem ujemnym. Kultura techniczna stoi bowiem w polskim przemyśle na niskim poziomie. Niemniej jednak zabiegi kosmetyczne nie uratują sytuacji. Mogą ją najwyżej na krótką metę złagodzić. Dlatego też w najbliższym czasie należałoby zwrócić główną uwagę na wprowadzenie do produkcji aparatów o nowoczesnej konstrukcji, odznaczających się dużą wytrzymałością mechaniczną oraz wysoką sprawnością i niezawodnością działania.

Przy wprowadzaniu do produkcji nowoczesnych wyrobów należałoby odejść od dotychczasowej praktyki utrzymywania dwoistości produkcji — krajowej i eksportowej. Jakość i wygląd aparatów powinny być tej miary, aby to co się robi można było zbywać zarówno w kraju jak i za granicą. Co najwyżej można by wprowadzić selekcję wyrobów przed wysłaniem partii aparatów za granicę. Stosowanie jakichkolwiek dodatkowych zabiegów, mających na celu wydatne zróżnicowanie jakości lub wyglądu aparatu, nie powinno być wskazane. Spełnienie tego postulatu wpłynęłoby niewątpliwie w znacznej mierze na uelastycznienie pracy handlu zagranicznego. Przedstawiciel handlowy za granicą wiedziałby, iż może zawrzeć umowę nawet z krótkim terminem dostawy, gdyż mogłaby ona być dokonana w nagłej potrzebie kosztem przesunięcia terminów dostaw odbiorcom krajowym. W chwili obecnej nie może być o tym mowy.

Postulowane tutaj rozwiązanie jest oczywiście pieśnią przyszłości. Po to, aby mogło być ono zrealizowane, musi bezwzględnie nastąpić radykalna poprawa w pracy hutnictwa i przemysłu metalowego. W chwili obecnej istnieje dość paradoksalna sytuacja, w której od zakładów wytwórczych żąda się wystawiania atestów na wytwory eksportowe, a jednocześnie surowce i półfabrykaty przychodzą bez gwarancji.

Trudno oprzeć się wrażeniu, iż hutnictwo nie poczuwa się do obowiązku produkowania swych wyrobów zgodnie z normami. Nieatestowane wyroby hutnicze z reguły nie odpowiadają normom i co gorsza, huty nie uznają często żadnych reklamacji z tego tytułu. Zresztą, wobec nagminnie prawie stosowanej anonimowości produkcji, wyrażającej się w braku znaków fabrycznych na materiałach, trudno niejednokrotnie zidentyfikować brakorobów. Nawet tam, gdzie podawane są cechy materiału, nie jest regułą, że surowiec musi mieć właściwości, jakie cecha mu przypisuje.

Wyłania się więc słuszny wniosek zrewidowania obowiązującego programu walcowania, albo przynajmniej zapewnienia zakładom wytwórczym możliwości zaopatrywania się we właściwe wymiarowo materiały wyjściowe do produkcji.

Podniesienie jakości powinno nastąpić nie tylko w zakresie produkcji samych surowców. Radykalnej zmiany w odniesieniu do sprawy jakości należy żądać również od przemysłu narzędziowego. W tej dziedzinie panuje wprost katastrofalny stan. Niech zaświadczy o tym fakt, iż z partii 100 narzynek lub narzynaczy, przychodzących do zakładu wytwórczego, kontrola dostaw, podchodząc możliwie liberalnie, jest w stanie wybrać kilka, a co najwyżej kilkanaście sztuk względnie dobrych.

Przedstawiony pokrótce stan zaopatrzenia materiałowo-technicznego zakładów pracujących na potrzeby eksportowe wskazuje na niedocenianie tej prostej prawdy, iż eksport rodzi się w produkcji. Wyroby przeznaczone na eksport nie mogą być dobre, jeśli wytwarza się je ze złych surowców, jeśli do obróbki stosuje się liche narzędzia. Są to być może banały, ale niestety smutna rzeczywistość wskazuje wyraźnie na to, iż świadomość tych prostych prawd nie rozstrzyga, jak dotychczas, o właściwej pracy przemysłu.

Za trudnościami materiałowymi, z jakimi borykają się zakłady produkcyjne, kryją się nieraz zupełnie nieoczekiwanie przyczyny. Co można sądzić o instytucjach decydujących o kierunkach polskiego eksportu, jeżeli przez przyjęcie zamówienia, przysparzającego gospodarce narodowej np. kilkuset dolarów, unicestwia się jednocześnie możliwość zarobienia tysięcy dolarów? Czyżby nasz kraj był tak bogaty, że może sobie na taką rozrzutność pozwolić?

Niestety w resorcie przemysłu maszynowego takie sytuacje istnieją a należy przypuszczać, iż nie stanowią one jakiegoś wyjątku w całej gospodarce.

W zakresie współpracy pomiędzy zakładami wytwórczymi a siecią handlu zagranicznego można również zaobserwować sporo niekonsekwencji i stawiania przed przemysłem nierealnych żądań. Przede wszystkim, w przypadku przemysłu elektrotechnicznego, daje się odczuwać ciężar zbyt rozległe rozbudowanego aparatu handlu zagranicznego. Ilość central handlu zagranicznego jest niepokojąco wysoka. Jedno przedsiębiorstwo musi wytwarzać aparaty dla — „Elektrimu", „Cekopu", „Centrozapu", „Metalexportu", „Varimexu", „Centromotoru".

Zważywszy, że w zapotrzebowaniach składanych przez wszystkie wymienione centrale występują niejednokrotnie drobne ilości aparatów, że powtarzają się one w niezliczonej ilości wariantów i wykonań, że każda z central uważa za stosowne pilnować wykonania zamówień bezpośrednio w zakładzie, łatwo stwierdzić trudności, na jakie musi napotykać wytwórca. Gdyby fakt istnienia central handlu zagranicznego eliminował przynajmniej kontakty z zakładami wytwórczymi, dla których aparatura elektryczna jest wykonywana, byłoby jeszcze pół biedy. Ale zamówienia są składane bezpośrednio przez zakłady kooperujące, a nie wspomniane centrale.

Utrzymywanie kontaktów z tak dużą ilością zainteresowanych w obecnych warunkach, a dodać do tego trzeba jeszcze interwencje centralnego zarządu i ministerstwa, stwarza w zakładzie nastrój nerwowości i szarpaniny. Zakład gubi się w tasiemcowych wykazach, bez końca poprawianych, uaktualnianych, korygowanych i urgowanych. Na skutek daleko posuniętego zbiurokratyzowania nierzadko trzeba zmieniać w ukończonym już nieomal aparacie ten czy inny szczegół.

Jeżeli istnieją takie perypetie z ustalaniem technicznych szczegółów wykonania w tych wypadkach, gdzie zawarta jest już przecież umowa z odbiorcą zagranicznym, to nic dziwnego, że wytwórca żądający określenia potrzeb jakiejkolwiek centrali na okres przyszły spotyka się dosłownie z następującą odpowiedzią: „Zapotrzebowanie nasze wyraża się kwotą 200 000 zł. Dokładne sprecyzowanie aparatury będzie w zasadzie następowało na jeden miesiąc przed rozpoczynającym się kwartałem, względnie później, w zależności od potrzeb rynku". Z reguły „dokładniejsze sprecyzowanie" przychodzi tak późno, iż wyroby eksportowe trzeba by dostarczać przysłowiowym już terminem... na wczoraj.

Czy wobec powszechnie znanej, trudnej sytuacji zaopatrzeniowej przemysłu w ogóle, a w zakresie wykonań eksportowych w szczególności, stanowisko central handlu zagranicznego może być uznane za słuszne? Któż ma mieć lepsze rozeznanie w potrzebach rynku, jak nie centrale handlu zagranicznego? Jeżeli one tego nie potrafią określić, to nasuwa się niepokojące pytanie, do jakich celów zostały te instytucje powołane i jaka jest ich rola w obrocie zagranicznym?

Istniejące warunki współpracy handlu zagranicznego z wytwórcami muszą ulec poważnej zmianie. W pierwszym etapie, możliwie niezwłocznie, należałoby podjąć decyzję produkowania pewnej przynajmniej ilości aparatów na skład. Centrale handlu zagranicznego powinny zgłosić odpowiednie zapotrzebowania, ustalające dokładnie typ aparatu, jego wielkość i wszystkie dane techniczne. Wyroby te mogłyby pozostawać na składach wytwórców, o ile centrale handlu zagranicznego nie rozporządzają własnymi magazynami. Wyroby te powinny być bądź zakupione przez centrale handlu zagranicznego, bądź zakład powinien otrzymać odpowiednie kredyty bankowe na tzw. zapasy celowe. Obok kompletnych aparatów należałoby trzymać na składzie odpowiednią ilość wszystkich części zamiennych, tak aby istniała jak największa możliwość zaspokojenia występujących doraźnie potrzeb. Chodzi tu o zapas pewnej ilości cewek na rozmaite napięcia oraz całego asortymentu przekaźników.

Następny etap powinien zmierzać do stopniowej likwidacji stanowczo nadmiernej obecnie ilości central handlu zagranicznego. Dezyderat ten umotywowany jest głównie dwiema okolicznościami. Przede wszystkim byłby to dalszy krok na drodze demokratyzacji stosunków w administrowaniu przemysłem. Usamodzielnienie przedsiębiorstw wytwórczych w zakresie eksportu okazać się może również celowe ze względu na stworzenie warunków bezpośredniej styczności wytwórcy z odbiorcą zagranicznym. Dotychczas z zakładów przemysłowych na penetrację techniczną wyjeżdżała znikoma ilość fachowców. Główna masa wyjeżdżających w tym celu osób rekrutowała się z instancji nadrzędnych — centralnych zarządów i ministerstw. Zakłady wytwórcze nie odnosiły żadnej korzyści z takich wyjazdów, a jeżeli nawet — były to korzyści iluzoryczne. Usłyszeć opowiadanie, choćby najbarwniejsze, o stanie techniki za granicą, a ujrzeć to na własne oczy — to nie to samo. Poza tym udostępnienie zakładowi produkcyjnemu bezpośredniego kontaktu z odbiorcą zagranicznym pozwoliłoby na zapoznanie się z warunkami eksploatacji wyrobów, jak również poznanie rzeczywistych wymagań odbiorcy. Niemałe korzyści odnieść może gospodarka narodowa z faktu bezpośredniej obserwacji i porównań poziomu technicznego naszych wyrobów z odpowiednimi wyrobami zagranicznymi.

Uzdrowieniu powinny ulec nie tylko techniczne i organizacyjne warunki eksportu w fazie produkcji. Niemniej ważną rolę odgrywają tzw. powszechne bodźce natury ekonomicznej. Trzeba to wyraźnie stwierdzić, iż — jak dotychczas — o żadnych bodźcach dla bezpośrednich wytwórców nie było w przemyśle mowy. Jedyną zachętą dla robotników wykonujących wyroby eksportowe jest doraźne ustalanie norm na odpowiednio korzystniejszym poziomie od analogicznych norm dla wykonania krajowego. Czy takie postępowanie jest słuszne? Niewątpliwie wszędzie tam, gdzie chodzi o wykonanie dodatkowych zabiegów, nie przewidzianych dla wykonania krajowego, przyznawanie dodatkowych czasów akordowych jest celowe. Of choćby w przypadku omawianego już malowania i lakierowania odlewów.

Ale nagminne stosowanie dodatkowych czasów jest posunięciem wielce niepedagogicznym. Robotnikom daje się jeszcze jeden więcej sposób do regulowania wysokości zarobku, a tym samym wydajności pracy.

O zjawisku tym wszyscy wiedzą i wszyscy z nim się godzą. Zasadnicze stawki akordowe w przemyśle metalowym są na tak niskim poziomie, że robotnik chcąc zarobić swoje minimum musi wykonywać średnio od 130 do 200 normy. Z drugiej strony normy są tak ustalone, że osiągnięcie wspomnianego stopnia ich wykonania jest rzeczą zupełnie normalną. Nadmiernemu przekraczaniu norm zapobiega, w większości wypadków, progresja podatku od wynagrodzeń. Powoduje ona, że zwiększenie zarobku opłaca się robotnikowi tylko do pewnej granicy, powyżej której wszelkie dodatkowe wysiłki są nie opłacalne. Stosowanie w tych warunkach zachęty w zakresie produkcji eksportowej w postaci dodatkowych czasów na staranniejsze wykonanie mija się z celem. Wydaje się, iż zachęta powinna być stosowana w postaci rozsądnie ułożonego regulaminu premiowania.

Należałoby zastanowić się również nad wysuwaną ostatnio propozycją przydzielania przedsiębiorstwom produkującym na eksport części dewiz wpływających za wyroby wykonane przez te przedsiębiorstwa. Środki te miałyby różnorakie przeznaczenie. A więc przede wszystkim umożliwiłyby przedsiębiorcom produkcyjnym szybsze zaopatrywanie się w surowce importowane, których w kraju brak lub których jakość jest niedostateczna i ujemnie wpływa na poziom jakościowy aparatury elektrycznej (bimetale, druty sprężynowe, lakiery, narzędzia). Pewne kwoty można byłoby przeznaczać na bezpośredni zakup za granicą atrakcyjnych i tanich towarów konsumpcyjnych dla załogi. Byłby to niewątpliwie bodziec o bardzo silnym oddziaływaniu na wzrost produkcji eksportowej.

Pewną część zdobytych w ten sposób dewiz można byłoby przeznaczyć na finansowanie wyjazdów fachowców za granicę, w celu zdobywania i pogłębiania doświadczeń i wiedzy zawodowej.

Poruszone w niniejszej wypowiedzi zagadnienia nie wyczerpują całkowicie tematu nakreślonego ankietą. Wysuwane propozycje stanowią przeważnie efekt dyskusji nad problemami eksportowymi, toczącej się w jednym z zakładów przemysłu aparatów elektrycznych. Trudno byłoby spodziewać się całkowitej realizacji zawartych w tej wypowiedzi postulatów. Do wyboru najwłaściwszych dróg usprawnienia naszego handlu zagranicznego przyczyni się niewątpliwie konfrontacja szeregu odpowiedzi na ankietę. Z nadzieją, iż również i niniejsza wypowiedź może choć w minimalnym stopniu przydać się, zgromadzono przedstawione materiały.

Lech A. Załęczny

NADMIERNE KOSZTY W OBROCIE ŻYWCEM

Sprawa obrotu żywcem wymaga bezwzględnie usprawnienia. Niezbędne jest stworzenie takich warunków, w których możliwe byłoby stałe zmniejszanie kosztów. Obecna organizacja obrotu żywcem rzeźnym najogólniej przedstawia się następująco. Gminne spółdzielnie „Samopomoc Chłopska" kontraktują i skupują trzodę chlewną oraz inne zwierzęta rzeźne przy udziale klasyfikatorów Oddziałów Powiatowych Okręgowych Przedsiębiorstw Obrotu Zwierzętami Rzeźnymi. Ponadto gminne spółdzielnie skupują bekony zakontraktowane przez asystentów Zakładów Mięsnych Centralnego Zarządu Przemysłu Mięsnego. Po zakończeniu skupu przez gminne spółdzielnie — zwierzęta rzeźne (z wyjątkiem bekonów) są przekazywane Oddziałowi Powiatowemu OPOZRz, który przejmuje za nie pełną odpowiedzialność. Przy skupie bekonów jest podobnie, z tym, że przekazuje się je zakładom mięsnym. Zakup bekonów od producenta odbywa się bez klasyfikacji na punktach skupu; sztuka zakupiona jest tatuowana i klasyfikowana po uboju. Przewóz zwierząt odbywa się transportem jednostek przejmujących.

Z kolei oddziały powiatowe OPOZRz. przekazują zwierzęta Zakładom Mięsnym CZPMs. Powoduje to powstawanie sprzeczności interesów pomiędzy tymi dwiema instytucjami państwowymi. Mianowicie Oddziały Powiatowe OPOZRz dążą do tego, aby zakupione sztuki żywca miały jak największą wagę. W związku z tym okarmiają je w sposób często niedozwolony, zmniejszając sztucznie ubytki. Zakłady mięsne natomiast chcąc uzyskać jak najlepszą wydajność poubojową, dążą do maksymalnego wygłodzenia żywca, który mają przejąć. Powstaje więc błędne koło: pracownicy Oddziału Powiatowego (konwojenci) ukradkiem okarmiają zwierzęta tuż przed ich zdaniem, pracownicy zaś zakładów mięsnych aplikują zwierzętom „gimnastykę" lub też niekiedy odstawiają wagon na bocznicę w celu ich wygłodzenia przed przejęciem.

Znane są również wypadki, że konwojenci nie zawahali się wyrywać desek w magazynie rzeźni dla wydobycia pasz i okarmienia zwierząt. (Istnieje zasada, że nie skarmione pasze w transporcie muszą być oddane do magazynu rzeźni, która wydaje je tylko w przypadkach uzasadnionych).

Podobnie przedstawia się sprawa przy przekazywaniu trzody przez tuczarnie Centralnego Zarządu Tuczu Przemysłowego. Świadczą o tym charakterystyczne fakty wysyłania przez rzeźnie swoich pracowników do tuczarni w przeddzień przekazywania przez nie trzody, w celu dopilnowania niekarmienia. W praktyce i ta metoda zawodzi, gdyż pracownicy tuczarni i rzeźni najczęściej dochodzą do porozumienia, które przekreśla środki zapobiegawcze. Gorzej jeszcze ta sprawa przedstawiała się do czasu wyłączenia z obrotu między tuczarnią i rzeźnią ogniwa Centralnego Zarządu Obrotu Zwierzętami Rzeźnymi, kiedy to podobne anomalie miały miejsce dwa razy: przy przekazywaniu żywca przez tuczarnię oddziałowi powiatowemu OPOZRz. i następnie przy zdawaniu zakupionego żywca przez oddział powiatowy Zakładom Mięsnym.

Ale na tym nie koniec. Sprawa okarmiania zwierząt to tylko jeden z wielu paradoksów, jakie występują w obecnym ustawieniu organizacyjnym obrotu. Są i inne. Znane są przykłady, że konwojenci po kilka dni czekają na oddanie żywca. Ma to zwłaszcza miejsce, kiedy żywiec nadejdzie do rzeźni w przeddzień świąt lub dni wolnych od pracy. Bywa i tak, że konwojent niekiedy siedzi kilka dni przy jednej sztuce, co do której nie zostały uzgodnione stanowiska przedstawicieli Obrotu Zwierzętami Rzeźnymi i Przemysłu Mięsnego w sprawie klasy. Sporna sprawa jest rozpatrywana w „pierwszej instancji" przez tzw. głównego arbitra. W przypadku braku zgody obu stron na jego orzeczenie, zostaje powołana specjalna komisja, składająca się z przedstawicieli zainteresowanych jednostek. Jeśli i ta nie może doprowadzić do zgodnego stanowiska obu stron, zwierzę zostaje poddane ubojowi, po czym odbywa się zakwalifikowanie go do odpowiedniej klasy. Jednakże i wtedy nie zawsze jeszcze są odpowiednie, przekonywające dla obu stron, kryteria kwalifikacyjne. Tak więc toczy się przez cały czas walka pomiędzy dwiema jednostkami państwowymi o właściwe zakwalifikowanie sztuki do odpowiedniej klasy przy zdawaniu jej przez COZRz. do CZPMs. podczas gdy w istocie rzeczy nic się nie zmienia; producent (chłop) bowiem otrzymał równowartość wagi i klasy ustalonej na punkcie skupu. A więc walka ta nie tylko nic państwu nie przynosi, a przeciwnie — przetrzymywanie sztuk i konwojentów w rzeźni prowadzi do poważnych strat i kosztów.

Należy przy tym podkreślić, że dzięki takiemu ustawieniu obrotu, koszty konwoju osiągają olbrzymie sumy. Na przykład w Okręgu Łódzkim koszty konwoju w skali rocznej (w 1955 r.) wynoszą 4 557 000 zł, co stanowi 32% w stosunku do kosztów transportu ogółem, a w stosunku do taryfy przewozu — 54%. Należy nadmienić, że Okręg ten jest w zasadzie samowystarczalny, a więc koszty konwoju ma dużo mniejsze od okręgów wysyłkowych. W bieżącym roku miały miejsce przypadki, że w rzeźni w Łodzi przebywało jednocześnie po kilkudziesięciu (70—100) konwojentów. Stąd powstało nawet charakterystyczne pytanie: „Czy rzeźnia jest miejscem zwózki żywca czy też konwojentów?"

Przytoczone straty pasz i czasu roboczego konwojentów mają wpływ nie tylko na wysokie kształtowanie się kosztów obrotu. Straty te mają przede wszystkim głębokie znaczenie ogólnoekonomiczne, zwłaszcza jeśli zważyć, że bilans siły roboczej w niektórych gałęziach gospodarki narodowej kształtuje się ujemnie, a pasze są artykułem deficytowym.

Nie bez wpływu na koszty obrotu pozostają również dalekie przerzuty i krzyżowanie się transportów, a w ślad za tym nadmierne ubytki, co jest wynikiem niedociągnięć w dyspozycyjności wysyłek żywca.

Sprawę usprawnienia i potanienia obrotu żywcem rzeźnym można by rozwiązać przez połączenie Centralnego Zarządu Obrotu Zwierzętami Rzeźnymi z Centralnym Zarządem Przemysłu Mięsnego, eliminując w ten sposób jedno pośrednie ogniwo w obrocie żywcem. Przy tej reorganizacji można by powierzyć Centrali Rolniczej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" dodatkowo kontraktację bekonów, która dotychczas jest dokonywana przez asystentów Zakładów Mięsnych CZPMs.

Ponadto należałoby włączyć do nowoutworzonej jednostki — Centralny Zarząd Tuczu Przemysłowego. Sprzyjającym momentem na drodze do takiego połączenia jest Uchwała Prezydium Rządu w sprawie włączenia CZTP do resortu Skupu.

Takie rozwiązanie sprawy nie jest zresztą zupełnie nowe. Pamiętamy Centralę Mięsną, która prowadziła skup, tucz i ubój łącznie. W instytucji tej nie występowały takie paradoksy, jakie mają miejsce obecnie przy utworzeniu z niej szeregu centralnych zarządów w okresie mody na tego rodzaju „twórczość".

M. Soczówka
K. Wierzbicki

HANDEL NA MIGI

W odpowiedzi na ankietę przesyłam kilka uwag dotyczących pracy handlu zagranicznego, które nasuwają mi się na podstawie blisko trzydziestu lat pracy zawodowej w przemyśle maszynowym, handlu zagranicznym i w biurach projektów inwestycyjnych, jak również na podstawie obserwacji poczynionych w ciągu ponad 10 lat spędzonych za granicą.

Moje uwagi dotyczą przede wszystkim handlu zagranicznego wyrobami przemysłu maszynowego, lecz w pewnej części obejmują również problemy wspólne dla wszystkich dziedzin handlu zagranicznego.

★

Obecnie istniejące przedsiębiorstwa handlu zagranicznego są w niektórych przypadkach zbyt oddalone od przemysłu, a zbyt blisko związane z Ministerstwem Handlu Zagranicznego. Uważam np., że komórka zajmująca się eksportem taboru kolejowego nie powinna mieścić się w Warszawie, w odległości kilkuset metrów od MHZ, ale powinna mieć siedzibę w Poznaniu w ramach Tasko. Dział taboru kolejowego Metaleksportu oraz referat eksportowy Tasko powinny stanowić jedną komórkę organizacyjną.

Uniknęłoby się wtedy tysięcy niepotrzebnych listów, telegramów, rozmów telefonicznych międzymiastowych pomiędzy Metaleksportem i Tasko, uniknęłoby się wielu niepotrzebnych nieporozumień i zadrażnień, zwiększyłoby się w przemyśle poczucie odpowiedzialności za akcję handlu zagranicznego, zwiększyłoby się operatywność i samodzielność eksportu taboru kolejowego.

Dla podkreślenia znaczenia zagadnienia eksportu taboru kolejowego kierownik odpowiedniej komórki w Tasko powinien być zastępcą dyrektora dla spraw handlu zagranicznego.

Podobna decentralizacja istniejących przedsiębiorstw handlu zagranicznego mogłaby być zastosowana do niektórych innych gałęzi przemysłu.

★

Przyjęta w naszym kraju organizacja handlu zagranicznego, opierająca swą pracę na rynkach eksportowych na korespondencji, sporadycznych wyjazdach przedstawicieli central, pracy attachatów handlowych i pracy zagranicznych przedstawicieli polskich central, jest wystarczającą w stosunkach z krajami demokracji ludowych, które za przykładem Związku Radzieckiego przyjęły podobną organizację handlu zagranicznego.

Natomiast dla wzmożenia eksportu do krajów kapitalistycznych potrzebne jest zorganizowanie na ważniejszych rynkach eksportowych silnych polskich przedstawicielstw handlowych, korzystających w pewnej mierze ze współpracy z miejscowymi handlowcami.

Dla przykładu przypomnę, że gdy przed kilku laty pierwsi, bardzo nieliczni i samotni przedstawiciele polskich central handlu zagranicznego stawiali po wojnie pierwsze kroki w Bombaju, w tym samym czasie istniało tam już dobrze zorganizowane handlowe przedstawicielstwo czechosłowackie, zatrudniające ponad dwadzieścia osób, w tym kilku krajowców. Niektórzy zatrudnieni w przedstawicielstwie Czesi pracowali w Indiach już po kilkanaście lat, byli to przedwojenni przedstawiciele Skody i innych firm czechosłowackich.

Jak długo będą istniały takie duże dysproporcje organizacyjne pomiędzy naszymi poczynaniami a akcją eksportową naszych konkurentów, tak długo wyroby polskiego przemysłu maszynowego nie będą odgrywały poważniejszej roli na kapitalistycznych rynkach eksportowych.

★

Nie każdy produkowany dla potrzeb krajowych towar nadaje się na eksport. W bardzo wielu przypadkach nasz przemysł nie nadąża za postępem technicznym. Oferowanie i eksportowanie przestarzałych typów maszyn ośmiesza tylko nasz handel zagraniczny.

Dla przykładu poruszę sprawę eksportu ciągników „Ursus", które zużywają o kilkadziesiąt procent więcej paliwa, niż bardzo do Ursusów podobne ciągniki „Lanz-Buldog". Korzyści dewizowe uzyskiwane ze sprzedaży ciągników „Ursus" podkopują w sposób nieobliczalny opinię naszej techniki, przemysłu i handlu zagranicznego.

Dlatego też należy powołać eksportowe komisje kwalifikacyjne, które będą orzekać, czy produkowane w kraju maszyny nadają się do celów eksportowych.

Praktyka wykazała, że nasz handel zagraniczny nie może opierać się na kontroli jakości przeprowadzanej przez kontrolę techniczną zakładów produkcyjnych, zaś kontrola jakości przeprowadzana przez przedstawicieli handlu zagranicznego nie obejmuje jeszcze całego asortymentu eksportowego.

Sprawa ta znalazła dobitny wyraz we względnie młodej u nas gałęzi eksportowej — w eksporcie dokumentacji inwestycyjnej. CEKOP, w przeciwieństwie do inwestorów korzystających z usług państwowych biur projektów, nie analizuje wykonanej na jego zamówienie dokumentacji inwestycyjnej i bez dodatkowej kontroli przeprowadzonej ze strony handlu zagranicznego przekazuje ją inwestorom zagranicznym. Tak np. wysłany do Chin Ludowych wstępny projekt fabryki szybowców już na terenie biura, w którym był opracowywany, spotkał się z bardzo ostrą krytyką; w końcowym efekcie Polska nie otrzymała zamówienia na tę ciekawą inwestycję, mimo, że w prasie napotykaliśmy na pompatyczne tytuły w rodzaju: „Polska buduje kombinat szybowcowy dla Chin Ludowych".

Aby uniknąć takich przypadków należy zaostrzyć i rozszerzyć kontrolę jakości, przeprowadzaną przez organy handlu zagranicznego i objąć nią również eksportową dokumentację inwestycyjną.

Opracowanie dokumentacji z zachowaniem dyscypliny 8 godzinnego dnia pracy biurowej przedłuża bardzo znacznie cykl produkcji eksportowej. Z tego powodu należy ustalić inne zasady pracy projektantów i konstruktorów pracujących dla eksportu.

Uważam, że najwłaściwszą formą jest umowa o dzieło. Istnieją w naszym kraju poglądy i przepisy stwarzające trudności zawarcia umowy o dzieło z autorami projektów maszyn lub inwestycji, natomiast tolerujące ten sposób zawierania umów z autorami bajek, wierszyków itp. Uważam, że już najwyższy czas, ażeby nasze czynniki decydujące o tych sprawach zrozumiały, że opracowanie projektu inwestycyjnego lub projektu maszyny jest tak samo dziełem twórczym, jak opracowanie dzieła literackiego lub naukowego. Jeżeli uważamy, że w stosunku do autorów-naukowców lub artystów najwłaściwszą formą współpracy jest umowa o dzieło, trzeba, żeby nareszcie tę samą zasadę zastosowano do autorów - techników.

Drugim sposobem przyspieszenia opracowania dokumentacji jest wykonywanie jej na akord. Tę formę, stosowaną dość często w naszych biurach projektowych i konstrukcyjnych, uważam za mniej właściwą, ponieważ łączy się ona z pojęciem normy roboczej, która nie jest właściwym ujęciem wartości pracy twórczej.

Okres uruchomienia produkcji eksportowej jest w wielu przypadkach niedopuszczalnie długi, głównie z powodu braku zapasu materiałów potrzebnych dla uruchomienia produkcji. Polityka materiałowa prowadzona konsekwentnie przez 9 lat okresu planu trzyletniego i sześcioletniego doprowadziła do zlikwidowania pozaplanowych zapasów magazynowych. Normatywy magazynowania są niskie i dotyczą wyłącznie zapotrzebowania planowanego z bardzo długim wyprzedzeniem czasowym.

Dla skrócenia cyklu uruchomienia produkcji eksportowej konieczne jest stworzenie rozruchowych baz materiałowych, przeznaczonych do magazynowania materiałów, które będzie można wykorzystać dla szybkiego uruchomienia produkcji eksportowej, bez długiego wyczekiwania na zaopatrzenie planowane.

W zakładach przemysłowych należy dla eksportu przyjąć zasadę pracy i płacy akordowej, przy czym powinno się:

a) w normie akordowej uwzględnić dodatkowy czas potrzebny na wykończenie eksportowe,

b) stosować bardzo ostrą kontrolę jakości, ażeby na skutek zwiększenia wydajności pracy nie obniżyła się jakość produkcji.

Ponadto należy koniecznie wprowadzić dość wysokie nagrody za terminowe i dobre wykonanie produkcji eksportowej; nagrody takie powinny być wypłacane w dużych odstępach czasu i w dużych wartościach pieniężnych. Wysokość nagród eksportowych powinna być regulaminowo określona; uważam, że powinna ona wynosić około 35% przeciętnego wynagrodzenia pracownika, za cały czas jego pracy przy produkcji eksportowej.

Termin przyznania nagrody eksportowej powinien być związany z terminem przyjęcia towaru przez kontrahenta zagranicznego. Przy dostawach sukcesywnych nagroda eksportowa powinna być wypłacana nie częściej niż raz na pół roku.

Należy zlikwidować pojęcie premii eksportowej, wypłacanej regularnie w krótkich odstępach czasu, np. co miesiąc; taka premia staje się jak gdyby stałą częścią składową uposażenia i ze względu na swą niską wartość pieniężną nie jest dostatecznym bodźcem materialnym. Natomiast wysoka wartość (np. kilkumiesięczny zarobek) rzadko wypłacanej nagrody eksportowej, umożliwiająca nagrodzonym dokonanie dość kosztownych inwestycji domowych stanowić będzie silny bodziec.

W naszym handlu zagranicznym brak odpowiedniej ilości handlowców posiadających wykształcenie techniczne względnie inżynierów posiadających wykształcenie lub doświadczenie handlowe.

Na dalszą metę będzie można zaspokoić ten brak przez ustalenie odpowiedniego programu studiów akademickich. Uważam, że na młodym wydziale technologiczno - ekonomicznym Politechniki Warszawskiej powinno się wprowadzić jako jedną ze specjalizacji — handel zagraniczny.

Dla szybszego zaspokojenia potrzeb bieżących należy za przykładem górnictwa przeprowadzić jednorazowe przeszkolenie handlowe inżynierów różnych specjalności. Uważam, że jednoroczny kurs przeszkoleniowy wystarczy dla inżynierów odpowiadających następującym warunkom: przynajmniej 5 lat pracy zawodowej w przemyśle, dobra znajomość 2 języków obcych, nieprzekroczony 40 rok życia.

Powodzenie rekrutacji na taki kurs przeszkoleniowy uzależnione jest od atrakcyjności warunków rekrutacji; przypomnę tegoroczną akcję rekrutacyjną inżynierów górnictwa.

Skuteczność takiego przeszkolenia uzależniona jest od odpowiedniego programu kursu i odpowiedniego doboru wykładowców.

Należy bezwzględnie podnieść poziom znajomości języków obcych wśród pracowników handlu zagranicznego. Wymagania stawiane przy egzaminach potrzebnych dla uzyskania dodatków do uposażenia za znajomość języków obcych są zbyt niskie i często nie odpowiadają potrzebom handlu zagranicznego. Uważam, że egzaminy z języków obcych powinny być komisyjne; wymagania stawiane egzaminowanym powinny być wysokie. Dodatki kwalifikacyjne za znajomość języków obcych powinny być przyznawane tylko za bardzo dobrą znajomość języka w zakresie handlu zagranicznego; egzaminy zdane z oceną dobrą lub dostateczną nie powinny dawać uprawnienia do dodatku kwalifikacyjnego. Dodatek kwalifikacyjny powinien być wysoki (przynajmniej 500 zł miesięcznie); tylko taki bodziec zwiększy skutecznie chęć do doskonalenia się w znajomości języka obcego.

Tak zwana potoczna znajomość języka obcego powoduje, że nasza korespondencja handlowa jest często naszpikowana błędami językowymi, wywołującymi uśmiech pobłażania na twarzach naszych partnerów zagranicznych.

Wysyłanie za granicę samodzielnych pracowników nie znających obcych języków, jest błędem zasadniczym; również nie należy wysyłać za granicę pracowników znających tylko pobieżnie język obcy; kontakty osobiste z kontrahentami przeprowadzane za pośrednictwem przydzielonego pracownika attachatu (znającego język obcy) robią wrażenie występu pod opieką przedszkolanki.

Można przyjąć, że sprawy handlu zagranicznego dają się korzystnie załatwić na całym świecie w jednym z 5 następujących języków: angielskim, hiszpańskim, rosyjskim, niemieckim, francuskim.

Jeżeli wysyła się pracownika handlu zagranicznego do kraju, w którym jeden z tych języków jest językiem ojczystym lub urzędowym, to należy bezwzględnie wymagać od niego dobrej znajomości tego języka; jeżeli wysyła się go do kraju, w którym żaden z podanych 5 języków nie jest językiem urzędowym, delegowany powinien znać język kraju, do którego się go wysyła, lub dwa inne, odpowiednio dobrane.

★

Obcokrajowiec przybywający do naszego kraju w sprawach handlu zagranicznego powinien być otoczony bardzo troskliwą, lecz nie oficjalną a raczej koleżeńską, jak gdyby osobistą, lecz nie narzucającą się opieką.

Obcokrajowcom należy udostępnić wszystkie rozrywki artystyczne i sportowe; należy umożliwić im korzystanie z prasy całego świata; należy w dużej mierze ułatwiać poznanie naszego kraju. Anglicy wykorzystują week-end'y dla zaznajomienia swych gości zagranicznych z pięknymi zakątkami Anglii.

Program wycieczek powinien być bardzo starannie opracowany; zawiezienie przedstawicieli Chin Ludowych do FSC w Lublinie było błędem zasadniczym, ponieważ wyrobiło u naszych gości przekonanie o naszej nieudolności inwestycyjnej i organizacyjnej. Również błędem jest pokazywanie obcokrajowcom FSO na Żeraniu, gdzie znaczna część urządzeń jest niewykorzystywana i nieczynna i gdzie można czasami zobaczyć robotników śpiących po kątach.

Myśląc o obsłudze obcokrajowców należy pamiętać o szarej rzeszy zagranicznych odbiorców technicznych w naszych zakładach produkcyjnych; po powrocie do kraju mogą oni się stać rzecznikami, tworzącymi opinię o naszym przemyśle, technice i handlu zagranicznym.

Obsługa obcokrajowców powinna być akcją wypracowaną, a nie improwizacją lub sporadycznym wylewem gościnności.

„Last not least" — należy jak najszybciej znieść deprecjację walut obcych. W żadnym wypadku obcokrajowiec nie może spotkać się z żądaniem zapłacenia kilku dolarów za paczkę papierosów lub tabliczkę czekolady, nie można również dopuścić do tego, żeby obcokrajowiec zapłacił za parę trzewików cenę używanego samochodu. Skoro już raz przyznano dolarowi w naszym kraju wartość kilkudziesięciu, czy nawet stu złotych (myślę o akcji tzw. paczek PKO skupywanych przez Delikatesy i Gallux), to w żadnym wypadku nie można w stosunkach z obcokrajowcami przebywającymi w naszym kraju stosować innych kursów wymiany walut obcych na złote polskie.

Jeżeli nie chcemy zrazić obcokrajowców do nas, to musimy im stworzyć takie warunki, w których koszt pobytu w naszym kraju nie będzie wyższy od przeciętnego kosztu pobytu w innym kraju.

★

Dążenie do ożywienia eksportu maszyn wymaga dużej akcji przygotowania katalogów i publikacji reklamowych w obcych językach. Należy zwrócić szczególną uwagę na wyczerpującą treść eksportowych katalogów maszyn.

Gdy przed kilku laty przygotowywano w Moskwie pierwszą transakcję na eksport do ZSRR kołówek z Kuźni Raciborskiej, polska dokumentacja katalogowa tych maszyn nie zaspokajała ciekawości specjalistów radzieckich; pertraktacje doprowadzono do pomyślnego końca wyłącznie dzięki temu, że strona radziecka posiadała konkurencyjny i wyczerpujący katalog takich samych obrabiarek, wydany w języku rosyjskim przez NRF. Gdyby nasi przedstawiciele znaleźli się w podobnej sytuacji na rynku kapitalistycznym, transakcja byłaby dla nas stracona.

Musimy szybko dokształcić się na najlepszych wzorach naszych konkurentów.

Kazimierz Kamieniobrodzki

REFLEKSJE Z WIZYTY W POLSCE

Angielski ekonomista o naszym systemie zarządzania

J. R. SARGENT

GDY szesnastu ekonomistów przystępuje do pracy nad jakimś problemem, będzie tam prawdopodobnie siedemnaście poglądów. Gdy jednak szesnastu ekonomistów brytyjskich odwiedziło ostatnio Polskę, nie mieli trudności w osiągnięciu jednomyślności w wielu punktach: co do wyróżniającej się szczodrości naszych gospodarzy i ich stałej, a nienarzucającej się troski o nasze wygody; co do szczerości, z jaką ekonomiści, urzędnicy, robotnicy i wszyscy z którymi chcielibyśmy się zetknąć, odpowiadali na nasze pytania nie zdradzając ochoty do wykręcania się od tego; wreszcie co do zapału, z jakim polskie umysły zamierzają analizować i rozwiązywać polskie problemy. Jest może dziwne, że gość chce wyrazić swoją wdzięczność wyrażając swoje opinie; ale proszę Czytelnika, by przyjął to, co nastąpi, właśnie jako wyraz wdzięczności i znak trwałego zainteresowania Polską, wywołanego naszą niedawną podróżą.

Wrażenia i refleksje sypały się na nas gęsto i szybko w czasie naszego dwutygodniowego pobytu. Jedno zaś z nich, które przylgnęło do mnie bardzo szybko, wypłynęło z rozmowy o względnych osiągnięciach ekonomii marksistowskiej i (żeby użyć określenia, które wydaje nam się dziwaczne) ekonomii burżuazyjnej. Mówiono mi, że podczas gdy narzędzia ekonomii burżuazyjnej były pożyteczne dla analizy krótkofalowej problematyki związków funkcjonalnych, analiza marksistowska była istotna dla zagadnień długofalowych, o silnej treści socjologicznej. Nie powinniśmy uważać, że to przeciwstawienie, które w szerokim pojęciu wydaje mi się uderzająco słuszne, wyznacza ekonomistom burżuazyjnym i marksistowskim wyłączające się wzajemnie sfery; raczej daje im ono sposobność spotykania się, współpracy i wzajemnego uczenia się. Na zachodzie zainteresowanie ekonomistów zwróciło się ostatnio ostro ku problematyce długofalowego rozwoju ekonomicznego. Szukając jednak pomocy w tym, co powiedzieli o tych problemach nasi poprzednicy w ciągu ostatnich stu lat, otrzymujemy niezmiernie mało; zbyt często ci, którzy mówili cośkolwiek, nie chcieli zabierać się za zagadnienia polityczne i społeczne, które tak silnie łączą się z czystą ekonomią. Tu zaczynamy doceniać wielkość Marksa. Nie oznacza to, że chcemy przyjąć marksistowską analizę kapitalizmu; analizę, której proroczą siła została niebezpiecznie stępiona przez wydarzenia. Ale na pewno musimy uczyć się z ogólnego ducha Marksa kształtowania naszych teorii wyznaczników rozwoju ekonomicznego w takich formach, które odbijają cały zakres działających sił społecznych. Z drugiej strony praca ekonomistów zachodnich może oświetlić pole, na którym tradycja marksistowska pozostawiła swych następców, posuwających się omackiem w ciemności; a mianowicie drogę, na której system ekonomiczny pracuje lub może pracować lepiej dla celów rozdziału niedostatecznych środków między konkurujące potrzeby. Prawdą jest, że wiele z tego, co się pisze w burżuazyjnej literaturze ekonomicznej o tym jak gospodarka kapitalistyczna o b e c n i e funkcjonuje, przybrało raczej postać mrzonek o tym, jak idealna gospodarka m o g ł a b y funkcjonować. Ale to nie powinno mieć mniejszego znaczenia dla ekonomistów marksistowskich, szczególniej w czasie, gdy poważnej uwagi zaczyna się udzielać problemom dysproporcji w gospodarce planowej i potrzebie zastosowania bardziej racjonalnych kryteriów w dysponowaniu jej produktami. My zbudowaliśmy modele gospodarki idealnej i znaleźliśmy je mało podobnymi do rzeczywistości. Wy zbudowaliście coś realnego, ale odkryliście, że funkcjonuje ono w sposób daleki od ideału. Przyczyny takich rozbieżności zarówno w gospodarce wolnej, jak i w planowej, były szeroko badane na zachodzie. Można by powiedzieć, że były one studiowane w stopniu nieusprawiedliwionym ich znaczeniem w porównaniu np. z problemami fluktuacji lub rozwoju gospodarczego. Jakkolwiek bądź, wyniki osiągnięte na tym polu na zachodzie wystarczają, aby pretendować do tego, że ich znajomość może przyspieszyć proces zrozumienia, jak poprawić przydział środków w planowanej gospodarce wschodu.

Powiedziałem przyspieszyć; albowiem to, co usłyszeliśmy w czasie naszej wizyty wystarczyło, żeby pokazać, iż proces ten już się szybko w Polsce rozwija. Ekonomista zachodni, który poleca prace, pisane na zachodzie w przedmiocie przydziału środków, nie powinien zapominać, że zaszczytne miejsce wśród nich zajmuje praca polskiego ekonomisty. Myślę oczywiście o książce Oskara Langego „On the Economic Theory of Socialism". To jest podstawa; inni ekonomiści polscy budują na niej z taką szybkością, jak energicznie lud Warszawy odbudowuje swoje zniszczone miasto. Wybitnym wśród budowniczych jest profesor Włodzimierz Brus; kilku komentarzom do jego znanej pracy „O roli prawa wartości w gospodarce socjalistycznej" zamierzam poświęcić resztę tego artykułu.

Nie trzeba powtarzać, że Brus zajmuje się zasadniczo rolą cen w planowaniu. Ale reforma, którą proponuje ma podwójny cel; podczas, gdy jest ona niezbędna dla pierwszego, nie idzie wystarczająco daleko, żeby osiągnąć drugi. Rozróżnijmy te oddzielne elementy jego propozycji. Na pierwszym miejscu jest tam problem, jak użyć środków, którymi dysponuje w danym czasie gospodarka, żeby najlepiej przyczynić się do wzrostu dobrobytu. Jeżeli przydział środków, wynoszących pewną sumę złotych wyprodukuje X koszul lub Y patelni, wybór między tymi alternatywami pociąga za sobą wyznaczenie im odpowiednich wartości. Nie można jednak tego zrobić, tak jak rzeczy stoją obecnie, przez porównanie ich cen rynkowych. Albowiem ceny rynkowe nie są ogólnie biorąc cenami równowagi — i za tą samą ceną rynkową dwu produktów może kryć się bardzo różny stopień niedostatku, z czego wynika, że wzrost produkcji jednego wytworu będzie w rzeczywistości miał większą wartość, niż wzrost produkcji drugiego. W konsekwencji, jeżeli ktoś ma oceniać słuszność alternatywy asortymentu produkcji, istotne jest, żeby odpowiednie ceny odbijały odpowiedni niedostatek, albo innymi słowy były takie, jak dyktuje równowaga podaży i popytu. Dla tego szczególnego celu nie ma znaczenia, czy cena równowagi jest czymś, co wypływa z gry sił na wolnym rynku, czy też jest ustalana na danym poziomie przez organy planowania metodą prób i błędów. Jedynym warunkiem niezbędnym dla stworzenia k r y t e r i u m jest to, aby cena rynkowa była ceną równowagi. W przeciwnym razie brak kryterium; i — jak mówi Brus — „cena, która nie wyrównuje podaży z popytem jest w rzeczywistości ceną ekonomicznie nieusprawiedliwioną". Samo osiągnięcie ceny równowagi nie zapewnia oczywiście odpowiedniego kryterium dla przydziału środków na rozmaite możliwe potrzeby. Wymaga to, aby wziąć pod uwagę również koszty produkcji i to obliczone we właściwy sposób. W tym celu pełny koszt zużytego w procesie produkcyjnym kapitału powinien być uwzględniony przez wprowadzenie stopy procentowej, którą w każdym razie powinno się zakładać dla celów planowania, nawet, jeśli aktualnie nie obciąża ona przedsiębiorstw. I powinno tu następować wyrównanie różnic w wysokości planowanego zysku, wymaganego od przedsiębiorstw. Wszystko to również jest częścią reformy, którą chce widzieć Brus. Wydaje się także, że zastosowanie tego jest istotne, jeśli planiści mają uzyskać kryterium przydziału środków lepsze od targów między ministerstwami, silnie — jak nam mówiono — wpływających dotychczas na sposób rozdziału i nadających mu podobieństwo do „kra-

(Dalszy ciąg na str. 11)

POCHOPNA POCHWAŁA

W związku z coraz szerszym zainteresowaniem społeczeństwa sprawami międzynarodowymi, zarówno politycznymi jak i ekonomicznymi, istnieje poważne zapotrzebowanie na opracowanie zagadnień związanych z działalnością monopoli w czołowych krajach kapitalistycznych.

Czy książka A. Mellera „O Monopolach") zaspokaja to zapotrzebowanie?

Recenzent tej pracy — JKS, w recenzji swojej zamieszczonej w Trybunie Ludu z dnia 19.VI. 1956 r. pisze, że: „W codziennej pracy dziennikarza, wykładowcy i studenta, jako książka podręczna w bibliotekach i w ręku wszystkich, coraz liczniejszych w naszym kraju osób interesujących się problematyką międzynarodową, drobiazgowo przygotowana praca tow. Mellera może oddać niemałe przysługi".

I owszem, książka tego rodzaju mogłaby oddać niemałe usługi osobom wymienionym w recenzji, gdyby nie to, że zawiera ona poważne błędy i braki.

Autor w pracy swojej poruszył ogromny wachlarz zagadnień dotyczących największych monopoli 11 krajów kapitalistycznych. Zarówno ze względu na zakres poruszonych problemów, jak i ze względu na niewłaściwy dobór literatury, A. Meller nie mógł omówić we względnie wyczerpujący sposób istoty i cech tych monopoli, ograniczając się jedynie do ich ogólnikowego opisu.

Do bibliografii podanej przez A. Mellera można mieć dużo zastrzeżeń. Przede wszystkim większość pozycji to opracowania, a nie materiały źródłowe: Są to pozycje o charakterze głównie publicystycznym, o małej wartości badawczej oraz naświetlające poszczególne zagadnienia w sposób jednostronny. Odbiciem tego było zresztą potraktowanie przez autora wielu spraw dyskusyjnych, w sposób nie podlegający dyskusji, np. sprawy Planu Schumana.

Podana przez autora literatura dobrana jest w sposób przypadkowy. Brak tu wielu cennych pozycji Allena dotyczących monopoli amerykańskich, czy szeregu wartościowych prac ekonomistów krajów zachodnio - europejskich. Autor nie wykorzystuje również prawie zupełnie literatury radzieckiej, która w tym zakresie jest przecież bardzo bogata. Nie wiadomo skąd autor czerpał dane do monopoli takich krajów, jak Szwecja, Holandia, Szwajcaria i Luksemburg, gdyż w spisie bibliografii nie ma ani jednej pozycji dotyczącej bezpośrednio tych krajów. A można tu przecież było wykorzystać chociażby np. pracę Lanceta — Monopolisticzeskij Kapitał Szwecji (przekład ze szwedzkiego).

Poważne zastrzeżenia budzi również sprawa wykorzystania przez autora literatury. Praca Mellera jest kompilacją (nie mówi o tym ani autor, ani recenzent, ani nota od redakcji), niejednokrotnie posuniętą zbyt daleko. W części dotyczącej monopoli amerykańskich autor oparł się prawie wyłącznie na pracy przetłumaczonej z języka angielskiego pt. „Współczesne monopole amerykańskie" KiW 1952. A. Meller przejął z tej książki ogólną konstrukcję, streszczając opis poszczególnych monopoli, niejednokrotnie przy pomocy zdań przepisanych z wymienionej pracy, uzupełniając jedynie lata 1952—55 innymi materiałami. Dokonał przy tym szeregu uproszczeń, traktując np. kapitał towarzystw ubezpieczeń na życie, jako kapitał towarzystw ubezpieczeniowych w ogóle.

Przy ocenie Planu Schumana Meller nie zadał sobie nawet trudu streszczenia artykułu Pletniowa „Za kulisami europejskiego zjednoczenia węgla i stali" zamieszczonego w Nr 30 „Nowych Czasów" z 1955 roku. Cztery stronice pracy Mellera (254-257) są dosłownie przepisane z tego artykułu.

Dużym utrudnieniem dla czytelnika, o czym pisał już zresztą w swojej recenzji JKS, jest brak podawania źródeł przy przytaczanych przez autora danych statystycznych, co praktycznie uniemożliwia ich sprawdzenie. Zdarzają się również przypadki mylnego podawania źródeł, np. dane dotyczące obrotów w handlu zagranicznym Niemiec Zachodnich nie są zaczerpnięte z biuletynu statystycznego ONZ, ale z Wirtschaft und Statistik — styczeń 1956. Tabela przytoczona przez Mellera sugeruje poza tym, że są to obroty roczne, gdy tymczasem są to średnie miesięczne (str. 234).

Książka A. Mellera nie jest pozbawiona wielu braków, błędów i sprzeczności.

W powodzi faktów nagromadzonych przez autora nie dostrzega się ich przewartościowania, usystematyzowania i samodzielnego ustosunkowania się do poszczególnych problemów. Przy czytaniu pracy nasuwa się wskutek tego wniosek, że to co autor wiedział, to wtłoczył w ramy poszczególnych rozdziałów, poświęcając niejednokrotnie wiele miejsca sprawom błahym, a pomijając szereg spraw bardzo istotnych. Tak np. przy omawianiu Planu Schumana charakterystykę Wspólnoty, jej ponadnarodowego charakteru i organów kierowniczych zamyka w trzech zdaniach (str. 263), poświęcając jednocześnie Konwencji Brukselskiej 7 stronic. Przyczyny powstania Wspólnoty autor tłumaczy głównie interesami imperializmu amerykańskiego, pomijając prawie zupełnym milczeniem takie czynniki, jak ekonomiczne interesy sześciu państw, które przystąpiły do Planu Schumana, czy dążenie Niemiec Zachodnich do zniesienia ograniczeń produkcyjnych oraz trudności w zbycie stali na początku 1950 roku.

Na temat koncentracji kapitału w rękach monopolistów niemieckich w czasie II wojny światowej autor pisze tylko tyle, że: „100 rodzin stało się właścicielami całego bogactwa od Kanału La Manche do Wołgi, od Adriatyku do Morza Północnego". Takie stwierdzenie w żadnym wypadku nie odzwierciedla istoty tego zjawiska.

Na temat poszczególnych monopoli górniczo-hutniczych Zagłębia Ruhry autor mówi niemal tylko tyle, że powstały wtedy i wtedy, na czele stoi ten i ten, wielkość kapitału jest taka i taka. W takim opisie poszczególnych monopoli zatraciły się całkowicie ich cechy specyficzne. Przykładów takich przytoczyć można by wiele.

W pracy A. Mellera brak jest ustosunkowania się do zgromadzonego w niej materiału faktycznego. Jak wynika z noty od redakcji i wspomnianej już recenzji, książka przeznaczona jest dla masowego odbiorcy. Czytelnik nie znający podstaw ekonomii politycznej i ekonomicznej problematyki świata kapitalistycznego, jedynie na podstawie faktów i to dowolnie dobranych i w wielu wypadkach jednostronnie naświetlonych, nie jest w stanie wyrobić sobie własnego zdania o danym zagadnieniu. Np. na str. 232 autor podaje wielkość amerykańskich kapitałów w Niemczech Zachodnich, opierając się na dwóch źródłach. Według pierwszego kapitały te wynoszą 1,35 mld dolarów, a według drugiego — 3 mld dol. Rozpiętość jest bardzo poważna — różnica ponad dwukrotna — autor nie ustosunkowuje się wcale do tych dwóch liczb.

Pokazanie kursu akcji trzech największych banków niemieckich w roku 1953 i 1954 nie stanowi podstawy do wyciągania wniosków o dynamice rozwoju tych banków.

Praca nie jest również pozbawiona szeregu błędów i nieścisłości natury zasadniczej. A oto parę przykładów:

Wątpliwa jest teza autora, że Vereinigte Stahlwerke i IG Farbenindustrie dostały się pod kontrolę Hermann Goering Werke, zwłaszcza że według autora IG Farben rządziło Republiką Weimarską, a potem Hitlerem, gdy tymczasem wiadomo, że H. Goering Werke powstały w 1937 roku i miały na celu wchłanianie przedsiębiorstw w krajach okupowanych przez Niemcy.

Autor w swoich rozważaniach dotyczących monopoli zachodnioniemieckich zupełnie nie uwzględnia reformy walutowej z 1948 roku, wprowadzając czytelnika w błąd trzykrotnie zawyżonymi kapitałami monopoli niemieckich.

Vereinigte Stahlwerke powstały w 1926 roku nie z połączenia 4 towarzystw górniczo-hutniczych, jak podaje A. Meller, lecz z 8, nie licząc towarzystw handlowych.

Według autora zakłady Kruppa w Essen obejmują obszar 5 mln m² i są siedmiokrotnie większe od właściwego miasta, które liczy ponad 300 000 mieszkańców.

Wzrost produkcji środków konsumpcji w Niemczech zachodnich od 1936 do 1955 roku o 80%, przy wzroście całej produkcji o 100%, jest według autora wzrostem tylko o 80%, podczas gdy wydaje się, że proporcja ta jest ekonomicznie uzasadniona. Błędne jest również podane przez autora przeliczenie wzrostu produkcji środków konsumpcji na głowę ludności. A. Meller podaje wzrost o 10%, gdy tymczasem przy uwzględnieniu wzrostu ludności o 25%, wzrost produkcji środków konsumpcji na głowę ludności wynosi ponad 50%.

Poważne wątpliwości budzą dane A. Mellera dotyczące wielkości aktywów monopoli francuskich. Różnice między autorem a materiałami źródłowymi są bardzo poważne. Np. według A. Mellera kapitał zakładowy i rezerwowy Sidelor wynosi 60 mld fr., a według „La France et le Trusts" — 40 mld fr. Meller podaje udział grupy Raty'ego w Sollac na 21%, a Sidelor — na 30%, podczas gdy udział grupy Raty'ego jest nieznaczny, a udział Sidelor wynosi 40%.

Przykłady takie można mnożyć w nieskończoność. Wydaje się, że tych kilka wybranych metodą reprezentacyjną w bardzo poważnym stopniu podważa wartość poznawczą pracy i budzi po prostu nieufność do materiału faktycznego zebranego przez autora.

Wydaje się, że książka A. Mellera „O monopolach", z uwagi na poważne braki i błędy, nie może spełnić swojego zadania. Nie może ona oddać przysługi studentom, wykładowcom i dziennikarzom w ich codziennej pracy, jak również nie może ona wyjaśnić szerokiej opinii publicznej istoty i cech charakterystycznych największych monopoli głównych krajów kapitalistycznych.

B. Kossakiewicz, E. Żwawiak

*) A. Meller — O monopolach. KiW Warszawa 1956.

Rynki światowe i handel międzynarodowy

WZROST CEN STALI

Po przejściowym spadku cen stali na rynkach światowych w roku 1954, rok 1955 i rok bieżący przynosi wyraźny ich wzrost na rynkach wewnętrznych poszczególnych krajów kapitalistycznych, jak i cen eksportowych. Kształtowanie się cen w ostatnich latach wskazują tabele.

Tab. nr 1

Tendencje cen na rynkach wewnętrznych w Belgii, Francji, NRF i Anglii (w dolarach za tonę stali)

miesiąc	Belgia			Francja			N R F			Anglia		
	pręty	szyny	blachy grube	pręty	szyny	blachy grube	pręty	szyny	blachy grube	pręty	szyny	blachy grube
1953 czerwiec	91.50	109.00	104.00	90.30	105.40	104.55	92.00	100.55	103.55	—	—	—
1954 styczeń	—	—	—	—	—	—	—	—	—	87.40	80.60	87.40
luty	83.40	106.00	98.00	86.15	104.10	101.35	—	—	95.60	—	—	—
1955 marzec	96.00	—	110.00	—	—	—	—	—	—	—	—	—
lipiec	—	—	—	—	—	—	89.60	99.90	98.05	—	—	—
wrzesień	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	89.90	98.00
1956 styczeń	103.00	—	115.00	—	—	—	—	—	—	—	—	—

Tab. nr 2

Ceny eksportowe

miesiąc	Kontynent europejski			A n g l i a		
	pręty	szyny	blachy grube	pręty	szyny	blachy grube
1953 czerwiec	93.00	113.00	115.00	—	—	—
1954 luty	82.00	—	89.00	—	—	110.20
1955 listopad	—	—	—	114.00	—	129.00
grudzień	117.00	—	133.00	—	—	—
1956 styczeń	118.00	108.00	139.00	—	—	—

Ostatnio w sierpniu bieżącego roku U. S. Steel Corporation podniosła ceny na główne gatunki stali o dalsze 8,50 dolara za tonę. Ceny rosną przy równoczesnym wybitnym wzroście produkcji europejskiej i światowej, jak to wskazują z kolei cyfry z tab. 3 (w tysiącach ton):

Tab. nr. 3

Kraje	1939	Produkcja			Ocena produk. spodziewanej	
		1953	1954	1955	1956	1960
Kraje Europejskiej						
Wspólnoty Stali	36 054	36 633	43 838	52 578	57 440	71 000
Zjedn. Król.	13 433	17 891	18 817	20 108	21 600	26 000
Inne kraje	22.943	5 285	6 091	6 976	7 470	10 720
Kraje dem. lud.	6 522	12 466	12 742	13 882	15 673	21 390
(Związek Radziecki)	17 600	38 000	41 300	45 200	49 500	68 300
Europa (bez Zw. Radz.)	58 952	75 275	81 488	93 544	102 188	129 110
Produkcja światowa:	136 065	234 546	223 451	269 258	295 362	372 680

Wynika stąd, że produkcja będzie dalej wzrastała, że w Europie zachodniej zostanie ona do roku 1960 prawdopodobnie podwojona w stosunku do roku 1939 (co już nastąpiło w stosunku do krajów demokracji ludowej w roku ubiegłym), że w krajach demokracji ludowej do roku 1960 będzie niemal trzy i półkrotnie wyższa, aniżeli w roku wybuchu wojny. Podobnie, blisko trzy i półkrotny wzrost zdolności produkcyjnej stali zapowiada się w stosunku do produkcji światowej.

Wzrost produkcji europejskiej w ostatnich latach nie był i w najbliższych pięciu latach nie będzie proporcjonalny do wzrostu produkcji światowej. Udział ten spadł z 42,62% w 1939 roku do 34,88% w 1955 roku, podobnie zresztą jak i — co prawda nieznacznie — udział Stanów Zjednoczonych, mimo największego ilościowego wzrostu produkcji, jaki miał tam miejsce. W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie łącznie przewiduje się wzrost o około 29 mln ton, a w Związku Radzieckim o około 23 mln ton. Kraje azjatyckie i południowo-amerykańskie stanowią dalszy czynnik przesunięć w geografii produkcyjnej stali.

Mimo szybkiego wzrostu ludności świata — w szybkim tempie wzrasta produkcja stali na głowę. Przeciętna światowa wzrosła z 57 kg na głowę w ostatnich latach przedwojennych do 102 kg w roku ubiegłym. W Polsce, której produkcja przewyższa przeciętną światową — nie osiąga jednak jeszcze średniej europejskiej, wynoszącej w r. ub. 218 kg (co oznacza przeszło dwukrotny wzrost w stosunku do lat przedwojennych). Osiągnęliśmy w r. ub. 165 kg na głowę, w porównaniu do 39 kg w latach przedwojennych. Równocześnie, udział Polski w produkcji światowej wzrósł z 1,09% do 1,66% (w tym samym czasie udział europejskiej produkcji spadł o ok. 8%). Z krajów demokracji ludowej tylko Czechosłowacja przekracza przeciętną dla grupy krajów przemysłowych Zachodu.

Inwestycje w przemyśle stalowym wzrosły ponownie w roku ubiegłym — po przejściowym spadku w roku 1954. W NRF osiągnęły one blisko 300 milionów dolarów, w Stanach Zjednoczonych 730 milionów. Przewiduje się ich dalszy wzrost — przy czym w roku bieżącym osiągną one prawdopodobnie w USA 1.200 milionów dolarów.

Co jest przyczyną silnego wzrostu zużycia stali i jakie perspektywy widzą producenci w krajach kapitalistycznych na przyszłość przeprowadzając znaczne inwestycje?

STRUKTURA ZUŻYCIA STALI

Wnikliwe i stosunkowo wszechstronne opracowanie ONZ pt. „Europejski rynek stali w roku 1955" *), z którego zaczerpnięto (również z wydawnictwa „Stahl und Elsen") szereg powyższych danych, przedstawia możliwie dokładnie strukturę konsumpcji stali przez poszczególne gałęzie przemysłu w Europie (i w świecie). Przedstawia również uzależnienie wielkości produkcji poszczególnych rodzajów półproduktów stali walcowanej od wielkości produkcji poszczególnych gałęzi przemysłu. I odwrotnie: obrazuje, w jakim stopniu rozwój poszczególnych grup przemysłowych jest uzależniony od szeregu półproduktów. Z zestawień, nie przedstawiając szczegółów dotyczących 80% produkowanej w Europie Zachodniej Stali, wynika, że 2/3 dostaw jest uzależnione od inwestycji stałych (z czego 7% na budowę domów mieszkalnych). Z pozostałej 1/3 większość idzie na trwałe dobra konsumpcyjne. Bardzo zbliżoną strukturę zużycia stali obserwujemy w Związku Radzieckim, gdzie przewiduje się w roku 1960 pochłonięcie 80% produkowanej stali przez inwestycje, a z pozostałych 20% trwałe wyroby konsumpcyjne pochłoną 12 do 15%. W Stanach Zjednoczonych trwałe dobra konsumpcyjne pochłaniają 30% całej produkcji, a produkcja towarów ogólnego użytku ogółem 45%. Tablica poświęcona układowi zużycia poszczególnych półproduktów w Polsce jest niezbyt łatwa do porównywania z innymi krajami, ze względu na umieszczenie w grupie „innych konsumentów" 35% produkcji, wykazywanej bardziej szczegółowo w innych krajach. Uderza jednak wielka ilość stali przeznaczona na inwestycje stałe, a stosunkowo niewielka na produkcję środków transportowych, maszyn i maszyn elektrycznych.

Dzieląc ogólnie przemysły użytkujące stal na takie, które rozwijają się równolegle (lub nawet nieco powolniej) z wzrastaniem produkcji stali i na przemysły, których wzrost jest spieszniejszy, aniżeli przeciętne tempo wzrostu tej produkcji, można stwierdzić, że do pierwszej kategorii, z grubsza biorąc, należą konstrukcje stałe, inżynieria, przemysł maszynowy, budownictwo, budownictwo okrętowe, kolejnictwo (przy czym jeżeli chodzi o tabor, to ze względu na elektryfikację linii i użytkowanie lokomotyw dieslowskich, zmniejszających konsumpcję stali na jednostkę siły, przy równoczesnym zwiększeniu ciężaru pociągów i zwiększeniu szybkości — na dłuższą metę konsumpcja będzie tu stosunkowo niższa aniżeli wzrost produkcji stali). Zużycie stali przez te przemysły łącznie stale wzrasta, przy czym inwestycje w krajach „zacofanych" oraz budownictwo nieco ten wzrost przyspieszyły.

Do drugiej kategorii należy produkcja trwałych dóbr konsumpcyjnych, która wzrasta w stopniu nieproporcjonalnym w stosunku do przeciętnego wzrostu produkcji stali. Dotyczy to zwiększenia zarówno produkcji wszelkiego rodzaju pojazdów mechanicznych, jak i budowy mieszkań i urządzeń domowych. Ogólny poziom zaopatrzenia w stal przemysłów produkujących trwałe dobra konsumpcyjne jest wyższy w krajach zamożniejszych, a ponieważ można liczyć się z dalszym podnoszeniem się standardu życia w Europie udział stali na te cele będzie wzrastał.

Według opracowania ONZ na początku 1955 roku było na świecie 87 milionów samochodów, to jest o 5 milionów więcej aniżeli w roku poprzednim. Ostatnio podaje „Trybuna Ludu", że obecnie jest 95 milionów — o 8 milionów więcej, aniżeli w roku ubiegłym. Wzrost produkcji samochodów do roku 1960 w głównych kapitalistycznych krajach Europy wygląda następująco (w tysiącach sztuk):

Tabl. nr 4

Kraje	1954 r.	1955 r.	Ocena 1960 r.
Zjedn. Król.	769	898	1 200 do 1 300
NRF	518	706	1 200 do 1 300
Francja	440	550	700 do 800
Włochy	181	240	300 do 350
R a z e m	1.908	2 354	3 400 do 3 750

Za rozwojem produkcji samochodów podąża ogromne zużycie stali również na cele pośrednio z nią związane (garaże, urządzenia drogowe, stacje benzynowe, obsługa, pojemniki, tankowce, rafinerie, maszyny produkcyjne — z automatyzacją włącznie — maszyny do budowy dróg itd.).

Wzrost dobrobytu powoduje nie tylko zwiększenie budownictwa mieszkaniowego — ale również zwiększenie produkcji takich urządzeń jak: lodówki, pralki, aparatura do ogrzewania wody, maszyny do szycia, odkurzacze itp. Produkcja tych przedmiotów we wszystkich krajach wzrasta niebywale szybko.

EKSPORT

Wymiana stali pomiędzy różnymi krajami Europy jest bardzo żywa. Każde z państw produkujących jest równocześnie importerem i eksporterem stali. Jest to już odrębne i ciekawe zagadnienie. Polska również eksportuje stosunkowo znaczne ilości stali walcowanej do wszystkich niemal krajów Europy — począwszy od W. Brytanii, NRF i Szwecji, a skończywszy na krajach demokracji ludowej. Eksportujemy do wielu krajów pozaeuropejskich. Największym kontrahentem stały się ostatnio Indie — które od sierpnia br. do marca 1957 r. otrzymają 50 tys. ton stali profilowanej, sztab itp. — tzw. metalurgii czarnej i żelaza kształtowego.

Eksport głównych państw w Europie dotyczy w dużej mierze materiałów kolejowych (nie szyn) i rur. Stal profilowa, odlewy, stal płaska i inne są w mniejszym stopniu przedmiotem obrotu wewnątrzeuropejskiego.

Władysław Kozłowski

*) The European Steel Market in 1955, U. N. Geneva, czerwiec 1956.

WIĘCEJ UWAGI I POMOCY EKSPERYMENTUJĄCYM ZAKŁADOM

MIECZYSŁAW LESZ

Z całego kraju napływają dziesiątki i setki propozycji w sprawie wprowadzenia zmian do systemu planowania i zarządzania zakładem pracy.

Ruch eksperymentowania w zakresie planowania i zarządzania zakładem na tyle się rozwinął, że można już pokusić się o pierwszą jego ocenę, o podsumowanie pierwszych wniosków i o ustalenie podstawowych kierunków i dążeń załóg i kierownictwa zakładów pracy.

Są dwa zasadnicze kierunki inicjatywy:

1. Zwiększenie samodzielności zakładów w zakresie planowania, inwestycji, zaopatrzenia i zbytu, sposobów wynagradzania.

2. Zwiększenie bodźców materialnego zainteresowania załóg w wynikach ekonomicznych produkcji.

SAMODZIELNOŚĆ

Większość wniosków w tym zakresie zmierza do zmniejszenia planowanych centralnie wskaźników, ustalanych wspólnie z resortami, do zwiększenia inicjatywy i pozostawienia samodzielności zakładowi w ramach tych podstawowych wskaźników. Nowa instrukcja o NPG na 1957 r. bardzo znacznie zmniejsza liczbę centralnie planowanych wskaźników, niemniej jednak krok uczyniony w tym kierunku nie jest dostateczny. Dlatego ważną jest rzeczą wypróbowanie takich metod planowania, które by jeszcze znacznie zmniejszyły wykaz centralnie planowanych wskaźników. Słusznie więc wysuwane są propozycje, aby zakład sam planował szczegółowy asortyment produkcji (A-3), aby zakład otrzymywał tylko limit globalnego funduszu płac bez podziału na grupy zatrudnionych (FSO, WZPT).

Wydaje się, że — jeśli idzie o planowanie asortymentowe — można spróbować tak zbudować wytyczne, aby znalazły się w nich tylko artykuły bilansowane centralnie oraz wartość artykułów rynkowych w cenach zbytu. Ta ostatnia liczba jest szczególnie ważna, ze względu na konieczność osiągnięcia zaplanowanej masy rynkowej.

Jest wysuwany szereg wniosków w zakresie usamodzielniania działalności inwestycyjnej przedsiębiorstw. Nasz centralny plan inwestycyjny jest zbyt szczegółowy. Są w nim nie tylko tytuły inwestycyjne związane z rozbudową zakładu, ale również takie roboty i zakupy, które w rezultacie zapewniają jedynie reprodukcję prostą (np. zastąpienie zużytych maszyn nowymi). W rezultacie w planie inwestycyjnym np. przemysłu maszynowego lub włókienniczego są tysiące tytułów, których celowość nie może być zbadana ani w Centralnym Zarządzie, ani w resorcie, nie mówiąc już o PKPG. Dlatego słuszne są wnioski WFM, FSO i innych zakładów, aby ta część planu inwestycyjnego była pokrywana z funduszu amortyzacyjnego, aby nie figurowała w ogóle w planie inwestycyjnym i aby była rozpatrywana tylko w zakładzie pracy.

W tym celu trzeba by tę część funduszu amortyzacyjnego która pozostaje w dyspozycji zakładu pracy, odpowiednio zwiększyć, a centralny plan inwestycyjny zmniejszyć. Nie wydaje się jednak słuszne żądanie zmierzające do pozostawienia całego funduszu amortyzacyjnego w gestii zakładu (FSO), w każdym razie nie jest ono słuszne jako generalna zasada. Tak np. kopalnia, której zasoby kończą się, nie może pożytecznie zużyć całego swojego funduszu amortyzacyjnego, część jego powinna być przekazana w formie środków inwestycyjnych kopalni rozwojowej. Przestarzała elektrownia często nie powinna być modernizowana, ale zamknięta. Część funduszu amortyzacyjnego lepiej obrócić na budowę nowoczesnej elektrowni o niskim zużyciu węgla i niskim koszcie własnym prądu.

Szereg wniosków zmierza do usamodzielnienia zakładu w zakresie zaopatrzenia i zbytu. Są to sprawy mające tak odmienny sens ekonomiczny w zależności od charakteru produkcji zakładu i od używanych surowców, że trudno dać tu jakieś generalne wytyczne kierunków eksperymentowania. Niewątpliwie nasz system zaopatrzenia i zbytu jest skomplikowany i powinien być uproszczony. Z wyjątkiem scentralizowanego zaopatrzenia w artykuły bilansowane centralnie (których liczba powinna się zresztą stale zmniejszać) warto bezwarunkowo wypróbować metody zaopatrzenia zdecentralizowanego z pozostawieniem zakładom pracy jak największej samodzielności w wyborze dostawcy. Jeśli idzie o zbyt, warto wzorem NRD i Węgier co najmniej wypróbować usamodzielnienie dużych zakładów pracy w zakresie eksportu. Warto też zainteresować zakłady pracy w przekraczaniu planów eksportu przez pozostawienię części dewiz z eksportu ponadplanowego w dyspozycji zakładu pracy. W zbycie krajowym większą rolę powinny w eksperymentach odegrać bezpośrednie porozumienia z odbiorcą z ominięciem zbędnych ogniw pośredniczących (Central Zaopatrzenia i Zbytu).

BODŹCE MATERIALNE

Wszystkie wnioski zmierzają do zainteresowania załóg w zyskach przedsiębiorstwa (FSO, A-3, WFM itd.). Jest to żądanie absolutnie słuszne. Gdy każdy robotnik będzie wiedział, że od wyników pracy zakładu zależy część jego płacy, poczuje się prawdziwym współgospodarzem, współodpowiedzialnym za zakład jako całość. Ale z wygospodarowaniem zysku wiąże się po pierwsze prawidłowe obliczanie kosztu własnego, po drugiej takie ustawienie bodźców które wpływałoby na wszystkie elementy składowe kosztów w kierunku ich zmniejszenia. Dlatego też nic dziwnego, że obok wniosków zmierzających do materialnego zainteresowania przedsiębiorstwa wysunięto wnioski i w tych dwu ostatnich sprawach.

Dziś środki obrotowe są przydzielane zakładom przez bank zgodnie z planem finansowym, przy czym zakład nie jest zainteresowany niczym w obniżeniu swego na nie zapotrzebowania. Tymczasem zagadnienie obniżenia środków obrotowych, przyśpieszenia ich rotacji — ma pierwszorzędne znaczenie dla całej gospodarki narodowej.

Dlatego szereg fabryk warszawskich słusznie wysunęło żądanie oprocentowania środków obrotowych, aby poprzez koszty zainteresować kierownictwo i załogę w przyśpieszaniu ich rotacji.

Kapitalne remonty są dziś pokrywane z amortyzacji. Zakład mając określony fundusz na kapitalne remonty ani nie jest zainteresowany w dobrej konserwacji maszyn, ani w obniżeniu kosztów samych remontów. Pieniądze na remonty albo trzeba wydać, albo je bank zabierze. Dlatego w FSO, A-3, WFM słusznie wysunięto żądanie, aby kapitalne remonty obciążały koszty produkcji; wtedy bowiem zakład pracy będzie zainteresowany w ich obniżeniu. Taka decyzja kryje w sobie co prawda niebezpieczeństwo. Pogoń za obniżką kosztów może wywołać zaniedbanie remontów, a nawet dewastację urządzeń — dlatego sprawa wymaga opracowania i ze brania doświadczeń z kilku zakładów.

Słusznie wysuwane są żądania materialnego zainteresowania robotników w oszczędności materiałów. Za oszczędność siły roboczej robotnik jest wysokopremiowany (akord, progresja), za oszczędność materiałów — nie. Tymczasem wszędzie tam, gdzie wprowadzono takie premiowanie, dało ono bardzo dobre rezultaty (np. premiowanie za oszczędność węgla). Cała sprawa — rzecz jasna — wymaga szczegółowego opracowania, odmiennego w każdym zakładzie pracy. Zasada powinna być taka, że robotnik otrzymuje część wartości zaoszczędzonego materiału. Trzeba jednak zabezpieczyć się przed pogorszeniem z tego tytułu jakości produkcji, pogorszeniem bhp (do czego mogłaby doprowadzić np. przesadna oszczędność drewna w kopalniach).

Generalną zasadą przy wprowadzaniu wszelkich nowych bodźców materialnego zainteresowania powinna być teza, że środki na dodatkowe wynagrodzenie muszą być wygospodarowane ponad plan

Z tych też względów należy odrzucić propozycje zmierzające do poprawienia rentowności zakładów poprzez wzrost cen. Nie chcemy takiego wzrostu płac w jednym zakładzie, który pociąga za sobą obniżkę płac realnych innych robotników, zmuszonych płacić wyższą cenę za nabywane artykuły. Klasa robotnicza nic na tym nie zyska. Z tych samych względów w zasadzie nie powinny być akceptowane propozycje zmierzające do pozostawienia zakładom prawa do ustalania cen zbytu na swoje wyroby.

Jeśli idzie o podział nagród i premii wypracowanych przez zakład, trzeba pozostawić maksimum inicjatywy samym zakładom, załogom i dyrekcjom. Wydaje się jednak, że niektóre wnioski w tej sprawie są tak dalece niefortunne, że nie powinny być wprowadzane w życie. Tak np. projekt Zakładów Wytwórczych Aparatów Pomiarowych A-3 przewiduje ustalenie pułapu miesięcznych zarobków dla robotników akordowych wolnych od podatku. Z zarobku przewyższającego pułap — 50% ma być pobierane w formie podatku przez skarb państwa. Projekt ten — gdyby był zrealizowany — niewątpliwie dałby w rezultacie spadek wydajności pracy i obniżenie wykonywania norm, ponieważ stanowiłby typowy „antybodziec".

Osobny wielki zakres spraw wysuwanych w zakładach pracy w związku z eksperymentami w zakresie planowania i zarządzania stanowią wnioski w sprawie udziału załogi w zarządzaniu przedsiębiorstwem. Sprawa ta ściśle wiąże się z dyskutowanym obecnie projektem uprawnień rad zakładowych i zasługuje na oddzielne omówienie.

Obserwując wielki pęd do prób i eksperymentów trzeba stwierdzić, że inicjatywy jest dużo, dużo jest w zakładach zapału, wiary i energii, znaczna część projektów jest oczywiście słuszna, pewna ilość projektów wymaga ostrożnego eksperymentowania; stosunkowo mało jest wniosków niesłusznych lub nie posiadających ekonomicznego uzasadnienia. Trzeba, aby ze strony organizacji partyjnych i ogniw administracji gospodarczej było więcej pomocy w formułowaniu wniosków i w przeprowadzaniu eksperymentów; trzeba już teraz rozpocząć przygotowywanie wniosków uogólniających w sprawach bezspornych, pamiętajmy, że koniec roku blisko, a szereg zmian najlepiej wprowadzać powszechnie pierwszego stycznia.

EKSPERYMENT I CO DALEJ?

EUGENIA SIEMASZKIEWICZ
STANISŁAW ĆWIERTNIAK

Niewiedza, mimo obiektywnej szkody jaką przynosi, jest zwykle mniejszym lub większym błogostanem. Tak więc przed Krajową Naradą Budownictwa byliśmy o tyle szczęśliwi, że dostrzegając straty, bałagan i marnotrawstwo na poszczególnych budowach ani przypuszczaliśmy, jakich rozmiarów sięgają one w skali ogólnokrajowej.

Krajowa Narada Budownictwa ujawniła cały nasz budowlany bałagan, ujawniła niedomogi już nie poszczególnych ogniw, ale całego naszego systemu gospodarowania w tej dziedzinie. Niestety, powyższe stwierdzenie, mimo że wielokrotnie w czasie obrad powtarzane w sposób mniej lub bardziej dobitny — utonęło jakoś w powodzi bardzo szczegółowych kuracyjnych wniosków. Dlatego być może wnioski te są teraz tak opornie, tak straszliwie wolno realizowane.

Już w czasie narady w poszczególnych wypowiedziach można było znaleźć zalążki całościowego systemu zmian dających wizję konkretnej poprawy. Między innymi dyrektor Warszawskiego Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego Północ wystąpił ze światoburczym wówczas jeszcze wnioskiem — zwiększenia samodzielności, a tym samym odpowiedzialności dyrektorów przedsiębiorstw budowlanych. Wniosek ten przez jakiś czas dojrzewał w tymże zjednoczeniu, a w początkach lipca br. przekształcił się w konkretny plan reorganizacji przedsiębiorstwa.

Bielańska koncepcja zakłada trzy momenty: zmienia system planowania, stosuje w nowy zupełnie sposób bodźce materialne i chce tak przeorganizować zjednoczenie, aby stało się ono przedsiębiorstwem całkowicie rentownym.

Do gospodarki „po nowemu" przedsiębiorstwu są potrzebne tylko dwa podstawowe wskaźniki roczne: wysokość zadań rzeczowych i akumulacja. Pozostałe wskaźniki, narzucane dotychczas odgórnie i krępujące inicjatywę, nie zostają zarzucone całkowicie, są pomocniczymi danymi, którymi posługuje się wyłącznie przedsiębiorstwo.

Zmiana systemu planowania pociąga za sobą konieczność reorganizacji przedsiębiorstwa. Zlikwidowano więc odcinki budowlane — niepotrzebnego pośrednika między zjednoczeniem a budową. Cały ciężar przygotowania produkcji bierze teraz na siebie zjednoczenie. Głównemu inżynierowi podlegają rozbudowane i podniesione do rangi decydujących trzy nowe działy: dział dokumentacji i przygotowania produkcji, dział inspekcji produkcji i dział zaplecza technicznego.

Najwięcej „nowego" znajdujemy w pierwszym dziale. Na podstawie otrzymanej i zweryfikowanej dokumentacji przygotowuje on m. in. kalkulację poszczególnych obiektów w układzie elementów, czyli szeregu „podzespołów", „wydzielonych całości", na które zostaje podzielona budowa. W budynku takich elementów jest zwykle około 14.

Podział na elementy konieczny jest do przeprowadzenia trzech podstawowych kalkulacji: obliczenia robocizny (na podstawie obowiązujących stawek i norm KNCJ), wyliczenia potrzebnych ilości materiałów (zgodnie z zatwierdzonymi normami zużycia) oraz wyliczenia wartości i ilości pracy sprzętu. Te trzy obliczenia stają się podstawą do opracowania planu kosztów obiektu, dają podstawę do działania kierownikowi budowy.

Tak więc kierownik budowy od samego początku wie na jakiej dokumentacji projektowo - kosztorysowej obiekt jest skalkulowany i jaka jest wysokość planu kosztów.

Po opracowaniu tych kalkulacji następuje zawieranie umów z robotnikami, a ściślej mówiąc z brygadzistą występującym w imieniu brygady. Brygadzista sprawdza obmiar, wyliczenia, ceny, ilość przypadającego na element materiału itd. Jednym słowem — jak to określają sami robotnicy z Bielan — staje się podwykonawcą, „małym przedsiębiorcą". Może to określenie razi jeszcze nieprzyzwyczajone ucho, ale ręczymy, że budowa, mimo wszystkich zmian pozostaje nadal jak najbardziej państwową.

„Małe przedsiębiorstwo" brygadzisty nie kończy się bynajmniej z chwilą podpisania umowy, w której zobowiązuje się on w określonym terminie wykonać taką to a taką pracę, a Zjednoczenie za pracę tę zapłacić określoną sumę i na czas dostarczyć potrzebne materiały. Brygadzista ma całkowicie wolną rękę zarówno jeśli chodzi o zorganizowanie roboty, jak i o dobór ludzi do brygady. Kierownika budowy zupełnie nie obchodzi, czy brygada postanowi wykonać pracę w zmniejszonym składzie (mniejsza dzielna — większy floraz), jaki jest jej skład fachowy itd. Tak więc brygadzista w ZBM-Północ ma na swym odcinku większe uprawnienia od niejednego dyrektora przedsiębiorstwa.

Bardzo to ładnie brzmi, ale co on z tego ma? Gdzie są te bodźce materialne? Większa odpowiedzialność — to zaszczyt niewątpliwy, ale jak to się przelicza na brzęczącą monetę?

Suma wymieniona w umowie składa się z następujących elementów: ceny za robociznę, wyliczonej według katalogów z 10% dodatkiem za wykonanie roboty w terminie lub przed terminem, ryczałtu za ewentualny przestój. Tak więc dwa bodźce są tu widoczne gołym okiem — trzeci jest ukryty: skończysz wcześniej, wcześniej przystąpisz do realizacji następnej umowy. W umowie jest również chwytająca klauzula: brygada otrzymuje 50% wartości zaoszczędzonych przez siebie materiałów. Ta klauzula została z miejsca przyjęta przez robotników bardzo przychylnie. Z miejsca skończyło się marnotrawstwo materiałów w tych brygadach, które już na umowach pracują. Nie trzeba chyba dodawać, że brygady we własnym zakresie bezlitośnie tępią bumelanctwo i nieróbstwo.

Oczywiście, tak jak brygada jest jak najbardziej osobiście zainteresowana, aby otrzymać w terminie dobry materiał, tak samo kierownik budowy pilnuje, aby sprzęt mechaniczny pracował jak najekonomiczniej, najkrócej. Ani o przyjęciu złej betoniarki, ani też o innych „grzecznościowych" ustępstwach na rzecz bazy sprzętu nie ma mowy. Przecież po zakończeniu budowy obiektu 30% ponadplanowych oszczędności będzie rozdzielane między pracowników umysłowych kierownictwa budowy.

ZBM-Północ budować będzie bloki mieszkalne za taką samą cenę (ustaloną przez kosztorys), za jaką stawiają je na razie i długo pewne jeszcze stawiać będą inne zjednoczenia. Koszty rzeczywiste obiektu — różnica między ceną kosztorysową a ceną rzeczywistą, tj. taką którą przedsiębiorstwo faktycznie zapłaci to już „osobista" sprawa wykonawcy, sprawa jego gospodarności i dobrej organizacji pracy.

W tym właśnie momencie na trybunie dyskusji zjawiają się oponenci, którzy stwierdzają:

Nikt jeszcze w Polsce Ludowej nie odpowiedział na pytanie, ile w rzeczywistości wynosi koszt jednego budynku. Najgenialniejszy księgowy nie potrafi w istniejących warunkach udowodnić, czy wybudowanie danego obiektu przyniosło przedsiębiorstwu zysk czy stratę. Jedno tylko dziś wiemy: kosztorys nie odpowiada rzeczywistym kosztom budynku. Ponieważ na tej anomalii opiera się właśnie cała sprytna „zasada rentowności" ZBM-Północ, jest ona właściwie jednym wielkim nieporozumieniem.

Zarabiając na różnicy między własnym planem kosztów a kosztorysem ZBM-Północ — twierdzą oponenci — pozwala sobie na odejście od obowiązujących norm, czego dowodem jest właśnie wzrastająca popularność umów o dzieło wśród robotników.

— Przecież robotnik — dowodzą — pracujący na akord w warunkach pełnego zaopatrzenia materiałowego może również dużo zarobić. Nowy system jest więc atrakcyjny jedynie dlatego, że po jego wprowadzeniu robotnik w jakiś sposób zarabia więcej niż przy ścisłym stosowaniu istniejących norm.

Dalsze argumenty oponentów wyglądają następująco: któż w Polsce nie podpisałby się pod tym, że za oszczędzanie materiałów trzeba płacić? Ale problem polega na tym, od czego płacić. Czy od norm technicznych zawartych w kosztorysach, czy od faktycznego zużycia materiałów.

Żeby na te — zarazem słuszne i perfidne zarzuty odpowiedzieć, trzeba zdać sobie sprawę z warunków, w jakich dokonuje się tzw. eksperyment bielański. Wypada tu pamiętać, że konieczność reorganizacji tego przedsiębiorstwa wyrasta z niesłychanych gospodarczych skrzywień i wypaczeń, że specyfika, zalety i wady nowego systemu są ściśle uwarunkowane miejscem i czasem rozgrywania się akcji.

Na czym ta specyfika polega? Jesteśmy w tej dogodnej sytuacji, że mamy za sobą Krajową Naradę Budownictwa, jej setkę dyskutantów i kilka tysięcy wniosków. Z tego materiału dowodowego wynika niezbicie, że normy na robociznę zawarte w KNCJ są w większości wypadków źle ustawione. Poza rewizją norm tynkarskich nic w tej materii dotychczas nie zmieniono. Ponadto nie istnieją właściwie racjonalne normy zużycia materiałów; premiowanie za oszczędność jest w tym stanie rzeczy albo sprawą przypadku, albo większym lub mniejszym kantem.

Obraz istniejącego budowlanego kanciarstwa należy dopełnić jeszcze permanentnym brakiem materiałów budowlanych i dezorganizującym pracę ustawieniem systemu bodźców materialnych. Jak wiadomo, przedsiębiorstwa budowlane premiowane są obecnie nie za wykonanie planu rzeczowego (izby, kubatura), lecz planu finansowego; premia pracowników inżynieryjno-technicznych uzależnio-

NARADA W URZĘDZIE RADY MINISTRÓW

W dniu 28 września rb. odbyła się w Urzędzie Rady Ministrów narada działaczy gospodarczych w sprawie nowych metod zarządzania przedsiębiorstwem.

Problemów poruszonych na naradzie nie omawiamy, gdyż nie zostaliśmy o niej zawiadomieni.

REDAKCJA

FAKTY I LICZBY

SPRAWA SUEZU W RADZIE BEZPIECZEŃSTWA

Po okresie anglo - amerykańsko - francuskich prób zmontowania szeroko zakreślonego natarcia politycznego na Egipt sprawa Suezu znalazła się na forum ONZ. Proponowane przez Dullesa Stowarzyszenie Użytkowników Kanału Sueskiego, pomyślane jako zawoalowane dawne Towarzystwo Kanału Sueskiego, znalazło przeciwwagę w proponowanej przez Egipt koncepcji układu z udziałem kilkudziesięciu krajów, przeważnie Azji i Afryki. Sięgając do metod brutalnego szantażu Anglia zagroziła ustami ministra Kolonii, Lennox-Boyda wstrzymanie spływu wód do Nilu a następnie wraz z Francją wniosła „sprawę Suezu" do Rady Bezpieczeństwa ONZ. W odpowiedzi na to Egipt wniósł do Rady Bezpieczeństwa prośbę o rozważenie kroków, podjętych przez pewne mocarstwa, w szczególności Francję i Anglię, skierowanych przeciwko Egiptowi, a stanowiących groźbę dla pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego i pogwałcenie karty ONZ.

Nie ulega wątpliwości, że debaty w Radzie Bezpieczeństwa przedłużą okres ożywionej działalności dyplomatycznej, związanej ze sprawą Kanału Sueskiego. (w)

ROZBUDOWA PORTÓW NAFTOWYCH W ANGLII

W związku z walką o Kanał Sueski w angielskich kołach rządowych rozważany jest projekt przystosowania portu Milford Haven w Walii do przyjmowania supertankowców o tonażu powyżej 100 tys. ton. Użycie bowiem supertankowców sprowadziłoby koszty transportu nafty do Europy wokół Przylądka Dobrej Nadziei poniżej kosztów przewozu nafty małymi statkami przez Kanał Sueski. Koszty przebudowy portu, która by uczyniła z Milford Haven jeden z największych portów naftowych świata i czołowy ośrodek dystrybucji nafty są obliczone na 13 do 15 mln funtów, a czas trwania robót — na trzy lata.

Obecnie Anglia ma dwa porty (w Grangemouth i na wyspie Grain) nadające się do przyjmowania supertankowców, ale obydwa te porty stanowią prywatną własność grupy „British Petroleum". Grupa ta ma zamiar przystąpić do budowy nowego portu dla supertankowców, inna zaś grupa Esso zakupuje już tereny w okolicy Milford Haven.

Tankowce ponad 100 tys. ton, jak wiadomo, nie mogą przepływać przez Kanał Sueski. (m)

ANGLIA PRZYSPIESZA BUDOWĘ ELEKTROWNI ATOMOWYCH

Angielski urząd do spraw energii atomowej ogłosił, że przystępuje do rozszerzenia i przyspieszenia realizacji programu elektrowni atomowych zaznaczając jednocześnie, że kryzys sueski stał się bodźcem dużej wagi w dążeniu do zastąpienia paliw płynnych innymi środkami energii. Zresztą, jeszcze przed upaństwowieniem Kanału Sueskiego władze angielskie stwierdziły, że zdolność energetyczna elektrowni atomowych w Anglii w 1965 roku będzie wyższa niż początkowo przewidywano. W roku ubiegłym sądzono, że w 1965 roku elektrownie atomowe wyprodukują 7,5% energii wytwarzanej w Anglii, a obecnie udział ten szacuje się co najmniej na 12%. Oszacowania prywatne są znacznie wyższe, np. „Financial Times" przewiduje, iż udział elektrowni atomowych w wytwarzaniu energii w 1965 roku wyniesie 33%. (m)

NAFTA USA DLA EUROPY ZACHODNIEJ

Przedstawiciele przemysłu naftowego czterech południowych stanów amerykańskich — Teksasu i innych — oświadczyli, że stany te w razie trudności importu nafty z Bliskiego Wschodu gotowe są pokryć całe zapotrzebowanie krajów zachodnio - europejskich na ropę naftową, przy czym sam Teksas mógłby zwiększyć produkcję ropy do miliona baryłek (42 gallony, 1 gallon = 3,78 l) dziennie.

Dyrektor amerykańskiego urzędu naftowego H. Stewart stwierdził jednocześnie, iż w wypadku przerwania ruchu przez Kanał Sueski USA są w stanie dostarczyć do Europy 500 tys. baryłek ropy dziennie, a w razie dalszego zaostrzenia się sytuacji i unieruchomienia rurociągów naftowych dochodzących do portów Morza Śródziemnego — nawet milion baryłek dziennie. (m)

CZTERY PROBLEMY EISENHOWERA

W pierwszym wielkim przemówieniu przedwyborczym prezydent Eisenhower jako kandydat Partii Republikańskiej w obecnej kampanii wyborczej podkreślił poważny charakter kryzysu sueskiego i oświadczył, że USA „nie szczędzą wysiłków dla uratowania pokoju". Eisenhower wymienił cztery problemy międzynarodowe, mające wielkie znaczenie dla USA, a mianowicie:

1) „walkę o wolność" toczącą się w rozległej strefie od pustynnych obszarów Afryki Północnej aż do wysp południowego Pacyfiku, gdzie „komunistyczne głosy propagują nienawiść wobec Zachodu", 2) groźbę broni jądrowej, 3) „używanie przez komunistów politycznych metod walki w drodze głosowania", 4) wzrost potęgi przemysłowej Związku Radzieckiego, co — zdaniem Eisenhowera — stanowi „wyzwanie dla Zachodu" i wymaga „możliwie najściślejszego uzgodnienia akcji ekonomicznej między wolnymi narodami".

Pomimo jednak stwierdzenia niebezpieczeństwa broni atomowej prezydent wypowiedział się przeciwko zaniechaniu „w dzisiejszych warunkach" amerykańskich prób z bombami wodorowymi.

BUDOWNICTWO PRZEMYSŁOWE I MIESZKANIOWE W USA

Według danych Departamentu Handlu wartość budowli wykończonych w Stanach Zjednoczonych w ciągu pierwszych 6 miesięcy tego roku wynosi 19 910 mln dol., czyli o 2 więcej niż w tym samym okresie roku poprzedniego, stanowiącym rekord w budownictwie amerykańskim. Pomimo ogólnego wzrostu budownictwa, budownictwo mieszkalne wykazuje w I półroczu 1956 roku stosunkowo znaczny spadek, bo o całe 8%, natomiast budownictwo przemysłowe wzrosło o 27%, budowle na biura i domy towarowe — o 18%, budowle na sklepy, restauracje i garaże — o 27%. Departament Handlu przy tej okazji zaznaczył, że jeżeli obecne tempo budownictwa utrzyma się i w II półroczu, to 1956 rok okaże się w tym zakresie rekordowym, osiągając 44 mld dol. wobec 43 mld dol. w roku ubiegłym.

NARADA W WASZYNGTONIE PRZEDSTAWICIELI KRAJÓW AMERYKI ŁACIŃSKIEJ

września odbyła się w Waszyngtonie narada osobistych przedstawicieli prezydentów krajów Ameryki Łacińskiej, zwołana z inicjatywy USA i mająca na celu złagodzenie niezadowolenia krajów łacińsko-amerykańskich od dawna protestujących przeciwko ograniczaniu zadań organizacji panamerykańskiej do „współpracy wojskowej i przeciwko ignorowaniu przez USA istotnych potrzeb gospodarczych tych krajów. W 1954 roku państwa Ameryki Łacińskiej wzięły udział w konferencji w Caracas w nadziei, że będą mogły tam pozawierać układy gospodarcze z USA. Natomiast Departament Stanu USA wysunął na plan pierwszy zagadnienie rozwoju komunizmu na kontynencie amerykańskim, co — jak pisze wpływowy dziennik amerykański „Christian Science Monitor" — spowodowało, że kraje Ameryki Łacińskiej przestają interesować się organizacją pan-amerykańską.

Licząc się z tymi nastrojami Departament Stanu USA w zaproszeniach na obecną naradę wysunął myśl przekształcenia organizacji państw amerykańskich w „rzeczywisty organ współpracy" w dziedzinie ekonomicznej. USA chciały ograniczyć porządek dzienny głównie do sprawy wyzyskania energii atomowej dla celów pokojowych, ale delegaci Kuby, Panamy i Chile oświadczyli, że tego rodzaju ograniczenie nie daje możliwości rozwiązania palących problemów gospodarczych Ameryki Łacińskiej.

Według pisma „Vision" kraje łacińskie wysunęły na naradzie takie zagadnienie, jak stabilizacja cen głównych artykułów eksportu Ameryki Łacińskiej, budowa elektrowni i rozbudowa sieci kolejowych, konieczność ogólnego rozwoju ekonomicznego krajów łacińsko-amerykańskich itp.

ZAGADNIENIE NACJONALIZACJI W URUGWAJU

Rząd urugwajski wyznaczył 5-osobową komisję do zbadania możliwości upaństwowienia rzeźni-chłodni „Anglo", będącej własnością firmy angielskiej. Decyzję tę powzięto po oświadczeniu firmy, że musi wstrzymać produkcję, gdyż przy obecnym systemie wymiany walut jest ona nieopłacalna. (m)

DRUGI PLAN PIĘCIOLETNI W CHINACH

Przyjęte przez VIII Zjazd KPCh wytyczne drugiego planu pięcioletniego na lata 1958 — 1962 przewidują w okresie planu podwojenie globalnej produkcji przemysłowej, wzrost produkcji rolnej o 35% i utrzymanie ogólnego szybkiego tempa wzrostu przy zachowaniu prymatu wzrostu przemysłu ciężkiego. Dochód narodowy wzrośnie o 50%, wydatki budżetowe na gospodarkę wzrosną z 56 do 60—70%, na administrację zaś spadną z 32 do 20%. Inwestycje będą miały udział w wydatkach budżetowych w wysokości 40% (w obecnym planie 35%). Realne inwestycje będą dwukrotnie większe od realizowanych w pierwszym planie pięcioletnim. Plan powinien na bazie pomyślnego wykonania pierwszej pięciolatki zapewnić pomyślne zbudowanie potężnego przemysłu dzięki czemu w ciągu około trzech pięciolatek Chiny powinny przeobrazić się w przodujące mocarstwo uprzemysłowione. (w)

ŚWIATOWA MAPA MATERIAŁÓW RADIOAKTYWNYCH

Na XX międzynarodowym kongresie geologów w Meksyku przewodniczący delegacji radzieckiej D. I. Szczerbakow wystąpił z wnioskiem opracowania mapy materiałów radioaktywnych przy współudziale 70 krajów reprezentowanych na kongresie. Zdaniem delegata radzieckiego specjalny przedkomitet mógłby rozpocząć pracę już na początku 1958 roku. W wywiadzie prasowym Szczerbakow oświadczył, iż nie widzi przeszkód natury politycznej do przygotowania mapy zarówno materiałów radioaktywnych, jak i wszystkich minerałów świata. (m)

DOKOŃCZENIE ZE STR. 8

na jest więc od tego, czy określona z góry suma pieniędzy zostanie wydatkowana czy nie. Jeśli nie zostanie (np. dzięki wprowadzeniu racjonalniejszej organizacji pracy czy oszczędniejszemu zużyciu materiałów), przedsiębiorstwo premii nie otrzymuje. (Nie otrzymuje jej właśnie od szeregu miesięcy i ZBM-Północ).

Co może zrobić przedsiębiorstwo, które w takich to, wcale nie sprzyjających warunkach chce gospodarować na zasadzie rentowności? Nie ma mowy o rozpoczynaniu od prawidłowego ustalania norm, rewidowania cen itd., nie jest ono w stanie przeprowadzić doraźnej zmiany cenników, a nawet gdyby mogło — nie ma na to czasu.

Dlatego wszystkie obecne zmiany w ZBM-Północ, to jeszcze nie rentowna gospodarka, to dopiero początek drogi do osiągnięcia rentowności. W tej chwili cały wysiłek „Północy" skierowany jest na to, żeby planowe zadania wykonać na sumę kredytu przydzielonego przedsiębiorstwu przez państwo. Jeżeli np. w milionie złotych jest już zawarta zapłata i za pracę i za poprawki, i za straty materiałowe, i za wszystkie inne plagi budownictwa, to obecna „ekonomia" ZBM-Północ dąży do tego, aby po pierwsze — tego miliona w żadnym wypadku nie przekroczyć, a po drugie — wydać go jak najkorzystniej i dla przedsiębiorstwa, i dla robotnika.

Stąd wniosek: lepiej do umowy wstawić z góry procent za terminowość, zapłatę za oszczędność materiałów, ryczałt za przestoje; lepiej z góry zainteresować finansowo kierownika budowy i innych pracowników umysłowych jak najefektywniejszą pracą sprzętu, niż przepłacać w inny, znacznie mniej etyczny sposób. Przykład: obliczono, że obecnie koszt jednego m³ tynku przy wszystkich nowych dodatkach kosztuje przedsiębiorstwo 8 zł, podczas gdy przy starym systemie, przez olbrzymią ilość poprawek, stratę materiałów itd. ten sam m³ kosztował 12 zł. ZBM zyskuje więc na metrze 4 zł, a nie odbywa się to bynajmniej kosztem zarobku tynkarza. W brygadzie tynkarskiej zarobki wynoszą około 3 500 zł, a w murarskiej — 3 000 zł miesięcznie.

W tej chwili, po zawarciu umów sytuacja jest taka, że wszyscy oszczędzają wszystko: czas, materiał, pracę. Wyzwolona inicjatywa jest zarazem wyzwoloną kontrolą. Teraz tynkarz nie pozwoli elektrykowi pruć całej ściany w poszukiwaniu puszki. Sam mu pomoże ustalić miejsce awarii, gdyż jest przecież zainteresowany w tym, aby poprawek było jak najmniej.

Nowy system stworzył wyśmienite warunki, aby niepodzielnie zapanowały na budowach uczciwość i gospodarność. Brygadziści rzeczywiście łamią sobie teraz głowy nad tym, aby roboty na ich odcinkach przebiegały sprawnie i szybko. O oszczędzaniu materiałów myśli cała brygada — każda zmarnowana cegła czy deska — to teraz stracona złotówka.

Dopiero mając taką podstawę, takie pole działania — można myśleć o pogodzeniu teorii z praktyką. Powstały bowiem odpowiednie warunki, aby nareszcie wyliczyć faktyczną wartość budynku, wartość materiałów, robocizny itd. Teraz dopiero można sprawdzić, czy normy materiałowe są dobre czy złe; teraz będzie można rozmawiać z inwestorem jak równy z równym, Zjednoczenie potrafi nareszcie mówić o cenie, bronić swej ceny.

Bo czym w gruncie rzeczy jest rentowność przedsiębiorstwa? Jest sprzedawaniem inwestorowi obiektu za prawdziwą cenę. I najdalszą perspektywą „Północy" jest dojście do takiej specjalizacji, aby mogła mieć miejsce następująca rozmowa:

Inwestor: potrzebny mi jest blok 4-piętrowy kubatury x, y.
Zjednoczenie: proszę bardzo, tu są plany opracowane przez naszą pracownię architektoniczną. Może pan wybierać... Acha, ten. Kosztuje x milionów złotych. Chce pan sprawdzić kalkulację?
Na stole zjawia się segregator ze wszystkimi szczegółowymi obliczeniami, cenami sporządzonymi właśnie dla wybranego projektu. O „targach" mowy nawet nie ma. Ceny są ścisłe, stałe. Taniej zjednoczenie zbudować nie może, bo mu się nie opłaci, bo musiałoby... robić to, co robi się powszechnie dziś: dopłacić inwestorowi.

A to już przecież nie będą dzisiejsze warunki. Będą uczciwe kalkulacje z uchwyceniem wszystkich robót zanikowych, oparte na faktycznych cenach, racjonalnych normach robocizny, faktycznym zużyciu materiałów. Przedsiębiorstwo budowlane może tu ponieść stratę tylko wówczas, gdy samo zawini, gdy przekroczy własne ceny. Ale to już w żadnym wypadku nie będzie obchodzić inwestora, którego następną czynnością będzie dopiero odbiór budynku w uzgodnionym terminie. To są naturalnie zamierzenia na przyszłość, niemniej realne i właściwe.

Zanim jednak nastąpi ich realizacja, musi znaleźć rozwiązanie jeden z najbardziej podstawowych problemów: zaopatrzenie przedsiębiorstwa w materiały. Wiemy, jak wygląda w praktyce problem zaopatrzenia budów przy istniejącym systemie. Potrzeb okazuje się tu z reguły więcej, niż zaplanowanych, popartych przyrzeczeniami i zobowiązaniami dostaw materiałowych. Wiemy, że cegła klasyfikowana przez dostawcę jako gatunek I okazuje się w praktyce o połowę mniej wydajnym gatunkiem III. Wiemy o ciągłych brakach nie tylko wapna czy cementu, ale artykułów produkowanych przez przemysł metalowy, stolarnie itp. Wiemy o wielu pośrednikach, którymi są szczeble aparatu zbytu, ludzie nie zainteresowani materialnie w terminowym wykonaniu, w ogóle w dotrzymaniu zawartych umów.

Apel o pomoc, z którym ZBM-Północ zwróciło się do załóg zakładów produkcji materiałów budowlanych wzywając je do analogicznych reorganizacji, wymownie świadczy o tym, że tylko i wyłącznie brak materiałów może doprowadzić „eksperymentatorów" do fiaska. Ta obawa niezawinionej porażki zmusza poza tym ZBM-Północ do swoistego wszystkoizmu. Do specyficznego kalkowania fordowskiej koncepcji przedsiębiorstwa samowystarczalnego, zabezpieczającego sobie dostawy materiałowe przez zorganizowanie własnej bazy surowcowej. Odnosi się to również do projektu rozszerzenia w ramach ZBM działu planowania, który przekształcić się ma kiedyś we własne biuro projektowe przedsiębiorstwa.

Różnica między Fordem a dyr. Poczmańskim polega jednak na tym, że pierwszy — aby żyć — chce i musi uniezależnić się od konkurencji i kaprysów rynku, drugi jedynie na jakiś czas musi uniezależnić zreorganizowane na zasadach dążenia do rentowności przedsiębiorstwo od dostawców, którzy wciąż jeszcze nie są zainteresowani w tym, aby dostarczać odbiorcom materiał dobry i tani — ani w tym, aby dostarczać go rytmicznie.

„Własne" cegielnie, czy „własne" żwirownie, które ma zamiar uruchomić ZBM-Północ są w tym wypadku tak samo koniecznym produktem okresu przejściowego, jak i tymczasowe godzenie się z dyktatem cen przez inwestora.

Entuzjaści „eksperymentu" bielańskiego proponują jeszcze jedną drogę wyjścia. Sądzą oni, że aparat zbytu ze względu na wagę doświadczeń „Północy" dla gospodarki narodowej — powinien traktować to zjednoczenie jako priorytetowe. Byłoby to swego rodzaju nawiązanie do takich haseł sześciolatki, jak „zielona droga dla Nowej Huty", czy „wszystko dla Stadionu".

Przed takim rozwiązaniem należy się ustrzec. Przecież w stosunku do Bielan nazwa „eksperyment" jest swego rodzaju nieporozumieniem. Zdajemy sobie wszyscy sprawę, że chodzi tu nie tyle o sprawdzenie w życiu zasady rentowności (nikt jej słuszności przecież nie podważa), ile o doraźne opracowanie nowej, przystosowanej do naszych warunków formy gospodarczej. A więc nie powinno tu być w żadnym wypadku mowy o stwarzaniu warunków sztucznie idealnych. Bielany są nam potrzebne nie jako jedno rentowne przedsiębiorstwo na tysiąc nierentownych, lecz jako wzór do naśladowania w przyszłości.

W przyszłości bliższej, czy... dalszej? Pytanie rzeczywiście hamletowskie. I niestety odpowiedź na nie musi być pytyjska: tym bliżej, im szybciej przemysł materiałów budowlanych wprowadzi w swych zakładach zwrot podobny co do istoty systemu zmian wprowadzonych na Bielanach. Jedyną próbę tego rodzaju obserwujemy obecnie w cegielni „Zielonka". Nie słychać nic o próbach wprowadzenia gospodarki opartej na zasadzie rentowności w cementowniach, wapiennikach, żwirowniach, stolarniach, zakładach prefabrykacji materiałów budowlanych, wytwórniach instalacji sanitarnych, i setkach innych zakładów, których produkcję odbiera budownictwo.

Dlatego uważamy, że w istniejącej sytuacji nacisk budowlanych powinien się koncentrować na tym, aby poparta została każda zdrowa inicjatywa reorganizacji tych zakładów. Dalsze oderwane próby przestawiania na nowe tory przedsiębiorstw budowlanych nie są już potrzebne, nie są uzasadnione.

A stawianie zagadnienia „na głowie", to znaczy najpierw niech zaczną budowlani i niech postawią przemysł materiałów budowlanych przed faktami dokonanymi — da odwrotne wyniki od oczekiwanych. Takie mechaniczne rozszerzanie „eksperymentu" zaszkodzi jemu samemu; będzie to niewypał.

Najbardziej idealny system jednego przedsiębiorstwa budowlanego zostanie tylko systemem idealnym na papierze, zostanie utopią, jeżeli jego zazębienia z przedsiębiorstwami, z którymi musi współpracować, będą słabe, kruche. Obiektywną słabością towarzyszy z „Północy" jest to, że nie mają władzy, aby identyczne zmiany wprowadzić równocześnie u dostawców. Jeden z dyrektorów ZBM nazwał nadanie zezwolenia przez ministerstwo powiedzeniem „A" i domaga się, aby obecnie powiedzieć „B", tj. rozszerzyć uprawnienia ZBM-Północ" na wszystkie zjednoczenia. Podobno bowiem obecna sytuacja demobilizuje inne załogi.

Nie czas jednak powiedzieć w tej chwili „B". Rzeczywiście najpilniejsza konieczność — to wzmocnienie zazębienia. Przeorganizować, przestawić na zasady rentowności wytwórców. A potem dopiero, korzystając z doświadczeń, cyfr i wskaźników eksperymentującego ZBM-„Północ" — powiedzieć „B" w budownictwie.

Eugenia Siemaszkiewicz,
Stanisław Ćwiertniak

KARIERA KOPALNI INICJATYWY

JAN JĘDRZEJEWSKI

W tygodniku „Po prostu" z dnia 22 lipca 1956 r. ukazał się artykuł pt. „Kopalnia inicjatywy" na temat organizacji przedsiębiorstwa, zgłoszonej przez pracowników Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego Warszawa-Północ.

W ślady ZBM-Północ poszły załogi krakowskiego „Kabla" i cegielni „Zielonka", reorganizując swoje zakłady pracy na przedsiębiorstwa oparte na zasadzie rentowności i udziału załogi w wygospodarowanych oszczędnościach. W wielu innych zakładach toczą się dyskusje na ten temat.

Czy stanowi to jednak imponujące pokłosie, jakiego należało oczekiwać po tej gloryfikacji „Kopalni inicjatywy", którą w ślad za „Po prostu" podjęła cała niemal prasa codzienna?

Czy nie budzi refleksji fakt, że tak słabą reakcję na projekt ZBM-Północ wykazały — jak dotychczas — przedsiębiorstwa budowlane? Przecież sielankowy obraz rentownej „szczęśliwości produkcyjnej" bijący ze wspomnianego reportażu w zestawieniu z faktem, że projekt ZBM-Północ stał się już na mocy akceptacji Ministra Budownictwa z dnia 30 sierpnia br. obowiązującą formą organizacyjną przedsiębiorstwa, powinien predystynować do roli wzorca żywiołowo przyjmowanego przez szeroki ogół przedsiębiorstw budowlanych.

Są jednak przyczyny, które powodują, że nie ma tego spontanicznego odzewu. Nie tkwią one bynajmniej w stagnacji naszego budownictwa czy braku zainteresowania tą sprawą. Przeciwnie — Krajowa Narada Budownictwa stworzyła w budownictwie klimat, w którym każde novum wiodące ku poprawie wywołuje najwyższą reakcję, a na temat projektu ZBM-Północ toczą się żywe dyskusje.

Zapoznajmy się najpierw z podstawowymi założeniami organizacyjnymi ZBM-Północ. W obecnie obowiązującej wersji zatwierdzonej przez ministra, przedstawiają się one w skrócie następująco:

1. Wskaźniki narodowego planu gospodarczego wiążące zjednoczenie zostają ograniczone tylko do dwóch, tj. do wielkości produkcji i akumulacji.

2. Dyrektor zjednoczenia jest upoważniony do przeprowadzenia zmian w reorganizacji produkcji i w organizacji zjednoczenia aż do zmian statutowych włącznie.

3. Produkcja zjednoczenia, tj. wykonywanie robót budowlanych zostaje oparte w zasadzie na umowach zawartych z brygadami produkcyjnymi.

4. Brygady zawierające umowy korzystają w stosunku do obowiązującego Katalogu Norm i Stawek Jednostkowych z dodatku 15%, w tym 10% za dotrzymanie terminu umownego i 5% za mogące powstać przestoje.

5. Brygadom zawierającym umowy przysługuje premia w wysokości 50% wartości materiałów zaoszczędzonych przy wykonaniu objętych umową robót.

6. Personelowi administracyjno-technicznemu budowy prowadzonej przez brygady produkcyjne przysługuje premia w wysokości 30% ponadplanowych oszczędności, pod warunkiem, że zostanie uprzednio do budowy doprowadzony prawidłowy plan kosztów.

7. Personelowi administracyjno-technicznemu zarządu zjednoczenia przysługuje premia w wysokości 40% ponadplanowych oszczędności zjednoczenia.

Rozpatrzmy kolejno poszczególne punkty projektu w świetle wprowadzonych nowości w stosunku do zasad organizacyjnych dotychczas spotykanych w budownictwie oraz możliwości realnego wprowadzenia ich w życie.

Dwa pierwsze punkty stanowią naprawdę dużą rewelację, a to w tym sensie, że udało się uzyskać na nie aprobatę ministerstwa. Czyż nie jest np. kolosalnym osiągnięciem, że zamiast tzw. 60 wskaźników dyrektywnych rocznie, z których co najmniej połowa była jeszcze „uoperatywniona" dyrektywnie i odgórnie co kwartał, przedsiębiorstwo otrzymuje tylko dwa wskaźniki i to raz na rok? Jest to jednak osiągnięcie o charakterze administracyjnym i samo w sobie jeszcze niczego nie dowodzi.

Trzeba jednak stwierdzić, że te dwa punkty stanowią wreszcie w pełni dokonaną realizację postulatów, o które walczy cały aktyw gospodarczy, tj. decentralizację planowania i rozszerzenia uprawnień przedsiębiorstw. Na marginesie warto zauważyć, jak bardzo blado wygląda wobec uprawnień otrzymanych przez dyrektora ZBM-Północ zarządzenie zwiększające kompetencje dyrektorów przedsiębiorstw w resorcie budownictwa.

Sformułowanie punktu 3 a także 4 i 5 projektu mogłoby sugerować, że projekt wprowadza jakiś nowy system organizacji pracy na budowie. Projekt ZBM-Północ wprowadza zasadę zlecania (forma umowy o dzieło) wykonania jakiegoś elementu budowy (np. jednej kondygnacji w stanie surowym, otynkowania całego budynku lub jego części itp.) brygadzie roboczej, podczas gdy przy starym systemie zleca się do wykonania te prace, których zakres wykonania nie przekracza jednego miesiąca (np. betonowanie na części kondygnacji, fragment murów itp.). Podstawa dla wyceny wartości robót jest ta sama, to znaczy obowiązujący w budownictwie Katalog Norm i Stawek Jednostkowych.

Trzeba stwierdzić, że ta forma zlecania prac brygadzie nie jest nowa. Już od dwóch lat jest ona praktykowana w budownictwie pod nazwą tzw. brygad kompleksowych. Stosunkowo duże osiągnięcia mają w organizowaniu takich brygad między innymi zjednoczenia budownictwa wojskowego i ZBM-Nowa Huta.

Popularyzacja brygad kompleksowych napotykała jednak na duże trudności, gdyż przy tym systemie trzeba zapewnić brygadzie rytmiczną dostawę materiałów i front robót. Powszechnie występujący deficyt materiałowy był najczęstszą przyczyną przestojów i rwania się tej formy organizacji prac na budowie.

Środkiem wprowadzonym przez ZBM-Północ, które ma zachęcić załogi budów do organizowania brygad kompleksowych są dodatkowe bodźce materialne przewidziane w projekcie, tj. zryczałtowany dodatek 15% za dotrzymanie terminu i ekwiwalent za ewentualne przestoje oraz premia w wysokości 50% wygospodarowywanych przez brygadę oszczędności na materiałach. Dodatek 15% nie jest niczym innym jak tylko zawoalowaną formą zwiększenia zarobków przy niezmienionym zakresie rzeczowym prac i wydajności. Ma on za zadanie zlikwidować problem „długiego ołówka", jednej z największych obecnie plag w budownictwie.

Wydaje się, że dla wyeliminowania tej plagi będzie całkowicie opłacalne wprowadzenie proponowanego przez ZBM-Północ 15% dodatku. Rzecz jasna, że od momentu wprowadzenia dodatku przedsiębiorstwo będzie musiało w sposób bezwzględny tępić najmniejszą nawet próbę fałszowania czy zawyżenia zarobków.

Zasadnicze jednak wątpliwości powstają przy ocenie realności drugiego bodźca materialnego, tj. premii w wysokości 50% wartości zaoszczędzonych materiałów. Aby wyliczyć te oszczędności, można oprzeć się jedynie na obowiązujących normatywach zużycia materiałów. Normatywy te są normatywami technicznymi i przewidują tylko minimalne ubytki przewidziane procesem technologicznym. Powstaje pytanie, z czego więc wygospodarować te oszczędności?

Są trzy możliwości, aby je uzyskać, a mianowicie:

— oparcie wyliczenia oszczędności o prawidłowy normatyw techniczny, co przy najkorzystniejszym nawet przebiegu procesu produkcyjnego pozwoli na uzyskanie tak minimalnych oszczędności materiałowych, że nie będą mogły one stanowić praktycznie żadnego bodźca materialnego dla brygady;

— oparcie wyliczenia o prawidłowy normatyw techniczny ryzykując możliwość, że brygady będą dla uzyskania oszczędności świadomie zmniejszać ilości wbudowywanych materiałów, co odbije się na jakości wykonanych robót, a to jest niedopuszczalne.

— oparcie wyliczenia o tak zwane własne (szacunkowe) normatywy zużycia ustalone na podstawie praktycznych doświadczeń. Nie wymaga chyba komentarzy ile niebezpieczeństw kryłoby się w przyjęciu tej ostatniej metody i dlatego trzeba ją absolutnie wykluczyć.

Pierwsze wyliczenia oszczędności materiałowych ZBM-Północ oparte zostały na tej ostatniej niedopuszczalnej metodzie. Błędu tego nie wolno powtórzyć żadnemu z przedsiębiorstw, które pójdą w ślady ZBM-Północ.

Należy tu dodać, że Minister Budownictwa udzielając aprobaty dla projektu wyraźnie zastrzegł się, że ceny sprzedażne produkcji, normy zużycia materiałów i powszechnie obowiązujące normy pracy i płacy nie mogą być przez zjednoczenie zmienione.

Wydaje się, że autorzy projektów nie przemyśleli tej sprawy do końca. Wydaje się, że pewnym lekarstwem na powszechne marnotrawstwo materiałów byłyby dodatkowe bodźce materialne za utrzymanie się w prawidłowych, tj. technicznych normach zużycia materiałów.

Reasumując wydaje się, o ile słuszne było uatrakcyjnienie brygad kompleksowych przez bodźce materialne, to jednak podstawy płacowe tych bodźców nie zostały przez autorów projektu przemyślane i sprecyzowane właściwie, co należy uznać za duży minus projektu.

Ponadto należy dodać, że w pogoni za uatrakcyjnieniem brygad kompleksowych autorzy projektu nie docenili jeszcze jednej sprawy, która niewątpliwie już w niedługim czasie powstanie. Skoro tylko robotnicy przekonają się, że zarobki w brygadach kompleksowych są wyższe (a tak być powinno) wszyscy będą chcieli pracować właśnie w takich brygadach. Zjednoczenie będzie musiało wszystkie swoje budowy przestawić na brygady kompleksowe. Czy wówczas uda się zapewnić dla wszystkich bez wyjątku budów rytmiczną dostawę materiałów i inne warunki wynikające z zawartej umowy o dzieło? Jaką będzie reakcja załogi jeśli warunki te nie będą dotrzymywane? Jak w czas zjednoczenie opanuje sytuację, przy zmniejszonej operatywności w przerzucaniu załogi?

Z kolei sprawa premiowania kierownictwa budowy od wygospodarowanych ponadplanowych oszczędności (punkt 6 projektu). Zagadnienie to nie jest nowością. Mówi o tym jeden z paragrafów zarządzenia Ministra Budownictwa Miast i Osiedli Nr 100 z czerwca 1955 r. Ten jednak paragraf zarządzenia nie został wykonany, gdyż do tej pory nie potrafiono opracować realnego sposobu obliczenia planu kosztów budowy.

Autorzy projektu mają zaś w tej sprawie jedynie mgliste koncepcje, nie mówiąc już o tym, że występuje brak powiązania planu kosztów budowy z kosztorysem umownym, będącym podstawą do rozliczania się z inwestorem.

Autorzy projektu uważają, że ich plan kosztów dla budowy (innymi słowy tzw. kosztorys produkcyjny) zawierający poza kosztami bezpośrednimi również i narzut kosztów ogólnych — nie musi pozostawać w żadnym określonym stosunku do kosztorysu umownego. Może więc powstać taka sytuacja, że inwestor zapłaci za obiekt 1 mln zł, a plan kosztów dla budowy wyniesie np. 1,1 mln zł, mimo że zjednoczenie będzie miało planowaną akumulację dodatnią.

Wydaje się, że w tym punkcie tkwi zasadnicza słabość koncepcyjna projektu. To przypuszczenie potwierdza sformułowanie w piśmie zatwierdzającym ministra, gdzie zastrzega się, że „...plany kosztów budowy powinny zgadzać się z planem zjednoczenia". Jakkolwiek sformułowanie nie jest może najtrafniejsze i najszczęśliwsze to jednak intencja w sensie ostrożności jest aż nazbyt jasna.

Przedstawione obawy wydają się być tym bardziej uzasadnione, że liczne poczynione dotychczas próby opracowania metody obliczania planu kosztów dla budowy nie zdały egzaminu. Wykazywały one tak dużą pracochłonność, że choćby z uwagi na koszt ich opracowania nie mogły być przyjęte w praktyce. Zawiodły też próby wskaźnikowego wyliczania kosztów budowy w stosunku do kosztorysu umownego. Nie należy przez to powiedzieć, że jest to sprawa nie do rozwiązania, ale niewątpliwie trudna.

Ta słabość projektu kryje w sobie duże niebezpieczeństwo. Kierownictwo budowy agituje perspektywą dodatkowych bodźców materialnych. Co będzie jednak, gdy okaże się, że ta perspektywa to tylko miraż i jeśli autorzy projektu nie potrafią rozgryźć w praktyce tego niewątpliwie twardego orzecha, jakim jest ustalenie właściwej metody obliczania planu kosztów budowy? Czy nie właściwsze byłoby najpierw opracować metodę, która już jeśli nie poparta praktycznymi doświadczeniami, to przynajmniej mogłaby wytrzymać próbę teoretycznej krytyki?

Pozostał jeszcze do omówienia ostatni punkt projektu mówiący o 40% premii od wygospodarowania ponadplanowych oszczędności zjednoczenia dla pracowników jego zarządu. Jakkolwiek w założeniu chwyta on za serce i zdobywa popularność, to o jego realności realizacyjnej będzie można mówić również dopiero po opracowaniu metody ustalania planu kosztów dla budowy.

Przy tym nasuwa się tu jeszcze jedna wątpliwość. ZBM-Północ jest zaopatrywane w materiały przez całkowite odrębne przedsiębiorstwo, tj. Przedsiębiorstwo Zaopatrzenia Budownictwa Miejskiego w Warszawie. W związku z tym ingerencja zjednoczenia na tak ważny odcinek kosztów, jakim są koszty zaopatrzenia, jest ograniczona do minimum, nie mówiąc już o możliwości bezpośredniego wpływu na rytmiczność dostaw. Czyż nie należałoby więc w projekcie ustosunkować się zasadniczo do tej sprawy?

I jeszcze jedna niedomyślana przez autorów projektu sprawa, tj. premiowanie zarówno kierowników budów jak i pracowników zarządu zjednoczenia za tzw. operatywne miesięczne wyniki produkcyjne mierzone dotychczas wartością przerobu finansowego. Wydaje się, że równoległego istnienia dwu rodzajów premii, tj. za przekroczenie planu finansowego (plan za wszelką cenę) i premii za wyniki ekonomiczne (plan za właściwą cenę) nie da się utrzymać dłużej, gdyż jest to typowy przykład niedobranego małżeństwa.

„Po prostu" ochrzciło zespół ZBM-Północ z dyrektorem Poczmańskim na czele „kopalnią inicjatywy". Reszty dokonała kampania prasowa. Nie będzie w tym przesady, jeśli stwierdzę, co podałem w tytule, że Kopalnia inicjatywy robi karierę przynajmniej w sensie popularności. Czy słusznie?

Jakiekolwiek jeszcze zastrzeżenia moglibyśmy odnieść wobec ich projektu, zespołowi temu przypada zasługa, że był pierwszy, który potrafił uzyskać samodzielność jako przedsiębiorstwo. Zasługą jest też to, że potrafił nawiązując do istniejących już doświadczeń twardo postawić sprawę bodźców materialnych dla załogi jako jedynej drogi wiodącej do uzyskania rentowności przedsiębiorstwa. Ale należy wyrazić obawę, czy potrafi ono stworzyć praktycznie możliwości dla zrealizowania tych bodźców.

Wydaje się, że koncepcja nie została przemyślana do końca, a są symptomy, które świadczą, że do rysujących się trudności podchodzi się ze zbyt dużą niefrasobliwością. Metoda „mierz siły na zamiary" nie zawsze udaje się w realizacji. A zamiary „kopalni inicjatywy" zakrawają nieomal na gigantomanię: własne cegielnie, wapienniki, piaskarnie, żwirownie, własne grupy instalacyjne, własna produkcja prefabrykatów dla uprzemysłowienia budownictwa, brygady kompleksowe na wszystkich bez wyjątku budowach, i to już, od zaraz. Najdalszy termin jaki podaje się w zjednoczeniu, jeśli chodzi o realizację tych zamierzeń — to 1 stycznia 1957 r.

Wspomniano na wstępie, że ze strony przedsiębiorstw budowlanych nie ma spontanicznego odzewu na inicjatywę ZBM-Północ. Powodem tego jest to, że przedsiębiorstwa te może ostrzej niż autorzy projektu dostrzegają duże trudności realizacyjne.

Z drugiej strony sprawa eksperymentu ZBM-Północ przestała już dziś być sprawą jednego przedsiębiorstwa. Wiemy, że budownictwo jest dziś w impasie, z którego wyjść musi. Czy inicjatywa ZBM-Północ będzie udaną próbą wyjścia z impasu? Czy słuszne jest, aby do ZBM-Północ odbywały się, tak jak to ma miejsce dziś, pielgrzymki przedstawicieli przedsiębiorstw, którzy wynieśli z dotychczasowej kampanii prasowej przekonanie, że otrzymają tam niezawodną receptę na toczącą ich przedsiębiorstwa chorobę? Na pewno nie. W „kopalni inicjatywy" recepty nie dostaną, bo tam daleko jeszcze do ustalenia receptury na własne dolegliwości. Niemniej jednak, jeśli chodzi o przedsiębiorstwa budowlane, to już dziś zaaplikować można by główne kierunki leczenia, które dla wszystkich przedsiębiorstw będą przydatne, a nawet, zaryzykowałbym twierdzenie, że nieodzowne:

po pierwsze — radykalne zmniejszenie centralizacji planowania,

po drugie — radykalne zwiększenie uprawnień dyrektorów przedsiębiorstw. Rozszerzenie tych uprawnień w wersji ostatnio wydanego zarządzenia jest zbyt nieśmiałe, aby mogło być wystarczające,

po trzecie — kierunek organizacji form pracy na budowie na brygady kompleksowe; korekty wymaga tylko słuszna w założeniu koncepcja związanych z tym bodźców materialnych,

po czwarte — stworzenie bodźców materialnych dla personelu administracyjno-technicznego budów i zarządu zjednoczenia związanych ściśle z wynikami ekonomicznymi, tj. uzyskaną przez budowę czy przedsiębiorstwo akumulacją; bezsporną wynikającą stąd koniecznością wydaje się wprowadzenie budowy na tzw. rozrachunek wydziałowy.

I jeszcze jedno, o czym trzeba pamiętać. Choroba, która toczy przedsiębiorstwa budowlane, osiągnęła już bardzo zaawansowane stadium. Dlatego do leczenia przystąpić trzeba od razu. Nie wolno czekać, aż w „kopalni inicjatywy" wykształtuje się jakaś uniwersalna recepta dla wszystkich przedsiębiorstw budowlanych.

Należy oprzeć się na głównych kierunkach uderzeniowych leczenia, które się już rysują a opracowanie szczegółowej recepty pozostawić samym pacjentom, tj. przedsiębiorstwom. Wiadomo bowiem, że przy tej samej chorobie nie każdy organizm można wyleczyć ściśle tą samą metodą. Nie należy tutaj przesadzać w ostrożności.

Wydaje się, że Minister Budownictwa powinien zaryzykować (o ile to można nazwać ryzykiem) i udzielić takich samych uprawnień, co ZBM-Północ, co najmniej kilku czy kilkunastu przedsiębiorstwom na terenie kraju. Przedsiębiorstwom tym w opracowaniu wzorcowych metod powinny pomóc, zarówno jeśli chodzi o organizację produkcji, jak i zagadnienia ekonomiczne, placówki naukowe resortu.

Jeśli nawet w niektórych przedsiębiorstwach eksperyment ten by się nie powiódł, to z sumy doświadczeń można będzie wybrać najlepsze wzory. Dopiero wtedy będziemy mogli mówić, że budownictwo wyszło z impasu, jeśli kopalń inicjatywy będzie tyle, ile jest przedsiębiorstw budowlanych w Polsce.

TADEUSZ JAWORSKI

Za fasadą ambitnej nazwy

Wielu ludzi narzeka u nas na złą działalność kolportażu prasy. Są również tacy — zwłaszcza wśród pracowników „Ruchu" — którzy usiłują zarzuty osłabić. Oto jak mniej więcej wyglądałby dyskurs o kolportażu między przedstawicielem jednego poglądu (Malkontentem) i przedstawicielem drugiego (Entuzjastą).

E. Minęły już czasy, gdy telefony warszawskie były nieodmiennym tematem dla satyryków i codziennym utrapieniem dla wszystkich. Minęły tak dawno, że pył zapomnienia pokrył tę drażniącą niewygodę z pierwszych lat naszego dziesięciolecia. Dzisiaj wystarczy kilka minut, by porozumieć się z połową stolicy.

M. Tak. Wystarczy nakręcić numer i odzywa się Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruchu". Chcę porozumieć się w sprawach kolportażu naszego czasopisma. Odsyłają mnie do Przedsiębiorstwa Upowszechnienia Prasy i Książki Województwa Warszawskiego, stamtąd do Stołecznego Przedsiębiorstwa UPiK. Tu znowu dowiaduję się, że właściwie w tych sprawach mogę się czegoś dowiedzieć w Delegaturze Śródmieście. I tak dalej i tak bez końca. Telefon cierpliwie poddaje się wskazującemu palcowi, tarcza kręci się jak opętana..

E. Ale prawda, że centrala automatyczna łączy niezawodnie? Po prostu zachwycać się można. Jaka olbrzymia różnica, jaki postęp w porównaniu z 1950 rokiem.

M. Gorzej jednak, że nic nie zmieniło się po drugiej stronie drutu telefonicznego. Utworzony w 1950 roku „Ruch" tak samo jak sześć lat temu otwiera zdumione oczy, niczym niewinne dziecię: „Jak to wczoraj nakład był do odebrania, a jeszcze go nie ma w kioskach? Czy to powód do zdenerwowania? Kiedy będzie? Chyba jutro.

E. Nie bądź tak niesprawiedliwy. Zmieniło się już wiele.

M. Tyle chyba, że obok wymienionych placówek powstało także Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch", Przedsiębiorstwo Sprzedaży Prasy Antykwarycznej „Ruch", Centrala Artykułów Pozaprasowych „Ruch" oraz Biuro Wydawniczo-Propagandowe „Ruch". Wszystkim tym przedsiębiorstwom patronuje Centralny Zarząd Upowszechnienia Prasy i Książki „Ruch". Rozbudował się ten nasz przyjaciel, ale w dalszym ciągu nie wykonuje dobrze swoich zadań.

E. Zadania „Ruchu" określone zostały w chwili jego tworzenia krótko i zwięźle. Zarządzenie Prezesa Rady Ministrów, Ministra Poczt i Telegrafów mówiło w § 3, że przedmiotem działalności Państwowego Przedsiębiorstwa Kolportażu jest:

a) przyjmowanie zamówień na dostawę wszelkich czasopism i innych wydawnictw periodycznych i nieperiodycznych, krajowych i zagranicznych (prenumerata);

b) rozprowadzanie wyżej wymienionych pism (kolportaż).

Czy „Ruch" nie wykonuje tych zadań?

M. Od tego czasu istotnie wiele się zmieniło. Sieć przedsiębiorstw „Ruchu" rozrosła się — jak się to mówi — burzliwie. Zadania bardziej konkretne; dające się łatwo skontrolować, co najważniejsze wymagające znacznego wysiłku przejęła poczta. Przyjmuje ona — oczywiście w imieniu „Ruchu" — zamówienia na prenumeratę i wykonuje znaczną część pracy przy tzw. „rozprowadzaniu" prenumerowanej prasy. „Ruch" natomiast inkasuje od wydawnictw narzuty za te czynności. Sam zaś poczuł się swobodniejszy a swój olbrzymi aparat ludzki obarczył znacznie ważniejszym zadaniem, jakim jest popularyzacja prasy i jej propaganda. Chociaż pracownicy kolportażu przyznają, że czasopismo najlepiej propaguje się samo swym poziomem.

Jak widać szczęśliwie się złożyło, że „Ruch" jest w tym samym resorcie co poczta. Możliwe było także proste przerzucenie bardziej niewdzięcznej pracy na urzędy pocztowe i listonoszów, a zostawienie sobie pionierskiej chlubnej działalności, dzięki której tak wspaniale powinna rozkwitać nasza prasa. A przy okazji uzyskało się wolniejsze ręce dla wielkiej, masowej akcji sprzedawania kuponów i znaczków totalizatora sportowego i temu podobnym nader dochodowym przejawom działalności kolportażowej. Mało — znalazły się możliwości uruchomienia własnego wydawnictwa.

E. I ze wszechmiar słusznie uczyniono rozszerzając działalność. Weź bowiem pod uwagę, że samo rozprowadzanie prasy jest imprezą deficytową. Nie ma chyba potrzeby, by państwo dokładało do kolportażu.

M. Nie do wiary. Przy tak olbrzymich obrotach?

E. Nie do wiary, a jednak tak. Mówi się, że tzw. „narzut" czy jak kto woli „rabat" dla „Ruchu" jest wygórowany. Że pobieranie przez „Ruch" przeciętnie 32% od ceny sprzedaży czasopisma nie ma uzasadnienia w realnych kosztach rozprowadzenia.

M. Przy wielkich obrotach małe kwoty jednostkowe składają się na wielkie sumy wynikowe. Nikt nie wozi pojedynczych egzemplarzy samochodem. Wędrują one wspólnymi paczkami. Jest chyba rzeczą jasną, że przewiezienie na trasie — dajmy na to — 50 km, jednego egzemplarza musi kosztować wielokrotnie więcej niż przewiezienie tysiąca egzemplarzy.

E. Nie uwzględniasz, że obok transportu powstaje wiele innych kosztów. Że trzeba ponadto opłacić ludzi. Przecież w kolportażu pracuje potężna armia licząca 10 tysięcy etatowych pracowników,

M. Otóż to — dziesięć tysięcy ludzi w placówkach „Ruchu" oraz ponad 16 tysięcy w kioskach (8 tysięcy kiosków po 2 ludzi na kiosk przy całodziennej pracy). Gdybyś dokonał przeliczeń okazałoby się, że na jednego pracownika wypada około 210 egzemplarzy dziennie. Czy liczba ta nie jest niewspółmierna z wynikami i oczywiście kosztami?

E. Nie uwzględniasz wszystkich momentów; sądzę, że nie masz racji.

M. Na pewno mam. Ustawianie się długich kolejek przed kioskami w chwili, gdy otrzymują one dzienniki i czasopisma, jest objawem, który może budzić tylko radość i dumę. Nie przechodzi się u nas obojętnie obok słowa drukowanego; człowiek łaknie go jak codziennej strawy, nie może się bez niego obejść.

Ale bynajmniej nie budujące są wyścigi czytelników od kiosku do kiosku; czyhanie na egzemplarz czasopisma, które się chce przeczytać, uciekanie się do specjalnych dopłat dla kioskarzy, by chowali egzemplarze. Tej praktyce zresztą utorowali znacznie drogę racjonalizatorzy z „Ruchu" słynnym „ułatwieniem" w postaci tzw. odkładania prasy dla stałych klientów kiosku.

W ciągu ostatnich lat przeprowadzano zresztą tyle usprawnień i reorganizacji, że zdezorganizowano

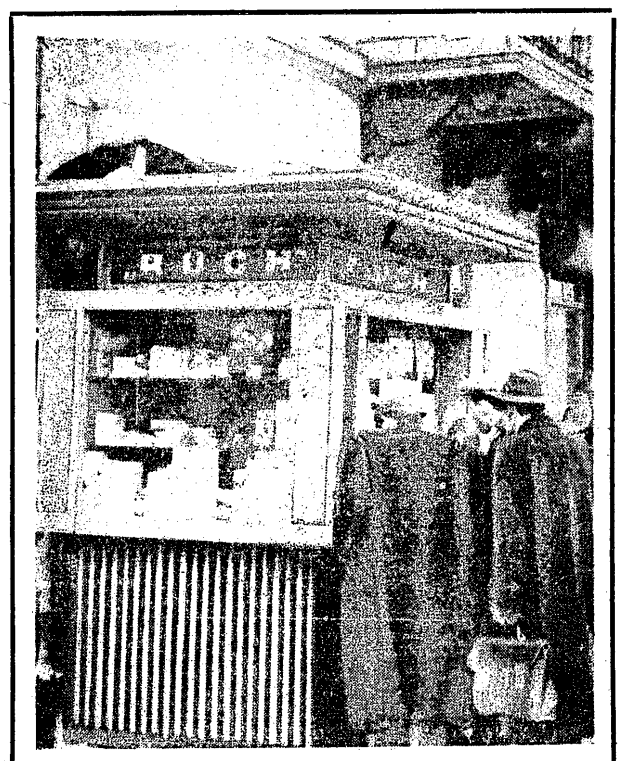

rynek czytelniczy dokumentnie. Prenumeratorzy, którzy abonowali czasopisma nieprzerwanie przez dziesięć lat, w ubiegłym roku często pozbawieni zostali możności dalszego abonowania, gdyż wprowadzono ograniczenia, limity itp. usprawnienia. Usprawnienia te w krótkim czasie usunięto, nie usuwając jednak zamieszania, jakie one wywołały. Poczta przyjmuje zgłoszenia i wpłaty na prenumeratę tylko na pełne kwartały. Prenumerator nie wie nigdy, czy i kiedy zgłoszenie jego zostanie przyjęte. Zaopatrzenie się w sprzedaży kioskowej w komplet ulubionych czasopism jest wyczerpującym sportem, dostępnym jedynie dla ludzi zdrowych, silnych i umiejących organizować sobie nawet drobne stosuneczki.

E. Słowa pełne goryczy. Trzeba by jednak zapoznać się z faktami, a wtedy wypadłoby zmienić ten ostry ton. Bo przede wszystkim — kolportuje się około 2 miliardy egzemplarzy prasy rocznie, a zapotrzebowanie rynku wynosi około 3 miliardów. Jednorazowe sumaryczne nakłady nieustannie rosną, ale są ciągle zbyt małe. Dla przykładu nakład taki w styczniu br. wynosił 15 mln, w kwietniu 16,6 mln, a w maju już 17 mln. Potrzeba natomiast 22 mln. Ta ilość rozwiązałaby sprawę. Ustałby nacisk rynku czytelniczego.

M. Jeśli by zapotrzebowanie nie rosło.

E. Oczywiście, ale przy 22 mln wzrost ten byłby stosunkowo niewielki i dający się ściśle przewidzieć, a co najważniejsze pokryć.

M. Z tym się zgadzam. Przy deficycie prasy i przy jej niskiej cenie muszą występować trudności i ktoś może nie otrzymać swego ulubionego czasopisma. Ale nie o to chodzi — przecież nacisk rynku nie usprawiedliwia faktów stałego złego kolportażu tych ilości, które się drukuje.

Redakcje otrzymują codziennie stosy listów ze skargami na złe funkcjonowanie aparatu kolportażowego, sygnały, że czasopism w niektórych nawet znacznych miastach w ogóle nie ma, że nie było jeszcze wypadku, by dziennik został dostarczony do kiosku dwa dni po kolei w tych samych godzinach, że zapłacone w prenumeracie egzemplarze nie docierają do abonenta, że prasa zagraniczna dostarczana jest „stadami" za okres kilkudniowy, itd. itd. W działach odpowiedzi redakcji, w różnych ukosach, spacerkach, sztychach, w prasie satyrycznej wylano morze atramentu i farby drukarskiej, krytykując działalność „Ruchu". Działo się tak od narodzenia tego przedsiębiorstwa aż po dzień dzisiejszy. I wszystko bez najmniejszego skutku. Czytelnik wyraża niejednokrotnie przekonanie, że „Ruch" jest ponad i poza krytyką. Jeden z nich tak się wyraził: przedsiębiorstwo to kilka lat temu było jeszcze rozwijającym się dziecięciem — można sobie było wytłumaczyć, że niemowlę takie wymaga czułej opieki. Dzieciom nie sprawia się na ogół niepotrzebnie przykrości, karci się je klapsem i pozwala mu dalej beztrosko się bawić. Ale teraz „Ruch" jest już dobrze zbudowanym rosłym mężczyzną. Czyżby był dostatecznie silny, by lepiej było omijać go z daleka i nie tykać.

E. Pomińmy anegdotyczne wycieczki. Zobaczmy natomiast, jak mają się sprawy z owym niepunktualnym i złym dostarczaniem prasy. Nikt nie może utrzymywać, że wszystkie ogniwa „Ruchu" pracują bezbłędnie. Ale czy mogą one nawet przy najofiarniejszych pracownikach — a takich nie brakuje — wykonać swą pracę ku pełnemu zadowoleniu odbiorców, jeśli nie współdziałają z nimi wydawnictwa.

W Warszawie w ciągu pierwszego półrocza br. dzienniki miały około 4 tysięcy opóźnień, jeśli idzie o oddanie nakładu na łączną ilość 3 600 godzin. Jeden z bardzo poczytnych dzienników stołecznych miał na przykład w ubiegłym miesiącu niemal codziennie opóźnienie od 40 do 120 minut. Zazwyczaj widzimy tylko denerwujący fakt, że o określonej godzinie nie ma naszego dziennika. A nie myślimy, ile godzin tracą środki transportowe oczekujące na nakład, ile godzin ludzie siedzą bezczynnie, ile to pochłania kosztów i jak dezorganizuje pracę, a tym samym rynek.

M. Zgoda. Wydawnictwa powinny dotrzymywać harmonogramów i o określonej w nich godzinie zgłaszać nakład do odbioru. „Ruch" natomiast po otrzymaniu takiego zgłoszenia nie powinien zwlekać z odbiorem nakładu — a to jednakże się zdarza. Opóźnienia w drukarni istotnie dezorganizują pracę „Ruchu". Tylko, że tu sprawa sprowadza się do minut. A zaniedbania w odbiorze gotowych nakładów wyrażają się już nie godzinami, lecz dniami.

E. Chyba przesada.

M. Jeśli przesadą jest fakt, że nakład naszego czasopisma gotowy do odbioru w dniu 17 września, rozprowadzony został dopiero 19 września. Czyli po dwóch dniach. Mógłbym takich przykładów przytoczyć dziesiątki.

E. Trzeba by zbadać, kto ponosi w tych wypadkach winę.

M. Słusznie, ale nie tylko trzeba znaleźć winnych, lecz również zmienić styl pracy. By nie zdarzały się wypadki takie, jak np., że obniżenie prenumeraty naszego czasopisma — znane od szeregu tygodni „Ruchowi" — nie zostało przekazane placówkom przyjmującym prenumeraty. W efekcie żądano od prenumeratów wygórowanych opłat, a ci zrezygnowali z abonowania czasopisma. Ale to jeszcze nie wszystkie bolączki. Znamy jeszcze inne, jak np. niewłaściwy rozrzut na kioski, jak całkowity brak analizy potrzeb rynku czytelniczego.

Nieoceniony pożytek sprawie krzewienia czytelnictwa przyniósłby ten, kto by dokładnie przeanalizował rynek czytelniczy, obliczył zbędne nadwyżki czasopism niepoczytnych, zestawił potencjalne możliwości zwielokrotnienia nakładów czasopism poszukiwanych i spowodował zmiany wydawnicze odpowiadające wymaganiom rynku. Nie będzie niesłuszne wskazanie, iż to właśnie powinno być jedną z podstawowych funkcji przedsiębiorstwa kolportażu.

I chyba nikt mi nie powie, że „Ruch" taką analizę, chociażby w drobnym ułamku prowadzi. Wręcz odwrotnie, toleruje się praktyki, które prostą drogą prowadzą do zmniejszania zainteresowania sprawami analizy. W wypadku np. wysokich zwrotów wydawnictwa obniżają nakłady oraz ilości egzemplarzy przeznaczonych do sprzedaży komisowej. Często jednak przy następnym numerze o zmniejszonym nakładzie ilość zwrotów bynajmniej nie maleje. Wynika z tego, że przedsiębiorstwo kolportażowe traktuje mechanicznie swoje funkcje rozprowadzania czasopism i nie jest zainteresowane, by wydrukowany nakład był w pełni rozprowadzony. Można by powiedzieć, że po obniżeniu ilości egzemplarzy obcięto mechanicznie dostawy do tych placówek sprzedaży, które otrzymują największe nadziały, zaopatrując w dalszym ciągu placówki, w których sprzedaż nie idzie.

W wyniku kioski, które mogłyby sprzedać znacznie więcej egzemplarzy niż otrzymują — nie są dostatecznie zaopatrzone w poczytne czasopisma. Natomiast kioski peryferyjne są stałymi dostarczycielami zwrotów tych samych czasopism.

E. Zarzut poważny i niejednokrotnie znajdujący potwierdzenie w faktach. Fakty te zaś — mimo kontroli — zdarzają się sporadycznie z winy niesumiennych pracowników, jakich spotkać można wszędzie, nie tylko w „Ruchu". Ale analiza rynku istnieje. Formularze 202: „Zestawienie ilościowe nadziałów i zwrotów czasopism" oraz takie same dla dzienników prowadzą delegatury.

Rzecz jednak w tym, że nie wszyscy pracownicy korzystają z tej analizy. Źródła takiego stanu tkwią w szybkim wzroście masowego czytelnictwa. Spójrzmy na kilka pism. i porównajmy ich sprzedaż komisową w okresie przed limitowaniem nakładów i obecnie. „Świat" miał w 1952 r. w kioskach około 118 tys. egzemplarzy i około 25% zwrotów. Obecnie idzie go w kioskach blisko 240 tys., a zwroty wynoszą pięćdziesiąt kilka egzemplarzy (0,03%), „Życie Warszawy" — sprzedaż komisowa ze 167 tys. przy 22,2% zwrotów wzrosła do około 220 tys. przy 1% zwrotów. „Przegląd Kulturalny" zmniejszył ilość zwrotów z 56,2% do 4%. Również „Szpilki", które w owym czasie miały 25% zwrotów, mają ich obecnie tylko 4%, a więc w granicach uzasadnionych fluktuacją rynku.

M. Wszystko to nie zasługa „Ruchu", lecz wielkich przemian w poziomie i tematyce naszej prasy w ostatnim okresie.

E. Tak, bezsprzecznie. Chodzi tu jednakże o co innego. O to mianowicie, że przy takim popycie na prasę, pracownicy kolportażu mogą sądzić, że zwolnieni są od obowiązku korzystania z arkuszy analitycznych. Prasa i tak sama idzie — uspokajają się niektórzy z nich. Jest to oczywiście niesłuszne i niesumienne, ale zdarza się.

M. Wydaje mi się, że mniej byłoby takich wypadków, gdyby inna była organizacja kolportażu. Komórki kolportażu powinny być ostatnim ogniwem cyklu, który zaczyna się od powzięcia koncepcji słowa pisanego aż do chwili dostarczenia go do rąk czytelnika. Fakt, że „Ruch" pracuje jako potężne przedsiębiorstwo czy zespół przedsiębiorstw wynika tylko z przekonania, jakie panowało, że kolportaż najlepiej można prowadzić jedynie w sposób scentralizowany. Wtedy bowiem możliwe jest najekonomiczniejsze wykorzystanie środków i zapewnienie najsprawniejszej obsługi czytelników.

Sądzę jednak, że nadmierna centralizacja nie spełnia tych nadziei i raczej przynosi prasie niedźwiedzie usługi. Jestem za przekazaniem kolportażu przedsiębiorstwom wydawniczym.

W obecnej sytuacji wydawnictwo jest tylko jednym z ogniw pracy nad czasopismem. Nie może mieć wpływu na wiele elementów kosztów i w ostatecznym rachunku na rentowność. Dzisiaj stać nas już na osiągnięcie opłacalności również w pracy wydawniczej. A wysokie narzuty na kolportaż podważają tę opłacalność. Jestem przekonany, że własny kolportaż byłby i tańszy i sprawniejszy. „Ruch" zaś powinien zająć się organizacją sieci kiosków. Można by na próbę dopuścić do własnego kolportażu jednego dziennika, czy periodyku.

E. Wniosek śmiały i kryjący wielkie niebezpieczeństwo dezorganizacji. Sprawę tę należałoby uprzednio gruntownie zbadać, by nie uczynić nieopatrznego kroku. A przede wszystkim trzeba dążyć do usunięcia wszystkich zahamowań. Prasa musi sprawnie i terminowo docierać do odbiorcy bez względu na to kto ją kolportuje.

Tadeusz Jaworski

ZE ŚWIATA techniki

ABSORPCJA WIBRACJI

Wprowadzone przed kilku laty antywibracyjne amortyzatory maszyn, początkowo dla wibracji wysokiej częstotliwości, obecnie są produkowane dla szerokiego zakresu częstotliwości, dla niskich częstotliwości i dla obciążeń, spowodowanych uderzeniem. Urządzenie stanowią dwa odlewy połączone podłużnymi wkładkami gumy złączonej z metalem. Dostosowanie do indywidualnych potrzeb danej maszyny odbywa się przez odpowiedni dobór kształtu i twardości wkładki gumowej. Urządzenie to redukuje potrzebę żelbetowych fundamentów maszyn, co ma duże znaczenie tam, gdzie grunt nie wytrzymuje dużego obciążenia. (jc)

MORZA ŚRÓDLĄDOWE

Rozwinięta w ZSRR budowa mórz śródlądowych, których celem jest wykorzystanie energii wodnej, znajduje coraz szersze naśladowanie w różnych częściach świata. Na Złotym Wybrzeżu (Afryka) w basenie rzeki Volty tworzy się olbrzymie sztuczne jezioro o powierzchni około 6000 km². Nowa Zelandia buduje system hydroenergetyczny Waikato, mający dać moc 84 000 kW. Jedną z największych inwestycji tego typu w Azji będzie zespół elektrowni nad rzeką Sutlej w północnych Indiach, o mocy 460 000 kW.

NOWE METALE

W ciągu ostatnich paru lat wiele metali, które posiadały przedtem znaczenie tylko akademickie, znalazło zastosowanie w technice. Stało się to głównie dzięki rozwojowi przemysłu atomowego. Obecnie produkcja tych metali osiągnęła wcale poważny tonaż. Zapotrzebowanie „atomowego" metalu cyrkonu w St. Zjednoczonych sięga obecnie 1 000 ton rocznie. Produkcja tytanu wynosi w Ameryce 7 500 ton, w W. Brytanii 1 500 ton rocznie. Tytan jest o 60% cięższy od aluminium, lecz waży zaledwie 56% tego, co żelazo. Tytan również stosowany jest w przemyśle atomowym, a ze względu na swą lekkość jest koniecznym tworzywem do budowy nowoczesnych samolotów. Z reguły wzrostowi produkcji nowych surowców towarzyszy spadek cen (ostatnio cena tytanu w Anglii spadła o 13%) a co za tym idzie możliwości nowych szerszych zastosowań.

Z rzadkich metali wchodzących do użytku przemysłowego należy jeszcze wymienić ren, który odznacza się znaczną wytrzymałością mechaniczną w wysokich temperaturach (2 000°), rod, który daje pokrycie elektrolityczne wyjątkowo trwałe i odporne na korozję. Pozostaje on wciąż rzadkim surowcem — produkcja światowa w 1952 roku wynosiła 800 kg. Wreszcie wspomnijmy neodym i samar, które okazały się doskonałymi katalizatorami w procesach otrzymywania benzyny o wysokiej liczbie oktanowej. Neodym i samar występują w przyrodzie niezwykle rzadko. Stały się one obecnie dostępne dzięki temu, że są ubocznymi produktami stosów atomowych. Wreszcie niob (zwany w Ameryce kolumbem) używany jest w stosach atomowych i silnikach odrzutowych. Niob występuje w przyrodzie, jako ruda kolumbitowa obok rud cynowych. Kopalnie Nigerii mają dostarczać około 3 000 ton rudy rocznie. (jc)

POWIETRZNY MOTOCYKL

W ZSRR skonstruowano mały helikopter, ważący 200 kg, zdolny w dowolnym terenie lądować i wodować. Zużycie paliwa wynosi 10—12 litrów na 100 km. Daje się on łatwo rozbierać i składać. Przewiduje się zastosowanie go do wskazywania drogi łamaczom lodu, do zdmuchiwania śniegu i soli z przewodów łączności i do poszukiwania łowisk dla statków rybackich.

TUNEL POD KANAŁEM VELSEN

Port Amsterdam łączy się z morzem kanałem, który przecina prowincję Noord-Holand, a ponieważ musi być dostępny dla wielkich pełnomorskich statków, brzegów kanału nie można połączyć stałymi mostami. Wzrost motoryzacji w Holandii (1 pojazd na 15 mieszkańców) i sezonowy napływ samochodów zagranicznych do licznych miejscowości nadmorskich Noord-Hollandu zmusił do poszukiwań radykalnego rozwiązania przejazdów przez kanał. Zdecydowano się na budowę tunelu pod kanałem. Projekty, kiełkujące od 1938 roku, obecnie są w stadium realizacji. Będzie to jeden z najnowocześniejszych tuneli świata. Korpus betonowy tunelu drogowego będzie mieć szerokość około 33 m i wysokość 7,8 m, długość właściwego tunelu wyniesie 768 m, obok położony będzie kolejowy tunel długości 2 032 m. Tunel drogowy będzie miał 5 przelotów. Środkowy, szer. 2,75 m, zajmować będą kanały wentylacyjne i dla kabli, potem symetrycznie biegną 2 jezdnie szerokości 9,50 m, wreszcie na zewnątrz będą leżeć 2 kanały odpowietrzające. Wentylacja tunelu, którą zapewnić mają dwa budynki z wentylacją nawiewną i wyciągową, ma na celu nie dopuścić aby stężenie trującego tlenku węgla z gazów spalinowych przekroczyło 2‰. Oświetlenie tunelu przewidziane jest z góry, przy czym zastosowano oryginalne rozwiązanie dla akomodacji wzroku kierowcy przy wjeździe do tunelu. Zamiast zwykłej kafelkowej, lśniącej wykładziny tunel ma być pomalowany na jasnozielony, uspokajający kolor. Dla bezpieczeństwa ruchu będzie wyznaczona nie tylko maksymalna, lecz i minimalna szybkość. Teoretyczna przelotowość tunelu wynosi 8 000 pojazdów na godzinę, co odpowiadać ma praktycznej przelotowości 6 000 pojazdów na godzinę. (jc)

NAJGŁĘBSZY OTWÓR WIERTNICZY W ZSRR

Otwór głębokości 4 200 m wywiercono pod dnem morza Kaspijskiego w pobliżu wyspy Pieszczanoj (30 km na południowy wschód od Baku). Świdrów turbinowych dostarczyła fabryka budowy maszyn w Baku. (jc)

PLASTYKI ŚWIATŁOCZUŁE

W Stanach Zjednoczonych opracowano na bazie chlorku poliwinylu plastyki światłoczułe (nazwa handlowa Calimar). Substancja ta nieczuła jest na promienie pozafiołkowe (nie potrzeba ciemni). Emulsję nakłada się na szybę metalową, z której film zdejmuje się po wywołaniu.

Przewidywane zastosowania: mapy, rysunki techniczne, produkcja dekoracyjnych tapet i pokryć dla mebli.

W dentystyce, w produkcji protez porzuca się metakrylany na korzyść tworzyw polistyrenowych. W budownictwie wprowadza się posadzki z tworzyw o grubości kilku centymetrów, które można bezpośrednio układać na świeżym cemencie (produkuje się te płyty posadzkowe z kopolimerów winylowych). (jc)

SETHUSAMUDRAM

Tak nazywa się projekt pogłębienia wód, dzielących Indie i Cejlon. Między Indiami a Cejlonem leży szereg wysepek, zwanych „mostem Adama". Statki oceaniczne muszą objeżdżać Cejlon nakładając 530 km drogi. Aby skrócić szlak wodny, należy przekopać kanał długości 5 km kosztem 100 milionów rupii oraz rozbudować któryś z południowo-wschodnich portów indyjskich, na przykład Tutikorin, który by przejął obsługę statków korzystających obecnie z portów cejlońskich (Colombo). (jc)

NOWE WYDAWNICTWA PWN

Nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego ukazały się ostatnio następujące prace ekonomiczne:

E. Bregel
PODATKI, POŻYCZKI I INFLACJA W SŁUŻBIE IMPERIALIZMU
1956, s. 332, zł 23

M. Czernyszewski
WYBÓR PISM EKONOMICZNYCH
1956, s. 663, zł 30,50

P. George
WIELKIE RYNKI ŚWIATA
1956, s. 146, zł 3,60

MATERIAŁY DO BADAŃ NAD GOSPODARKĄ POLSKI
Część I 1918—1939
1956, s. 216, zł 18,20

J. Sołdaczuk
MIĘDZYNARODOWE KARTELE CUKROWNICZE
1956, s. 215, zł 12

Mimochodem

TOBIE ZAJĄC I SARNA...

Spółdzielcze jednostki gospodarcze zaliczane są u nas do układu socjalistycznego. Ich treścią powinna być praca oparta o takie stosunki, w których nie ma miejsca na wyzysk pracy ludzkiej. Tymczasem niemal na porządku dziennym spotykamy przekształcanie spółdzielni w przedsiębiorstwa, które nic wspólnego nie mają z zasadami spółdzielczości. Prowadzą je istotnie członkowie, wybierają spośród siebie zarząd i... gromadzą zyski po prostu przez zatrudnianie pracowników najemnych. A najsmutniejsze w całej sprawie jest to, że zatrudnionych pracowników traktuje się jako zwykłych dostarczycieli łatwo zdobywanych funduszów.

Weźmy jeden z licznych przykładów. W Wytwórni Tytoniu Przemysłowego w Czyżynach pod Krakowem pracuje 6 strażników. Nie są oni jednak pracownikami Wytwórni, lecz Spółdzielni Ochrony Mienia w Nowej Hucie. Spółdzielnia otrzymuje od Wytwórni 8 424 zł za owych strażników, oni sami jednak muszą się zadowolić wynagrodzeniem nie przekraczającym 674 zł. Innymi słowy — ponad połowa sumy przeznaczonej na opłacenie pracy ludzkiej tonie w kasie Spółdzielni. Czyżby tak wysokie były koszty administracyjne?

Do niedawna zarobek miesięczny strażnika sięgał 750 zł, Spółdzielnia jednak wpadła na pomysł dalszego podniesienia swych zysków. Zniosła mianowicie dodatkowe wynagrodzenie za niedziele i święta, obniżając w ten sposób zarobki strażników. W dodatku uczyniła to bez wypowiedzenia dotychczasowych warunków.

Cieszy nas każdy przypadek dobrze pracującej i rozwijającej się gospodarczo spółdzielni. Pod warunkiem jednak, że zwiększony majątek spółdzielni nie powstaje kosztem źle opłaconej pracy ludzkiej.

(tj)

W SPRAWIE FORMALNEJ

Nie wymaga chyba dowodu stwierdzenie, że w realizacji dróg naprawy naszej gospodarki, omówionych szeroko na VII Plenum KC PZPR, poważną rolę odegrają dyskusje ekonomiczne, jakie toczyć się będą na łamach naszej prasy gospodarczej. Tylko w toku gruntownej dyskusji będzie można skonkretyzować szereg, często śmiałych wniosków, których realizacja zapewni stworzenie warunków wykonania zadań planu 5-letniego.

Prawdą jest, że nasza prasa oprócz wielkiego pozytywnego wkładu w dzieło „naprawy Rzeczpospolitej" popełniała niekiedy i błędy, na co słusznie wskazywali kierownicy naszego państwa. Lecz również prawdą jest, że szereg twórczych wniosków zawartych w artykułach poddających krytycznej analizie poszczególne odcinki naszego życia gospodarczego — nie mogło ujrzeć światła dziennego.

Istota sprawa polega na tym, że wysuwane w dyskusji pozytywne wnioski, siłą rzeczy musiały postulować zmianę istniejących dotychczas instytucji gospodarczych, zarządzeń itd. A to budziło obawy kompetentnych czynników. W rezultacie nie dopuszczono do publikacji tych wniosków.

Podam tu jeden, jakże znamienny przykład, który bynajmniej nie jest odosobniony. Na łamach „Życia Gospodarczego" (Nr 12) ukazał się artykuł W. Kosiorka pt. „Jak długo będzie trwał ten przednówek". Autor postulował, co wynikało z nieodpartą siłą z treści artykułu, zniesienie w niedalekiej przyszłości obowiązkowych dostaw mleka. Jednak Główny Urząd Kontroli Prasy (cenzura) stanowczo sprzeciwił się opublikowaniu tego wniosku. Pracownicy Głównego Urzędu Kontroli Prasy argumentowali to tym, że tego rodzaju interpretacje mogłyby spowodować pewne trudności w dostawach mleka do miast.

Upłynęło zaledwie cztery tygodnie, a postulat, który został z całą stanowczością odrzucony przez Główny Urząd Kontroli Prasy znalazł się na forum obrad VII Plenum KC PZPR, wkrótce zaś uzyskał moc prawną. (Jak wiadomo, dekretem Rady Państwa dostawy obowiązkowe mleka zostają zniesione z dniem 1 stycznia 1957 r.).

Uchwały VII Plenum KC PZPR stwierdzają: „Rozwijanie swobodnej, śmiałej i rzeczowej krytyki, krytyki z pozycji socjalizmu na zebraniach i na łamach prasy jest niezbędnym warunkiem demokratyzacji życia kraju, najskuteczniejszym środkiem walki z brakami, błędami i biurokratycznymi wypaczeniami".

W świetle opisanego tutaj przypadku oraz fragmentu uchwały KC PZPR nasuwa się następujący wniosek: należy rozporządzeniem czy instrukcją określonych władz państwowych zabezpieczyć swobodę dyskusji nad sprawami gospodarczymi naszego kraju. Nie ma żadnych podstaw, ażeby nie publikować nawet najbardziej śmiałych, lecz rzeczowych i udokumentowanych wypowiedzi oraz propozycji, które z pozycji socjalizmu usiłują wskazać na drogi usprawnienia naszej gospodarki.

(M. M.)

MAŁE UZUPEŁNIENIE

W ciekawym artykule pt. „Katastrofa proroków" (Nowa Kultura Nr 39) K.T. Toeplitz powraca do oceny zwrotu w 1948—1949 r. W części zatytułowanej „Dylemat: co dalej z rewolucją?" pisze:

Zwrot nastąpił w momencie, gdy zasadnicze zadania owego okresu zostały w zasadzie wykonane, gdy zakończył się Plan Trzyletni, gdy należało dokonać dalszych kroków od podstawowych reform o charakterze anty-feudalnym i anty-wielkokapitalistycznym, do rakalniejszej przebudowy modelu gospodarczego i społecznego w duchu socjalistycznym. Wtedy ówczesna polityka ujawniać poczęła swoje mankamenty. Zasadniczy spór, znany jako spór z „gomułkowszczyzną" dotyczył dalszej drogi, sposobu dokonania tego właśnie zwrotu. Stanowiska w tym sporze można — jak mi się zdaje — określić następująco: albo poprzestać na już dokonanych przeobrażeniach i zdać się na długotrwały proces ewolucyjny, albo też przystąpić do energicznej socjalizacji, co oznaczało w praktyce kolektywizację na wsi, likwidację prywatnej inicjatywy i gwałtowną industrializację.

Stanowisko pierwsze, ewolucyjne, zawierało w sobie szereg momentów racjonalnych, liczyło się z realnym układem sił na wsi, wychodziło ze zrozumienia, że handel i wytwórczość społeczna nie może od razu przechwycić wszystkich zadań, spełnianych dotychczas przez prywatną sieć usług, ponadto zdawało się rozumieć, jak wielkich nakładów wymaga gwałtowna industrializacja, nakładów, na które nie zawsze było nas stać. Była to postawa racjonalna, lecz i nazbyt ostrożna. Nie można niedostrzec oczywistych słabości tej postawy, polegających na tym, że po pierwsze ów przewlekły proces ewolucyjny dawał również szanse elementom anty-socjalistycznym, że tworzyła się przez to możliwość regeneracji dawnego społeczeństwa tak w sensie gospodarczym jak i politycznym, po drugie zaś, że brak jasnego wytyczenia dalszej perspektywy mógł prowadzić do rozładowania istniejącej w kraju dynamiki rozwojowej.

Tę słabość przede wszystkim podchwycili antagoniści owego stanowiska. W interesie szybkiej zmiany struktury klasowej kraju, w interesie natychmiastowego rozbicia klas posiadających i pozbawienia ich możliwości odnowy, zdecydowano się na forsowny tryb posunięć ekonomicznych i społecznych, nie zawsze jednak adekwentny do realnych możliwości gospodarczych.

Wydaje się, że uwagi te wymagają uzupełnienia.

1. Ówczesnego dylematu nie można sprowadzać tylko do spraw polskich, wewnętrznych. Zasadniczy spór wyrastał również na tle różnej oceny wypadków jugosłowiańskich, roli Biura Informacyjnego skażonych beriowszczyzną i stalinizmem stosunków między państwami obozu. Bez tych spraw nie można zrozumieć tzw. gomułkowszczyzny.

2. Szereg zasadniczych tez przypisywanych skrytykowanej wówczas postawie, dotyczących np. „zamrożenia", równowagi itd. również domaga się trzeźwej analizy. Ówczesna zmistyfikowana epoka przesycona była mitami o czym nie należy ani na chwilę zapominać.

„Katastrofa proroków" — taki jest wymowny tytuł artykułu Toeplitza. Oczywiście nie chodzi tu zapewne tylko o protokół soc-realizmu.

3. Toeplitz abstrahuje od ówczesnej atmosfery. Niestety sposób przeprowadzenia polemiki w tym zasadniczym sporze był tylko uwertura do późniejszych wydarzeń.

Był XX Zjazd. Mówił o różnych drogach do socjalizmu. Zachęcił historyków do samodzielnego badania przeszłości. Zobowiązać ich do odrzucenia wszelkich mitów związanych z „kultem jednostki". Dziwne więc, że niektórzy (w małym stopniu dotyczy to Toeplitza) czekają ciągle, aż historia nasza zostanie na nowo napisana w formie uchwały lub referatu.

(T. K.)

NOSIŁ WILK RAZY KILKA...

Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka... Tak można by scharakteryzować dyskusję dziennikarzy o Głównym Urzędzie Kontroli Prasy na rozszerzonym plenum Zarządu Stowarzyszenia Dziennikarzy. W stosunkach wzajemnych między prasą i urzędem panowała ostatnio pewna jednostronność: ostatnie słowo przypadało z reguły urzędowi, nic też dziwnego, że postawienie dyskusji na zasadzie równej swobody wypowiedzi dało dziennikarzom szansę, z której skorzystali ochoczo. Spoza błyskotliwych pchnięć polemicznych i ripost wyłoniła się jednak sprawa znacznie poważniejsza, niż przeciwstawność poglądów w dyskusji. To bowiem, że kierownictwo urzędu ingerowało poza domenę kontroli informacji, jeśli tyczyły one tajemnicy państwowej w dziedzinie obronnej lub gospodarczej, że wkraczano w publicystyczną wymianę poglądów i cenzorskimi nożycami kurtyzowano polemiki prasowe, znalazło zgodną ocenę plenum Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, jako z jednej strony przekroczenie przez urząd posiadanych uprawnień, a z drugiej strony jako zwichnięcie norm życia publicznego.

Jak wiadomo, w samym Urzędzie Kontroli Prasy istnieją powszechne tendencje oddolne w kierunku umożliwienia publicystyce swobodnych starć. Okazuje się więc, że i kolektyw cenzorski i kierownictwo urzędu chciałyby traktować jego działalność nie jako bierną w zasadzie kontrolę informacji, lecz jako czynne włączenie się w wartki nurt dyskusji ideologicznej. Przedziwną osobliwością okazuje się, że w ostatecznym efekcie cenzorzy pragnęliby przestać spełniać swe funkcje cenzorskie, kierownictwo zaś urzędu doprowadziło do prewencji, w wielu wypadkach doskonałej.

W ten sposób wśród najlepszych przyjaciół psy zająca zjadły.

Morał zaś jest krótki i jednoznaczny. Nie należy osłaniać dziecięcia przed niebezpieczeństwami samodzielności, nakładając mu zbyt silne powijaki, bo nie tylko ochroni się je przed niebezpieczeństwami, ale można je oduczyć chodzić. Prasa nie chce być krępowanym niemowlęciem. I to jest dobrze.

Natomiast wydaje się, że było by też dobrze, aby niektórzy spośród tych, którzy sądzą, że prasa powinna być jedynie kierowanym spoza zasłony anonimowości narzędziem, uznali ją za arenę dyskusji. I żeby w dyskusji wzięli udział. W imię jawności życia publicznego. Nie trzeba będzie wówczas rozpraszać się na uboczne utarczki na temat kontroli prasy, nie trzeba będzie sięgać do przysłów, skarbnicy mądrości ludowej, natomiast prasa lepiej spełni swą rolę ideologiczno-polityczną.

(jw)

CZY TYLKO FACHOWCY POSZUKIWANI?

Filuterna halka z koronkami i kolanka w jedwabiu na masowo rozlepianych afiszach totalizatora sportowego wymownie świadcza, że redakcje czasopism i gazet niesłusznie chyba narzekają na brak papieru i że interesujący przedmiot zawsze znajdzie środki popularyzacji. Komunikaty o wygranych i prognostyki w sprawie „typów" dysponują poza tym własnym tygodnikiem, a w prasie codziennej zadomowiły się już w działach informacyjnych, porzucając niewdzięczne, szare rubryki drobnych ogłoszeń.

Jeśli chodzi o te ostatnie, to ja np. mam do nich od dawna ciepły stosunek, wyrażający się dużym zainteresowaniem. W ciężkich latach wojny, gdy przez druty obozowe przesiąkały egzemplarze prasy niemieckiej lub generalno-gubernialnych szmatławców, nie artykuły i kolumny depesz, lecz szpalty drobnych ogłoszeń świadczyły o codziennym życiu w Rzeszy, czy u nas w kraju.

Zaglądam do działów ogłoszeniowych prasy i dzisiaj. Niezmiennie zdumiewam się, że najbardziej rozpalające opinię światową telegramy o sensacyjnych wydarzeniach politycznych nie mogą z pierwszej kolumny „Times'a" wyprzeć drobnych ogłoszeń o okazjach licytacyjnych, pensjonatach, restauracjach i płatnego wersetu z Biblii. „Petites annonces" w „Humanité" przenoszą bezpośrednio nad Sekwanę, w sam środek codziennych, ludzkich, kłopotów życia Paryża. Codzienne życie stolicy też można znaleźć odbite w drobnych ogłoszeniach „Życia Warszawy".

Znajdziemy tam cierpliwe i jakże bezowocne poszukiwania skromnego pokoju mieszkalnego obok oferty sprzedaży komfortowych willi; ogłoszenia o środkach antykoncepcyjnych, sąsiadujące z reklamą solidnych i tanich nagrobków nasuwają refleksje o początku i końcu ziemskiej wędrówki; duże ogłoszenie dyrekcji przedsiębiorstwa wodociągów i kanalizacji, wzywające administratorów nieruchomości i komitety blokowe, aby doprowadziły przed zimą do stanu używalności urządzenia grzewcze w ustępach ogólnych — znamionuje chwalebną troskę onej że dyrekcji o konserwację urządzeń stałych i świadczy, że nic, co ludzkie, nie jest jej obojętne. Szeroka szpalta ogłoszeń o poszukiwaniu fachowców sąsiaduje z wąską szpaltą, gdzie rzadziej trafia się monter albo stolarz, natomiast tłoczą się reflektantki na posyłkę do wszystkiego i do dzieci, na stałe i na przychodne. Nie inaczej wyglądają rubryki ogłoszeń o poszukiwaniu ludzi do pracy w „Trybunie Opolskiej", „Gazecie Poznańskiej", „Nowinach Rzeszowskich", „Słowie Ludu" itd.

Cieszą oko te powszechnie ofiarowywane możliwości pracy, jak Polska długa i szeroka. Tylko... tylko, że ten obraz jest, wydaje mi się, trochę jednostronny, a rzeczywistość nie bardzo chce się w nim mieścić bez reszty. Wiadomo bowiem, że w placówkach pośrednictwa pracy wiele osób może jej otrzymać zgodnie ze swym przygotowaniem zawodowym, czy z miejscem zamieszkania. Że ogniska, gdzie problem zatrudnienia zaostrzył się, są bynajmniej nierzadkie.

I dlatego przyszło mi na myśl, że może byłoby ciekawe i słuszne, żeby działy inseratowe naszej prasy wprowadziły także rubrykę „poszukujemy pracy". Nie wątpię, że pomogłaby ona wielu osobom w ich trudnościach życiowych, a obraz rzeczywistości nie byłby skrzywiony. Zbyteczne jest chyba dodawać, że miałoby to znaczenie o wiele szersze, niż jedynie satysfakcja czytelnika, lubiącego wędrówkę przez szpalty i kolumny gazet.

(ryb).

DO CZYTELNIKÓW!

Przepraszamy za poważne opóźnienie w wydaniu bieżącego numeru, co nastąpiło z przyczyn technicznych od redakcji niezależnych.

REDAKCJA

REFLEKSJE Z WIZYTY W POLSCE

DOKOŃCZENIE ZE STR. 7

kowskiego targu". Często w poszczególnych wypadkach słuszne będzie nie posługiwać się kryterium; jednakże posiadanie go będzie lepsze, niż jego brak.

Jednakże Brus wymaga od swych propozycji więcej, aniżeli dostarczenia kryterium. Jest drugi jego cel i to jak mi się wydaje, mniej prawdopodobny do urzeczywistnienia. Chodzi o uelastycznienie gospodarki, o uczulenie jej na zjawiska braków i nadwyżek, dysproporcji w asortymencie produkcji. Pisze on, że w ciągu ubiegłych sześciu lat „socjalistyczna produkcja i handel nie dostosowały się odpowiednio do struktury potrzeb ludności i zdradzały daleko idący brak elastyczności". Ma się wrażenie, że proces przystosowania się asortymentu produkcji do zapotrzebowania podobny jest do ruszającego pociągu towarowego. Lokomotywa rusza; ale trzeba wielu szarpnięć, przekazywanych od wagonu do wagonu, żeby pociągnęła za sobą ostatni z nich.

Jakiegoś dobra brakuje. Najpierw planiści muszą dowiedzieć się o niedostatku, aczkolwiek nie sygnalizuje o nim automatyczna zwyżka cen. Następnie muszą oni ocenić rozmiary niedostatku i zakomunikować o nich odpowiednim przedsiębiorstwom — dyrektywą działania w następnym okresie planowym. Wreszcie przedsiębiorstwa muszą odpowiedzieć. Są tu zatem trzy stadia w procesie przystosowania się do zjawiska niedostatku; a każde z nich może być przewlekłe albo działać niezadowalająco. Może być zwłoka w rozpoznaniu istnienia niedostatku, jego rozmiary mogą być źle ocenione; przedsiębiorstwo zaś może nie wykonać przekazanego mu, zmienionego planu. Błędy natomiast, które mają być uleczone przez propozycje Brusa, powstają jedynie w drugim i trzecim stadium. Pragnie on, aby niedostatek syngalizowany był przedsiębiorstwom przez cenę detaliczną, która wyrównuje popyt z podażą, i która pociąga za sobą odpowiedni wzrost ceny fabrycznej, otrzymywanej przez przedsiębiorstwo. Reszta należy do przedsiębiorstwa. Przedsiębiorstwo zaś nie tylko ma najlepsze warunki do oceny rozmiaru niedostatku, który ma zaspokoić; będzie ono także zainteresowane finansowo w jego zaspokojeniu i to może być rękojmią przyspieszenia procesu przystosowania. Ale to przekazywanie odpowiedzialności od centralnych organów planowania do przedsiębiorstwa pozostawia im jeszcze do odegrania ważną rolę. Jeśli bowiem niedostatek rozszerza się, centralne organy planowania muszą opracować sygnały. To one muszą podnieść cenę, która dodaje bodźca przedsiębiorstwu. To nie nacisk nadmiernego popytu na wolnym rynku wysuwa to zadanie, gdyż ceny ustalane są administracyjnie. Rozmiary, w jakich rzeczywiście system staje się w stosunku do niedostatku elastyczniejszy zależy od tego, jak dalece czynniki odpowiedzialne za ustalanie cen mogą zwiększyć szybkość, z jaką je wyznaczają i zręczność, z jaką mogą je zmieniać, jeśli zachodzi potrzeba zrównania podaży z popytem. Być może da się to osiągnąć przez rozwój techniki analizy rynku, o której słyszeliśmy nieco podczas naszej wizyty. Ale jeśli proces zmiany sygnałów nie będzie przyspieszony, zarówno jak proces reagowania na nie, poprawa, jakiej można się spodziewać po propozycjach Brusa, będzie ograniczona.

Ta uwaga nasuwa pytanie: dlaczego trzeba, aby ceny były ustalane przez planistę? Dlaczego niedostatek nie miałby powodować przez mechanizm wolnego rynku automatycznej zwyżki ceny? Dowiedzieliśmy się z dobrego źródła, że z całą pewnością nie należałoby do tego dopuścić, a Brus podaje przyczyny, dlaczego. Mogłoby to, powiada on, umożliwić przedsiębiorstwu wykorzystanie monopolistycznej pozycji przez wywindowanie cen, albo innymi słowy wywołanie niedostatku towarów. Trudno uwierzyć, aby z wyjątkiem względnie małej dziedziny produkcji było to rzeczywiście niebezpieczeństwem. Dziedzina ta zaś będzie stale malała ze wzrostem liczby przedsiębiorstw, produkujących coraz większą rozmaitość wytworów, skoro możliwość monopolistycznego wyzysku ograniczona jest istnieniem substytutów. Co więcej, jeśli powstanie niebezpieczeństwo, można je zwalczać różnymi środkami. Przede wszystkim przedsiębiorstwo dążące do podniesienia cen swych produktów przez wytwarzanie ich sztucznego braku napotyka na odpór państwowej organizacji handlowej, zajmującej się zbytem tych produktów. Po drugie państwo może utrzymywać zapasy towarów będących przedmiotem monopolistycznej eksploatacji i może je upłynniać, aby ją zwalczać. Wreszcie niebezpieczeństwo może być ograniczone do minimum przez bardziej wolny i giętki system handlu między krajami demokracji ludowej, a handel zagraniczny, jak nam się wydaje, jest sferą, gdzie trudno się obejść bez prawa wartości. Trudno zrozumieć, dlaczego reforma ma się wahać przed tym, żeby niedostatek towarów sam nie sygnalizował o swym pojawieniu się przez wolny ruch cen i utrzymywać się w wierze, iż zrobią to bez niedopuszczalnej zwłoki inne środki.

Oczywiście należy przyznać, że jeśli nawet obecny system wyznaczania cen pozostanie bez zmiany, można wiele zyskać jeśli oddziaływanie na przedsiębiorstwa bodźcami zamiast dyrektyw skłoni je do szybszej niż dotychczas zmiany produkcji w pożądanym kierunku. Lecz jeśli ma do tego dojść, to ważne jest, żeby nie stanąć w połowie drogi. Pozwolę sobie dać tu przykład brytyjskich doświadczeń z kontroli cen podczas wojny i bezpośrednio po niej. W Anglii dążyliśmy do wprowadzenia kontroli cen, lub, w każdym razie do kierowania nim bardzo surowo, jeśli chodzi o towary, które uważaliśmy za najbardziej „istotne", to jest mięso, odzież i ważne surowce. W konsekwencji — w ogólnych warunkach inflacyjnych ceny towarów „istotnych" pozostawały w tyle za cenami „nieistotnych", z takim rezultatem, że większy był bodziec dla produkowania tych ostatnich, niż pierwszych i brak towarów „istotnych", który był powodem wprowadzenia kontroli, zaostrzał się. Nie występowało to w tym stopniu w czasie wojny, gdy możliwości wzrostu produkcji towarów „istotnych" były tak czy owak ograniczone i wzrost ten nie mógł być realizowany nawet przy ewentualnym istnieniu bodźców. Ale w bardziej normalnych warunkach jeśli przyjmiemy zasadę, że ceny towarów powinny być cenami równowagi, ważne jest, aby uniknąć pokusy niestosowania tej zasady w całej gospodarce. Taka pokusa istnieje zawsze. Zawsze będą istnieć pewne dobra, których ceny uznane są za nietykalne i o których sądzi się, że powinny być wyjątkiem, jeśli chodzi o zwyżkę cen, wywołaną niedostatkiem towarów na rynku. Zrobienie wyjątku wobec nich przy pominięciu innych spowoduje jednak, że będą pomijane w asortymencie produkcji na korzyść właśnie tych innych, chociaż ich nietykalność pochodzi prawdopodobnie z ich znaczenia w gospodarce. Rozważania te z całą siłą dotyczą zagadnienia, które podnosi Brus w związku z tym, czy broniony przez niego system cen powinien się rozciągać na środki produkcji, podobnie jak na inne towary? Wydaje się, że powinien.

Jest jeszcze dalsza droga, na jakiej powszechność w zastosowaniu reformy Brusa ma istotne znaczenie dla jej powodzenia. Jak widzieliśmy, poza zapewnieniem bardziej zadowalającego kryterium dla przydziału środków, przedmiotem jej jest, aby doprowadzić do zamierzonych zmian w asortymencie produkcji środkami raczej bodźców, niż dyrektyw dla przedsiębiorstw i dzięki temu osiągnąć większą i szybszą elastyczność w gospodarce w obliczu stale zmieniających się w stosunku do niej wymagań. Jednakże stworzenie dla przedsiębiorstwa bodźców do zwiększenia produkcji na przykład w obliczu braku towarów nie musi być jednoczesne z pozostawieniem mu swobody działania w tym kierunku. Jeżeli ma ono mieć tę swobodę, powinno na pewno mieć większą autonomię w określeniu swego własnego programu inwestycyjnego, niż dotychczas. Jeżeli istniałyby znaczne zdolności produkcyjne w nadmiarze, można byłoby zwiększyć produkcję bez inwestycji. Jeśli jednak zdolności są wykorzystane w pełni, zdolność przedsiębiorstwa, aby odpowiedzieć na dane mu bodźce zależy od dodatkowego kapitału, którym może ono rozporządzać. Jeżeli zaś zaopatrzenie w kapitał pozostanie tak ściśle kontrolowane przez ośrodki centralne, jak obecnie, zastąpienie dyrektyw bodźcami niewiele polepszy elastyczność systemu. Każdy kraj musi niewątpliwie wypracować własne metody prowadzenia gospodarki. (Nawet nasza, w przeważającej mierze kapitalistyczna gospodarka rozwija modus operandi, co do którego racjonalności nie jestem takim pesymistą, jak niektórzy członkowie naszej delegacji).

Niemniej gość z zagranicy mógłby zapewne sądzić, że gospodarka polska powinna w duchu propozycji Brusa odejść w poważnym stopniu od niezwykłego stopnia centralizacji i „dirižyzmu", który ją obecnie krępuje. Żądanie takiego rozluźnienia jest częścią płynącego obecnie silnym nurtem szerszego ruchu, aby ograniczać rozmiary autokratyzmu w życiu narodu. Zmiany w systemie planowania gospodarczego byłyby dla tego ruchu pomocą, pozostaje więc czekać, czy potrzeby jego będą w tej mierze zaspokojone. Jakkolwiek bądź, reforma Brusa daje możliwości osiągnięcia drugiego celu, który wymaga szerokiego poparcia, ale walczy obecnie z trudnościami. Celem tym jest kładzenie podstaw pod szybki rozwój gospodarki narodowej przez wysoką stopę akumulacji. Wskutek tego, że rozwój technologii trudno jest poważnie przyspieszyć w krótkim czasie, górna granica proporcji dochodu narodowego na cele akumulacji zależy od dolnej granicy, do której można obniżyć realne płace. Można jedynie podziwiać hart, z jakim naród polski przyjął skutki, płynące dla płac realnych z krańcowo wysokich rozmiarów akumulacji, osiągniętych w ubiegłych latach. Wątpię jednak, czy nie zgodziłoby się ze mną wielu, gdybym sądził, że na to poparcie nie można liczyć obecnie. Czy oznacza to, że udział akumulacji należy zmniejszyć? Jakakolwiek byłaby na to pytanie odpowiedź, jest obecnie możliwe, że może ona być zredukowana bez szkody dla widoków przyszłego rozwoju. Albowiem szlak torowany przez Brusa i jego kolegów mógłby doprowadzić do bardziej efektywnego użycia środków inwestycyjnych, pozwalając mniejszą ich ilością osiągnąć wyniki, uzyskiwane dotychczas ilością większą. W ten sposób można by uniknąć gorzkiego wyboru między obniżeniem płac realnych i redukcją akumulacji.

Z tych względów dyskusja, której świadkami byliśmy w czasie naszej wizyty, dotycząca systemu planowania gospodarczego, ma palące znaczenie dla przyszłości gospodarki polskiej. Z innego względu, co prawda, jest to strzelanie w próżnię. Spośród problemów ekonomicznych Polski, jakie poznaliśmy najostrzejsza jest niewątpliwie sprawa rolnictwa; chodzi nie tyle o problem globalnej produkcji rolniczej, ile o zapewnienie dostaw z gospodarstw rolnych dla wyżywienia rosnącej ludności przemysłowej. W sektorze rolnym większy nacisk na bodźce materialne, w duchu propozycji Brusa, może działać tylko na terenie ściśle ograniczonym dobrze ugruntowanymi szrankami politycznymi i ideologicznymi. Są to różnorodne szranki, które powstrzymują chłopa przed zwiększeniem względnej zamożności — zróżnicowane i wyższe stawki opodatkowania i dostaw obowiązkowych, przypadające na większe gospodarstwa, prawne ograniczenie obszaru i gospodarstwa (wysokiego obecnie w stosunku do przeciętnej przeważających) i piętno wyciśnięte na kułakach. Wszystko to, czym okupuje chłop korzyści, musi tłumić jego zapał do oferowanych bodźców materialnych. Co więcej, niezależnie od zachęty materialnej, przekonanie go, że w ruchu uspółdzielczania stosowana będzie zasada dobrowolności będzie — można to sobie wyobrazić — zagadnieniem politycznie bardzo delikatnym. Stąd w rolnictwie panuje problematyka raczej polityczna, niż ekonomiczna, a lepsza ekonomia może dać tylko niewielki wkład w jego rozwiązanie.

Czytelnik wybaczy, jak sądzę, to zabarwienie krytyczne, które musi się obecnie stać zwykłym dla uczestników dyskusji o planowaniu gospodarczym. Mam również nadzieję, że dałem pewien wyraz wrażeniu, jaki ona na mnie wywarła. Ze wszystkich doświadczeń naszej podróży — z których każde przyniosło trwałe wrażenia z polskich miast, polskiej historii, polskiego życia — to było najbardziej podniecające, nie tylko przez samą polemikę, lecz także dlatego, że była ona prowadzona przez ludzi, z których wielu piastuje stanowiska, wpływające na rozwój gospodarki narodowej. Rezultaty dyskusji będziemy z zapałem studiować w Anglii i dzięki członkom Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, z daleko większym zrozumieniem, niż moglibyśmy je uzyskać na innej drodze. Wszystkim, którzy się do tego przyczynili, zarówno ja, jak i z pewnością moi koledzy, życzymy powodzenia.

J. B. SARGENT

Z POCZTY REDAKCYJNEJ

W nr 14 Ż. G. z dnia 16 lipca zamieściliśmy w rubryce „Kronika gospodarcza" notatkę pt. „Wolno, ale stale poprawiają się warunki BHP", opartą na materiale agencyjnym PAP. Zdanie krytykujące Centralny Zarząd Rybołówstwa Morskiego pochodzi w całości z materiału agencyjnego. W związku z opublikowaniem tej notatki otrzymaliśmy list CZRM w Szczecinie, w którym wyjaśnia on:

Prawdą jest, że w realizacji bardzo poważnego zakresu zagadnień BHP występujących w rybołówstwie nie zostały wykonane jeszcze dotychczas wszystkie zadania i że istnieje szereg niedociągnięć. Rzeczowa krytyka tych niedociągnięć na łamach prasy jest niewątpliwą pomocą dla CZRM w usilnych staraniach o zabezpieczenie właściwych warunków BHP na każdym odcinku.

Musimy jednak podkreślić, że sugerowanie Centralnemu Zarządowi Rybołówstwa Morskiego wykrętnych twierdzeń o poprawie warunków w BHP, które w praktyce nie mają miejsca, jest niezgodne z prawdą i nie jest tym samym pomocą w realizacji zadań BHP a wręcz przeciwnie — jest przeszkodą. Dowodem zmiany na lepsze warunków BHP na jednostkach pływających są następujące przykłady:

1. W ciągu roku 1955 i do połowy 1956 dokonano przebudowy wszystkich lugrotrawierów z przedsiębiorstwa „Odra" (29 sztuk). Statki te poprzez odpowiednią zabudowę rufy otrzymały znacznie lepsze warunki BHP.

2. Na wszystkich lugrotrawlerach zainstalowano dodatkowe radiatory celem polepszenia ogrzewania pomieszczeń dla załogi.

3. Wykonano we własnym zakresie prototyp rolki burtowej na lugrotrawlerze typu „Sójka" co znacznie zmniejszy ciężką pracę rybaków przy wydobywaniu sieci. Pozytywne próby prototypowe pozwoliły na uniknięcie importu rolek z zagranicy i wykonanie ich w kraju dla wszystkich lugrotrawlerów. W bieżącym remoncie sezonowym rolki będą montowane na pozostałych lugrotrawlerach.

4. Na wszystkich statkach dalekomorskich zostało uzupełnione wyposażenie hotelowe.

5. Osiem starych trawlerów (Jupiter, M. Wóz, Pluton, Saturnia, Jowisz, Kassjopea, Saturn, W. Wóz) zgodnie z harmonogramem rekonstrukcji otrzymały w ubiegłym roku dodatkowe pomieszczenie drogą poważnych przeróbek na każdym z wymienionych statków. Przeróbki dalszych trawlerów są dokonywane zgodnie z harmonogramem obowiązującym w/g Uchwały 238 Prezydium Rządu.

6. Kutry rybackie 24-metrowe zostały zrekonstruowane według nowej dokumentacji tak zwanej B-25 zabezpieczającej lepsze warunki BHP. Już od ubiegłego roku nowe jednostki są budowane według dokumentacji B-25, a w bieżącym roku i w latach następnych według tej samej dokumentacji będą zrekonstruowane kutry starszego typu B-12.

7. Dla lugrotrawlerów zostały zamówione z importu agregaty chłodnicze i prądotwórcze, które mają związek z polepszeniem konserwacji żywnościowych w komorach statku; agregaty te są gotowe do transportu, który został jednak wstrzymany z powodu braku środków płatniczych i dewizowych.

8. Celem polepszenia wyposażenia statków w środki ratunkowe zakupiono w ubiegłym roku z importu 50 sztuk nowoczesnych samoczynnych tratew pneumatycznych, które obecnie są już wydane na statki. W roku bieżącym realizowana jest dostawa dalszych 60 tratew, a w roku 1957 dalsza partia 50 tratew. Ponadto wprowadzono na statki kurtki kapokowe niezatapialne. W pierwszym półroczu bieżącego roku wprowadzono takich kurtek 644 sztuki, a na rok 1957 zamówiono 2000 sztuk.

9. Przeprowadzono specjalne kursy szkoleniowe rybaków w zakresie żeglarstwa na jachcie „Młoda Gwardia". Wzmocniono komórki BHP w przedsiębiorstwach i CZRM, gdzie obecnie jest 3 osobowy inspektorat BHP. Usprawniono planowanie w zakresie BHP i rozwinięto szeroko akcję popularyzującą i uświadamiającą, czego dowodem jest zorganizowanie specjalnych dni BHP w przedsiębiorstwie „Odra". Wydatki na cele BHP, które w roku 1954 wynosiły okrągło 11 mil.. zł w roku 1955 22 mil. zł, a w roku 1956 przekroczą 40 mil. zł — świadczą również o wzmożonej realizacji zadań w rybołówstwie morskim.

DO REDAKCJI „ŻYCIA GOSPODARCZEGO"

Chciałbym zaproponować podjęcie systematycznego publikowania przekładów z czasopism zagranicznych, poświęconych zagadnieniom ekonomiki rolnej. Tego rodzaju wydawnictwa mają u nas już pewne tradycje. Wiemy, jaką popularnością cieszą się zeszyty „Przekładów", wydawane przez redakcje „Nowych Dróg", „Ekonomisty" i innych naszych czasopism. Wydawnictwa te jednak nie mogą objąć wielu węzłowych zagadnień ekonomiki rolnej.

Prenumerata zagranicznych czasopism nie wypełnia istniejących luk. Zainteresowani ekonomiści mają dostęp do tych czasopism o ile... mieszkają w Warszawie. Nie bez znaczenia jest tu również sprawa języka. Otrzymujemy czasopisma w językach: rosyjskim, angielskim, niemieckim, francuskim, czeskim, bułgarskim, węgierskim, włoskim, szwedzkim i innych. Trudno opanować tak znaczną ilość obcych języków, dlatego też większość importowanej literatury jest minimalnie wykorzystywana i specjaliści nie mogą uważnie śledzić aktualnego dorobku innych państw.

W wielu zagranicznych czasopismach ogólnoekonomicznych i specjalnie zajmujących się ekonomiką rolnictwa ukazuje się bardzo dużo ciekawych i istotnych publikacji. Np. w czasopismach niemal wszystkich państw zachodniej Europy bardzo dużo uwagi poświęca się problemowi efektywności ekonomicznej mechanizacji rolnictwa, w szczególności gospodarstw niedużych itp.

Uważam, że systematyczne publikowanie przekładów o możliwie szerokim wachlarzu tytułów jest sprawą pilną i istotną. Zwracam się do wszystkich zainteresowanych o poparcie mojej propozycji.

I. Frenkiel

SPROSTOWANIE

Nazwisko autora artykułu „Z antybiodykami ostrożniej", zamieszczonego w Nr 18 „Ż. G." zostało mylnie podane. Prawidłowo powinno ono brzmieć: Stanisław Zaleski. Za omyłkę przepraszamy autora i czytelników.

REDAKCJA

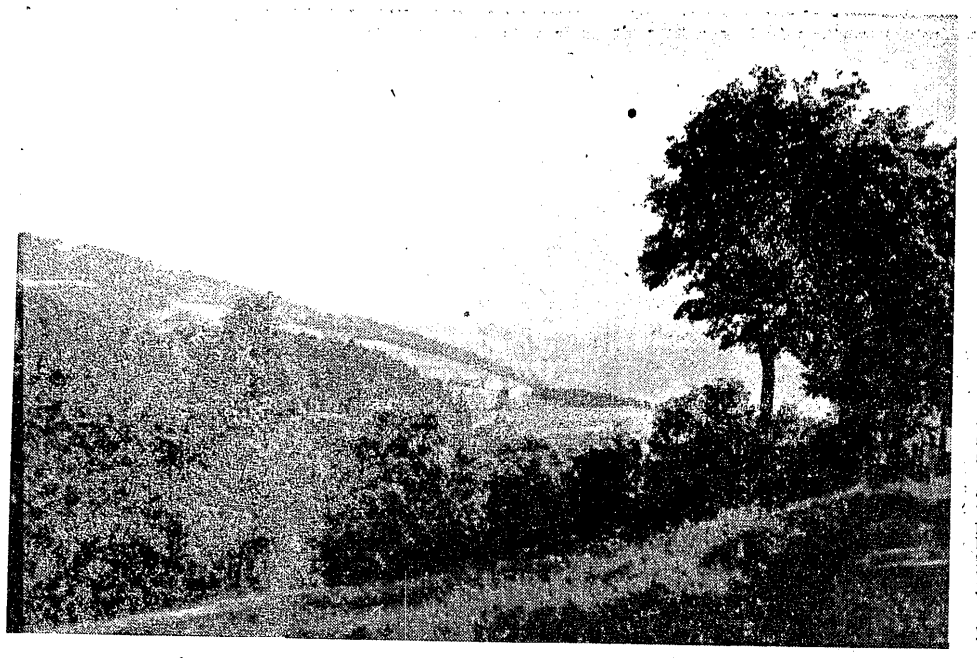

WACŁAW PERZYŃSKI

SERPENTYNIT CZEKA NA ODKRYWCĘ

Ki diabeł, zapyta niejeden. Serpentynit, o którym mowa nie ma nic wspólnego ani z wielobarwnymi, używanymi na zabawach i festynach serpentynami, ani z tak określonymi krętymi, wijącymi się wśród gór ścieżynkami. Nasz serpentynit to rzecz o wiele poważniejsza.

Przede wszystkim kilka słów niezbędnych objaśnień. Serpentynit jest rzadko już dziś spotykaną kopaliną. Skały serpentynitowe zawierają m. in. nefryt, azbest i talk; te dwa ostatnie są na ogół znane. Natomiast nefryt jest minerałem, z którego po obróbce otrzymuje się drogocenne, droższe nawet od złota kamienie, używane do wyrobów jubilerskich.

No dobrze, ale czy w dobie gruntownej odnowy naszego życia, w okresie pasjonującej dyskusji i ścierania się poglądów, nie mamy doprawdy większych zmartwień i bardziej atrakcyjnych tematów, aniżeli egzotyczne — przynajmniej tak wydawałoby się z nazwy — serpentynity i nefryty. Otóż nie — jest to jak najbardziej nasza rodzima sprawa.

Na obszarach ziemi dolnośląskiej w ponad 20 miejscowościach w okolicach Wrocławia znajdują się bogate złoża tego minerału. Potwierdziła to jeszcze w 1954 r. specjalna komisja złożona z wybitnych rzeczoznawców mineralogii, geologii, chemii i technologii materiałów budowlanych. Przeprowadzone wówczas badania wykazały, że posiadamy ogromne — niestety dotąd niewykorzystane — bogactwa naturalne, których eksploatacja zaoszczędziłaby nam dużo dewiz wydatkowanych na import talku i azbestu, z drugiej zaś strony przysporzyłaby ich z eksportu nefrytów, który umożliwiłby również produkcję wielu wartościowych materiałów i narzędzi technicznych (z uwagi na wytrzymałość wyższą od stali).

Zastanówmy się. Serpentynit możemy przerabiać na materiały ogniotrwałe dla potrzeb hutnictwa i metalurgii, jak np. forsteryty, kordieryty, które obecnie importujemy. Materiały te możemy wytwarzać w ilościach znacznie przekraczających nasze potrzeby. Możemy zaopatrzyć w nie w pełni bratnie kraje demokracji ludowej. Serpentynit stanowi surowiec do wyrobu płyt i pasków okładzinowych dla budownictwa oraz grysów do lastrico. O możliwościach produkcji nowych, nie wytwarzanych dotąd u nas materiałów może świadczyć fakt, że według szacunkowych obliczeń rzeczoznawców zasoby serpentynitu w kraju wynoszą 5—10 milionów ton i są praktycznie niewyczerpane.

Tyle dotyczy samego serpentynitu. Na tym jednak nie wyczerpuje się sprawa. Rodzime złoża tej kopaliny zawierają obok azbestu, talku i nefrytu m. in. grafit, agat, łupki selecytowe i kwarcyt. Łączną wartość tych kopalin obliczają rzeczoznawcy na poważne miliardy złotych.

Jeżeli chodzi o azbest, to do rzadkości należą w świecie duże jego złoża w postaci grubych i licznych żył. Złóż azbestu jest zresztą w ogóle niewiele. Na całym świecie wszystkiego ponad 40. Nic też dziwnego, że nawet najskromniejsze zasoby są eksploatowane, przynosząc poważne korzyści. Przykładem może tu być Czechosłowacja, która już przed wojną wydobywała ze swoich, uznanych przez fachowców złóż — za wyjątkowo skromne i niskiej jakości — około 2 700 ton rocznie.

Co się tyczy talku, to warto zaznaczyć, że światowa literatura techniczna podaje zaledwie ponad 20 nazw geograficznych obfitujących w ten surowiec. Nie ma go więc w świecie za dużo, a kraje dysponujące pokładami talkonośnymi w pełni je wykorzystują.

I wreszcie nefryt. Ten półszlachetny kamień ozdobny występuje zaledwie w kilku punktach na kuli ziemskiej, a w Europie tylko u nas. Jeden gram obrobionego nefrytu kosztuje obecnie na rynku światowym 0,5 dolara. Nasz „Jubiler" płaci dostawcom za 1 gram 89 zł. Według szacunku wspomnianej już komisji rzeczoznawców złoża nefrytu w Polsce wynoszą 100—500 tys. ton. Już tylko to daje pewne pojęcie o rozmiarach posiadanych przez nas bogactw.

Najbogatsze złoża nefrytu występują w okolicach Jordanowa. Zostały one odkryte jeszcze w 1885 r. Nie znamy wprawdzie dokładnej daty rozpoczęcia eksploatacji tego minerału, ale trwała ona od dawna. Żyły nefrytu w wyrobisku jordanowskim dochodzą do grubości 30 cm.

Skoro orientujemy się już z grubsza w tych bogactwach, w ich znaczeniu dla gospodarki narodowej, przystąpmy — jak to się zwykło mówić — do rzeczy. Faktem jest, że wysoce wartościowe kopaliny znajdują się w naszym posiadaniu od 1945 r. Faktem jest również, że w 1956 r. nie przystąpiliśmy jeszcze do ich eksploatacji. Mało tego. Do tej pory nie przeprowadziliśmy żadnych prób praktycznych.

Trudno twierdzić, byśmy o złożach serpentynitu, nefrytu, azbestu czy talku nie wiedzieli. Są one znane od lat, ponieważ od lat były eksploatowane. Poza tym, gdybyśmy nawet tego nie wiedzieli, uświadomiliby nas o tym kapitaliści z krajów zachodnio-europejskich, którzy w latach 1945—1950 kilkakrotnie składali nam oferty na kupno w tej czy innej formie całej produkcji nefrytu. Zgadzali się na kupno tego kamienia i w stanie nieobrobionym i obrobionym, proponowali zawarcie umowy dzierżawnej itd.

Kto wie, czy to właśnie inicjatywa kapitalistów zachodnich nie skłoniła w końcu naszych władz gospodarczych do bliższego zajęcia się tą sprawą. Wyraziło się to w powołaniu już wspomnianej komisji rzeczoznawców. Choć jednak wyniki wstępnych badań naszych naukowców były doprawdy rewelacyjne, choć wykazali oni, jak wielkie korzyści odniosłaby nasza gospodarka z rozpoczęcia eksploatacji złóż serpentynitu, nic, ale to absolutnie nic, w ciągu minionych dwóch lat w tej sprawie nie uczyniono. Złoża pozostają nietknięte, a korespondencja i papierki związane z tą sprawą rosną.

Borykamy się z poważnymi trudnościami. Każde 100 milionów złotych na podwyżkę rent i emerytur, każdy miliard na podwyżkę płac stanowi dla nas duży wysiłek. A równocześnie z błogim spokojem przyglądamy się poważnym miliardom złotych, które leżą obok nas i nie stać nas nawet na tyle trudu, aby je podnieść.

Ostatnio sprawa ta została po wielu perypetiach i wędrówkach biurokratycznych przekazana CZSP. W lutym br powołano tu komisję dla opracowania „obróbki kamieni ozdobnych i półszlachetnych z terenu Dolnego Śląska". W czerwcu br. władze CZSP zobowiązały WZSP we Wrocławiu do zorganizowania wydobycia i obróbki nefrytu. Odebrano Ministerstwu Przemysłu Drobnego i Rzemiosła tereny pokładowe i przekazano je wrocławskiej spółdzielczości pracy.

Wszystko to pięknie, ale cała sprawa nadal praktycznie nie ruszyła z miejsca. Bo do jej ruszenia trzeba uruchomić próbną eksploatację. A do tego znów trzeba odstrzelić po kilkaset ton skały serpentynitowej w różnych miejscowościach dla określenia procentowej zawartości w niej nefrytu, azbestu i talku. Trzeba następnie tę odstrzeloną skałę pokruszyć, poselekcjonować, przeprowadzić badania pod kierunkiem Zakładu Mineralogii i Petrografii przy Politechnice Warszawskiej i opracować konkretny program działania.

Zrozumiałe, że próby te będą kosztować. Jak nas informują — niecały milion złotych. Czyżby nie było nas stać na natychmiastowe uruchomienie setek tysięcy złotych tam, gdzie w grę wchodzą miliardowe korzyści? Nie znamy dokładnie — i wcale to nie jest naszym obowiązkiem — biurokratycznych dróg uruchamiania kredytów. Od tego są nasi spece finansowi w PKPG. Ich obowiązkiem jest tę sprawę załatwić.

Karygodną lekkomyślnością gospodarczą byłaby strata jeszcze jednego roku. Natychmiastowa decyzja naszych władz gospodarczych może sprawę uratować. CZSP, który wykazuje tu wiele energii, ale pozostawiony sam sobie, jest w dalszych poczynaniach odosobniony — trzeba mu pomóc.

Przeprowadzenie prób technicznych jeszcze w tym sezonie umożliwiłoby pełną eksploatację złóż serpentynitowych w 1957 r. Eksploatację, która może poprawić nasz bilans dewizowy i ułatwić zaopatrzenie, spowoduje uruchomienie nowych gałęzi produkcji, da zatrudnienie tysiącom ludzi.

Czy można w tej sytuacji się wahać, czy można nadal beztrosko grzebać sprawę w gąszczu paragrafów i przepisów? Byłoby to chyba szkodnictwem gospodarczym.

W sprawie warunków wypłaty premii

W aktualnych warunkach ekonomicznych pojęcie wynagrodzenia za pracę nie jest jednoznaczne: obejmuje sumę poszczególnych elementów wynagrodzenia. Dotychczasowa polityka płac uzależnia maksymalnie wysokość wynagrodzenia pracowniczego od wyników produkcji, w szczególności wyników ilościowych. W konsekwencji systemy wynagrodzeń w zakładach produkcyjnych, wprowadzane w latach 1948—1954 przewidywały niewysoką część stałego wynagrodzenia, tzw. uposażenie zasadnicze oraz wysoką część premiową, przysługującą za wykonanie i przekroczenie planów produkcyjnych. Przy znacznej progresji premiowej i wysokim przekraczaniu planów przez poszczególne gałęzie gospodarki, stosunek części stałej wynagrodzenia do zmiennej, uzależnionej od wyników produkcji kształtował się jak 1 : 1,5 bądź nawet jak 1 : 2 (na całość wynagrodzenia składało się uposażenie stałe plus 150% bądź 200% premii). Polityka ta od 1955 r. uległa modyfikacji w kierunku obniżenia części zmiennej, a odpowiedniego podwyższenia stałej. W większości zakładów obowiązują jednak nadal systemy wynagrodzeń, ustalające proporcje w myśl błędnych tendencji. Wysokość premii, progresję premiową przy przekraczaniu planu oraz warunki wypłaty premii określają regulaminy premiowania, stanowiące załączniki do Układów Zbiorowych Pracy, bądź też do zarządzeń władz centralnych, uzgodnionych z odpowiednimi instancjami związków zawodowych.

Premia stała się z punktu widzenia pracownika jego fundamentalną podstawą bytu, do której dostosowany jest budżet domowy.

W takiej sytuacji ukazała się Uchwała nr 356[1]) Prezydium Rządu z dnia 29.V.1954 r. o warunkach wypłaty premii za wykonanie planów produkcyjnych oraz pomocnicze wyjaśnienia[2]) Przewodniczącego PKPG z dnia 11.X. 1954 r., a ponadto Pismo Okólne Przewodniczącego PKPG nr 24[3]) z dnia 18.VIII.1955 r. Uchwała ustala, że wypłata premii należnej pracownikom uspołecznionych zakładów pracy z tytułu wykonania i przekroczenia planu produkcji, usług lub obrotu, czy też planu inwestycyjnego — nastąpić może jedynie w ramach zatwierdzonego na dany miesiąc funduszu płac, skorygowanego zgodnie z obowiązującymi przepisami o bankowej kontroli funduszu płac. Wypłata należnej pracownikom premii pozostaje więc w zależności od skorygowanego funduszu płac.

Sieć przepisów o bankowej kontroli funduszu płac, regulujących tryb korygowania funduszu płac oraz ramy dostępnej korekty jest zbyt gęsta, aby wdawać się w szczegóły. Dość powiedzieć, że przekroczenia funduszu płac występują bardzo często w naszej gospodarce, i to z przyczyn, które w rozumieniu przepisów o bankowej kontroli funduszu płac nie stanowią dostatecznego uzasadnienia. Przekroczeń tych trudno uniknąć, gdyż np. nadmierne zastosowanie godzin nadliczbowych dla „ratowania planu" z reguły powoduje przekroczenie funduszu płac. I tak pracownicy, mimo wykonania i przekroczenia planu, pozbawieni zostają z przyczyn dla nich niezrozumiałych i niezawinionych, premii stanowiącej trzon ich wynagrodzenia. Ponadto uzależnienie wypłaty premii poszczególnych służb od funkcjonowania funduszu płac, związanego ściśle ze stopniem wykonania planu globalnego całego przedsiębiorstwa, powoduje częste wypadki całkowitego pozbawienia premii pracowników tych służb, które wykonały czy nawet przekroczyły swój plan. Dzieje się tak, mimo że poszczególne regulaminy premiowania obejmują dostatecznie szeroki wachlarz okoliczności, warunkujących wypłatę premii.

Intencją Uchwały nr 356 Prezydium Rządu jest niewątpliwie uracjonalnienie gospodarki pracą ludzką przez ograniczenie elastyczności środków przeznaczonych na opłatę tej pracy. Czy jednak ograniczenia te skierowane są pod właściwym adresem? Funduszem płac zakładu pracy gospodaruje dyrektor oraz (w sensie doradczym) kierownik komórki zatrudnienia i płac. Wiadomo, że w poważnej części większych zakładów dyrektorzy pobierają wynagrodzenie ryczałtowe, zabezpieczające ich m. in. przed przykrymi następstwami nieumiejętnej gospodarki funduszem płac.

Poważne zastrzeżenia budzi ponadto ukazanie się omawianej Uchwały z punktu widzenia formalno-prawnego. W literaturze prawniczej i gospodarczej pojawiły się próby[4]) określenia Uchwały jako przepisu prawa par excellence materialnego. Słuszność panujących w organach centralnej administracji poglądów na to, że przepisy Uchwały stanowią generalne uzupełnienie obowiązujących regulaminów premiowania i że wysoka ranga tego aktu powoduje automatyczną zmianę przepisów zawartych w regulaminach — musi budzić poważne wątpliwości. Tym bardziej, że w tekście Uchwały nie znajdujemy wzmianki o uzgodnieniu jej z Centralną Radą Związków Zawodowych, zgodnie ze zwyczajem przyjętym w stosunku do aktów generalnych o tematyce pracowniczej. Należy zatem wątpić, czy Uchwała ta może uzupełnić bądź zmienić w tak wybitnie niekorzystny dla pracowników sposób przepisy Układów Zbiorowych Pracy, podpisywanych przez odpowiednie organa związków zawodowych.

Takiemu sceptycznemu stanowisku dają wyraz zakładowe komisje rozjemcze oraz sądy powszechne na terenie całego kraju orzekając wypłatę należności premiowych wynikających z regulaminów premiowania, jako przepisów jedynie i bezspornie obowiązujących przy ustalaniu wysokości premii pracowniczych.

Czy nie nadszedł więc czas, aby omawiana wyżej Uchwała podzieliła losy innych niefortunnych aktów administracyjnych, które ze względu na brak uzasadnienia prawnego, a także i praktycznego musiały ustąpić z pola naszego życia publicznego i gospodarczego?

Maria Matey

[1]) Monitor Polski nr A-62 poz. 817.
[2]) Zn. PN-4-21/13 z dnia 17.II.1955 r. zn. PN-4-21/3 oraz z dnia 18.VIII.1955 r. zn. PN-1-21-35
[3]) Biuletyn PKPG nr 19 poz. 73 z dnia 18.VIII.1955 r.
[4]) Porównaj artykuł T. L. Michałowskiego pt. „Bankowa kontrola funduszu płac a roszczenia o wynagrodzenie za pracę" w nr 7/55 „Przeglądu Ustawodawstwa Gospodarczego".

Abrakadabra cen

— Poproszę o 10 gazet. — Jakie pani sobie życzy gazety? — Wszystko jedno, najchętniej kupię „Prawdę", bo kosztuje tylko 10 groszy. Do wykładania podłóg po szorowaniu każda gazeta jest dobra, byle tylko była duża...

— Radzę ci, żebyś postępował, tak jak ja. Gdy wychodzę wieczorem z domu, zapalam wszystkie lampy. Kosztuje to grosze, a dobrze chroni przed złodziejami...

— Nie wiem co słychać u cioci Frani. Chyba pojadę do niej na niedzielę. — Mógłbyś przecież napisać lub zatelefonować. — Eee, nie lubię pisać, lepiej pojadę, nie kosztuje to dużo, może zresztą przywiozę z Białegostoku ćwiartkę cielęciny, to sobie koszty podróży odbiję z nawiązką...

Oto fragmenty rozmów podsłuchanych przy kiosku „Ruchu", w tramwaju, na ulicy.

Są u nas takie towary i usługi, których cena jest znikoma, można powiedzieć — symboliczna. Gazeta codzienna — 20 groszy, a więc nominalnie tyle co przed wojną. Prąd elektryczny kosztuje 39 groszy za kilowatogodzinę, przed wojną kosztował w Warszawie 75 groszy, a w innych miastach jeszcze drożej. Przejazd kolejowy kosztuje nominalnie niewiele więcej ponad dwukrotną cenę z 1939 roku. Bilet tramwajowy 45 groszy, przed wojną — 25 groszy. Czynsz mieszkaniowy równa się niemal zeru.

Z drugiej strony są takie towary konsumpcyjne, których cena jest wprost horendalna. Przykładów nie trzeba wyszukiwać, ma się ich pod ręką tyle, ile się chce. Obuwie kosztuje 30—40 razy drożej niż przed wojną; podobnie tkaniny, i to nie tylko wełniane — deficytowe, lecz również kretony i tkaniny ze sztucznego jedwabiu. Cena mydła jest blisko 50-krotnie wyższa niż przed wojną, chociaż np. cukier — tylko 12-krotnie.

Uczeni w piśmie świętym mówią nam, że ceny należy ustalać w zależności od wielkości masy towarowej, jaką w danym artykule można rzucić na rynek. Jeśli bowiem cena będzie zbyt niska, a towaru mało, to wykupią go spekulanci, którzy z wyraźną szkodą dla konsumentów, odsprzedają go po kilkakrotnie wyższej cenie. Jeśli zaś cena będzie wysoka, a towaru wbród, to powstaną trudne do upłynnienia remanenty. Jednym słowem przyjmują oni zasadę, która pozornie ma coś wspólnego z działaniem prawa wartości. Poza tym, dla zapobieżenia inflacji — temu u nas najmodniejszemu dzisiaj straszakowi — ceny muszą być dostosowane do ogólnej masy towarowej oraz do funduszu płac i dochodów ludności rolniczej.

Z rozumowaniem tym można byłoby się zgodzić, gdyby widać było, że prowadzona jest u nas jakaś racjonalna polityka cen. Tymczasem jest zupełnie inaczej. Ceny ustalane są doraźnie, bez żadnego logicznego powiązania. Trudno jest dopatrzeć się jakiegokolwiek sensu w tej polityce. Bo pomyślmy tylko, jakie skutki pociąga za sobą dzisiejszy absurdalny wprost układ cen.

Przy finansowej deprecjacji prasy i bardzo problematycznych, wynikających stąd korzyściach propagandowych (niska cena powoduje u słabiej uświadomionych obywateli raczej obniżenie autorytetu prasy) — przedsiębiorstwo wydawnicze RSW „Prasa" przynosi straty sięgające 150 milionów złotych rocznie, oprócz strat powstających na skutek zaniżonej ceny papieru i ustalonej poniżej kosztu własnego taryfy za prace drukarskie. Bo trzeba dodać, że jakiś mędrzec wymyślił taki system, który dla niepoznaki, czy też dla zatarcia śladów — deficyt finansowy wynikający z propagandowej ceny prasy dzieli pomiędzy wydawnictwo prasowe, papiernie i drukarnie.

Światła nikt nie oszczędza, bo to przecież nie ma żadnego sensu. Używamy więc najmocniejszych żarówek, chociaż nie jest to wcale potrzebne, korzystamy bez miary z piecyków elektrycznych, żelazek itd. A to zwiększa przecież nasz deficyt węgla — tego drogocennego produktu. Dzieje się to przy tym wtedy, gdy zmuszeni zostaliśmy do zajęcia w bieżącym roku 3,8 mln ton węgla z eksportu. Policzmy: 3,8 mln ton węgla po 20 dolarów — to 76 milionów dolarów. Nie chcę oczywiście przez to powiedzieć, że oszczędność światła zrównoważyłaby tę stratę, ale na pewno by ją zmniejszyła. Wytworzył się u nas taki paradoks, że oświetlanie mieszkania lampami naftowymi lub świecami jest droższe od światła elektrycznego.

Tramwaje są przepełnione — nie zawsze celowo. Koleje ledwo dyszą, a 4-krotnie większy niż przed wojną ruch pasażerski przynosi poważne straty finansowe. Tymczasem można byłoby chyba bez szkody dla nikogo podwyższyć taryfy kolejowe, przyznając jednocześnie ludziom pracy prawo do pewnej ilości bezpłatnych czy też ulgowych przejazdów.

Domów mieszkalnych, zwłaszcza należących do osób prywatnych, w ogóle się nie remontuje, no bo za co? Niszczeją nawet domy wybudowane już po wojnie.

A jakie ten absurdalny układ cen stwarza wdzięczne pole dla działalności różnych kombinatorów, którzy wszelkimi możliwymi drogami wywożą za granicę jedne artykuły, aby przywozić inne?

Cóż, może by tak puknąć się w głowę, dokonać rachunku ekonomicznego (co nie jest zadaniem łatwym, ale bezwzględnie możliwym) i ustalić takie ceny, które pobudzałyby społeczeństwo do oszczędności, stwarzały bodźce do gospodarności, pozwalały na uzdrowienie wielu odcinków naszej gospodarki.

Ktoś sobie pomyśli: znalazł się jeszcze jeden, który proponuje podwyżkę cen, a więc — zamiast podnosić stopę życiową, chce ją obniżyć. Nic podobnego. Chodzi tylko o ustalenie racjonalnej relacji cen. Podnosząc ceny na niektóre towary i usługi, trzeba oczywiście równocześnie obniżyć ceny na inne — te, które są wygórowane.

Dlaczego nie można byłoby np. obniżyć ceny na obuwie, tkaniny, odzież, mydło? Produkcja obuwia jest u nas już dość wysoka, aby nie obawiać się perturbacji rynkowych w razie obniżenia ceny. Podobnie wygląda sprawa z tkaninami i innymi rynkowymi towarami konsumpcyjnymi, zwłaszcza w niższych gatunkach. Czas już chyba na to, aby Polska przestała być wreszcie krajem o niemal najniższym na świecie wskaźniku spożycia mydła na głowę ludności, do czego walnie przyczyniła się wysoka cena tego artykułu. Należy przy tym dodać, że w niektórych towarach, jak np. jedwab sztuczny, czy mydło, udział importowanych surowców jest stosunkowo nieznaczny. Sądzę, że taka regulacja cen spotkałaby się z aplauzem całego społeczeństwa, nie przyczyniając przy tym szkody gospodarce narodowej. Wszystko to odbywałoby się bowiem przy zachowaniu równowagi między masą towarową a obiegiem pieniężnym w kraju.

Trzeba więc pomyśleć, dokonać rachunku ekonomicznego i ustalić relację cen zgodną ze zdrowym rozsądkiem. Szkoda tylko, że myślenie stało się w naszym kraju przeżytkiem.

(sef)

ŻYCIE gospodarcze
WYDAWCA „Polskie Wydawnictwa Gospodarcze" Przedsiębiorstwo Państwowe. Warszawa, ul. Poznańska 15. — REDAGUJE KOLEGIUM.
Redakcja: Warszawa ul Róża 15 Telefony: Redaktor Naczelny — 806-28, Sekretarz Redakcji — 883-92. centrala — 803-13. 860-71. — Warunki prenumeraty: rocznie 36 zł. półrocznie 18 zł kwartalnie 9 zł Cena 1 egz. zł 1.50 Zamówienia i orzedpłaty na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" składają zamówienia w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu" Zamówienia na prenumeratę należy składać od dnia 15 do dnia 10 m-ca poprzedzającego okres prenumeraty. Skład: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" Druk.: RSW „Prasa" ul Marszałkowska 1/5 Zam. nr 471. Warszawa.
Niezamówionych rękopisów redakcja nie zwraca.